



Skandalizujące życie impresjonistów, wystawny świat paryskiej burżuazji i różne oblicza nieodwzajemnionej miłości

# Salon odrzuconych

SERENA BURDICK



WYDAWNICTWO  
ŻÓŁTA STRONA

SERENA BURDICK

Dalon  
odrzuconych

Z języka angielskiego przełożyła  
Justyna Kukian



Tytuł oryginału:

GIRL IN THE AFTERNOON

Copyright © 2016 by Serena Burdick

Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie autorki: © Dino Giordano

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Iwona Wyrwisz, Maria Zając, Anna Gauza

ISBN: 978-83-8110-060-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadruga.pl](mailto:info@soniadruga.pl)

[www.soniadruga.pl](http://www.soniadruga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

## *Spis treści*

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Epilog

Podziękowania

Przypisy

*Dla mojej siostry Lili*



## ANGLIA 1878

W tym ogromnym zimnym domu udaję czasem, że jestem odkrywcą, który wyruszył na wyprawę. Przemierzam korytarze niczym rzeki, a ogromne pokoje niczym nieodkryte lądy. Wchodzę pod stoły i wskakuję na kanapy. Chwytam dłoń mojej siostry i biegniemy razem. Tylko że zamiast niej jest chłodne powietrze, bo tak naprawdę jej przy mnie nie ma. Ta nieobecność boli mnie w klatce piersiowej, tam gdzie jest serce, czyli tak się czuje człowiek, gdy ktoś mu serce złamie.

– Czemu wszystko się zmieniło? – pytam *maman*.

Ona ujmuję moją twarz w dłonie, patrzy łagodnie brązowymi oczami, których mam ochotę dotknąć, i mówi:

– Jesteś jeszcze mały. To za trudne dla małego chłopca.

## PARYŻ 1870

### Rozdział I

Nikt nie wyjaśnił Aimée, dlaczego Henri z nimi zamieszkał. Nikt jej nie mówił o ważnych sprawach. Swego czasu sądziła, że to dlatego, że jest dziewczynką, a tylko chłopcy poznają prawdę. Ostatecznie zrozumiała jednak, że lepiej o pewnych rzeczach nie wiedzieć.

W zimny grudniowy poranek, kiedy Henri zniknął, Aimée leżała na łóżku z twarzą ukrytą w poduszce. W prawej dłoni trzymała naszyjnik z kamykiem, łagodnie pocierając kciukiem i palcem wskazującym jego zimną powierzchnię.

Padło, gdy Henri znalazł kamień wielkości naparstka, niemal krystalicznie czysty, pokryty gdzieś różowymi plamkami. Byli wtedy dziećmi. Henri stał pochylony, plecami do zacinającego deszczu, i pokazywał jej idealnie okrągłą dziurkę w centralnej części kamyka. Później w nocy nawłókł go na kawałek sznurka i związał jej na szyi.

Aimée przekręciła się na bok, zakrywając nos i usta dłonią. Nawet mroźne powietrze nie zdołało stłumić cuchnącej woni dymu armatniego. Jej oddech był wilgotny i ciepły, tak jak oddech Henriego zeszłej nocy, gdy próbował ją pocałować.

Pamiętała zaskakujący smak jego ust, słone wargi, twardy, poszukujący język. Gdy pocałunek stawał się delikatniejszy i wolniejszy, czuła, jak jej nogi mimowolnie się rozsuwają.

Zrzuciwszy pikowaną narzutę, wyskoczyła z łóżka. Wdychając chłodne powietrze przez zaciśnięte zęby, wsunęła stopy w zimne kapcie. Porwała szal z oparcia krzesła i zarzuciła go na ramiona. Przez okno wdzierają się promienie słońca, które odbijając się od gałek u drzwi garderoby, zmieniały się w małe niebieskie płomienie.

Gwałtownie otworzyła leżący na biurku szkicownik na stronie z portretem Henriego. Miał delikatne rysy młodego człowieka z krępującymi oznakami dojrzwania. W jego oczach można było dostrzec cień szelmostwa, ale i odrobinę strachu, na twarzy gościł niepewny uśmiech.

Szkic narysowała, gdy miała czternaście lat. Henri miał wtedy ukończone szesnaście. Nalegała, aby ściągnął koszulę.

– Po prostu to zrób – powiedziała. – To jedyna szansa, żebym narysowała akt. Ty pójdziesz do *académie* i będziesz mógł malować nagich ludzi do woli. Ja utknę tutaj, malując brzoskwinie.

Chwyciła jeden z owoców leżących na stole, na którym wcześniej pieczołowicie je ułożył jej nauczyciel, uznany malarz należący do szkoły z Barbizon, monsieur Camentron, i zatopiła zęby w różowym mięszu.

– Aimée? – Henri nachylił się nad lśniącym mahoniowym stołem i pogroził jej palcem z dezaprobatą. – Jak ukończymy swoje obrazy bez tej brzoskwini?

Wzruszyła ramionami.

– Zdrapiemy jedną i wmówimy mu, że były tylko dwie. Staruszek Camentron o wielu rzeczach zapomina.

Aimée nadal pamiętała ciepło słoneczne, które wdzierало się przez duże okna i ożywiało pokój. Pamiętała również słodki smak brzoskwini, którą jadła, gdy Henri ostrożnie odpinał guziki koszuli i walczył z mankietami. Ujrawszy chude ramiona i wklęsłą, bezwłosą klatkę piersiową, dostała wypieków na twarzy i zaczęła się nerwowo śmiać.

– Rysuj, zanim ktoś nas przyłapie – powiedział Henri. Aimée wrzuciła lepką pestkę do miski i sięgnęła po opakowanie kredek *conté*.

To właśnie Henri zaraz po swoim przybyciu zaczął uczyć Aimée rysować.

– Jeśli w samotności spędzasz czas na rysowaniu, ludzie nie będą o tobie gadać.

Leżeli na brzuchu obok siebie, z deskami kreślarskimi przed sobą i ugiętymi w kolanach nogami, trącając się stopami. Aimée bardzo szybko odkryła, że jest w stanie z niezwykłą dokładnością oddać przedmioty na papierze.

– Wyjątkowy – powiedział Henri, gdy pokazała mu rysunek przedstawiający zabawkową małpkę.

Aimée przygryzła dolną wargę i spojrzała na swoje pokryte żyłkami dłonie. Od pochwały zrobiło jej się ciepło w okolicy brzucha. Była chuderlawym dzieckiem o bladej skórze, wąskich ustach i szarych oczach. Nie było w niej nic wyjątkowego.

Kiedy rysowali, Henri opowiadał zmyślane historie o odległych miejscach, Aimée natomiast próbowała je zilustrować. Potem, gdy już zaczęli dorastać i malować na poważnie, mówili bardzo niewiele. Udawali, że się koncentrują, ale tak naprawdę stawali się wobec siebie nieśmiali. W ich relacji nie było nic ze swobodnej bez troski, z którą odnosi się do siebie rodzeństwo, nie droczyli się, nie naśmiewali z siebie. Nie byli w końcu bratem i siostrą, zachowywali się raczej jak towarzysze, którzy dorastali w tym samym domu. Na tym polegała różnica.

Z czasem okazało się, że najbardziej potrzebują ciszy. Stanowiła wypracowany przez nich z czułością i rozwagą sposób porozumiewania się, cenniejszy niż sztuka, którą tworzyli. Ta ich przepełniona intymnością cisza była jak moment tuż przed pocałunkiem, gdy czas się zatrzymuje. Tak właśnie wyglądała ich pierwsza miłość – możliwość bycia jednocześnie razem i osobno.

W dniu poprzedzającym zniknięcie Henriego Colette Savaray stała w salonie, przyglądając suknię i wpatrując się w podłogę, na której niegdyś leżał dywan. Kilka miesięcy wcześniej pozbyli się go, razem z meblami w stylu empire. W miejscu gdzie kiedyś leżał, drewno było jaśniejsze i Colette właśnie sobie

uświadomiła, że znalezienie dywanu podobnych rozmiarów będzie nie lada wyczynem.

Objęła spojrzeniem pustawy pokój. Na środku została obita aksamitem kanapa, ale już bez swoich stolików. Naprzeciwko niej stały przyniesione tu z jadalni dwa krzesła z drewna orzechowego – ich czerwone siedziska w ogóle nie pasowały do niebiesko-złotej tapety. Colette nie znosiła tej pustki, tego echa, z którym roznosił się każdy dźwięk, nawet stukot obcasów.

Zdecydowanym ruchem rozsunęła brokatelowe story, które teraz zaciągali nawet za dnia. W przygaszonym świetle pył unosił się niczym skrawek tiulu. Colette pomachała ręką, rozganiając drobinki.

W głębi korytarza rozbrzmiał głośny trzask. Colette opuściła rękę do boku, wyobrażając sobie kulę przechodzącą przez drzwi.

Zaśmiała się, usłyszawszy ponownie ten sam dźwięk. To tylko odgłos kołatki u wejścia.

– Marie? – zawołała, rozglądając się dookoła. Potem usiadła na krześle. – Marie! Ktoś puka do drzwi.

Nikt nie odwiedzał ich od miesięcy. Choć na zewnątrz tyle się działo potworności – krwawiący żołnierze przewożeni omnibusami i gdziekolwiek spojrzeć, martwe konie – nikt nie mógł wjechać do Paryża ani go opuścić, a Colette na samą myśl o tym odchodziła od zmysłów, czując się jak zwierzę uwięzione w klatce. Sam dźwięk kołatki sprawił, że poczuła się lepiej, mimo tego, w jakim stanie znajdował się jej dom. Poprawiła spinki we włosach, żałując, że nie poświęciła więcej czasu na poranną toaletę.

Na korytarzu pojawiła się Marie, ich wierna gosposia, ostatnia z całej służby. Była korpulentną kobietą w średnim wieku, z trudnymi do okiełznania kręconymi włosami w kolorze intensywnej czerwieni.

– Już idę, madame – powiedziała, mijając drzwi do salonu. Potem Colette usłyszała głośny stukot jej drewniaków w przedsionku i dźwięczny brzęk stalowej klamki frontowych drzwi.

Kiedy Édouard Manet wszedł do pokoju, Colette podniosła się z miejsca. Na jej twarzy zagościł olśniewający uśmiech.

– A to dopiero! – krzyknęła, wyciągając dłoń. – Każdy gość stanowiłby powód do świętowania, ale pańska obecność, monsieur Manet, wywołuje wręcz zachwyty.

– Madame – Édouard ujął jej dłoń i ucałował. W płaszczu wojskowym wyglądał smuklejszy niż zazwyczaj, ale brodę wciąż miał gęstą, a małe, ciemne oczy patrzyły pewnie i pokrzepiająco. Mimo wojny ubrany był nienagannie. Jego płaszcz był wyczyszczony, a buty starannie wypolerowane. Należał do ludzi, którzy skupiali na sobie uwagę całego otoczenia, uwagę Colette również.

– Proszę spocząć – wskazała mu kanapę, sama zasiadając na krześle. –

Zamieniam się w słuch.

Édouard usiadł, odpinając dwa górne guziki płaszcza.

– Zabije nas albo ospa, albo głód, albo pociski wlatujące przez okna, a jak nie, to pogrzebią nas żywcem w worku z piaskiem – powiedział z krzywym uśmiechem. – Powinniście byli opuścić miasto jak inne rodziny, kiedy był na to czas. Uparci z was ludzie. Kobiety z rodziny Morisotów również zdecydowały się pozostać.

– Nie może nas pan winić. Kto by się spodziewał, że pruscy żołnierze będą walczyć tak zaciekle i że będzie ich aż tylu? – Colette pochyliła się do przodu, kładąc dłoń na piersi. – Sama uważam się za umiarkowaną bonapartystkę, ale najwyraźniej Gambetta i przywódca nowej republiki nie byli na to wszystko przygotowani. Wyszadziliśmy własne mosty, na litość boską, a nawet to nie powstrzymało Prusaków. Doszły mnie słuchy, że w Bougival i Louveciennes szkody są ogromne. Taka rzeź i zniszczenia są dla mnie niepojęte.

Colette nie była lekkomyślną kobietą, chociaż sprawiała takie wrażenie. Była dość inteligentna i Édouard to w niej cenił.

– Obawiam się, że po przegranej bitwie nad Loarą nie mamy większych szans – powiedział. – Nie wiem, jak długo będziemy w stanie jeszcze stawiać opór. Wymordujemy się nawzajem. – Ruchem głowy wskazał okno. – Nikt do końca nie wie, kto dowodzi. Jeżeli niedługo nie podpiszą zawieszenia broni, dojdzie do wojny domowej, a to będzie oznaczać rychłą kapitulację. – Uniósł obydwie ręce w stronę sufitu w geście poddania, jakby pod sklepieniem czaili się na niego pruscy żołnierze.

– Przynajmniej ludzie przestaną cierpieć – powiedziała Colette.

– Jak sobie radzicie ze zdobywaniem żywności?

– Jeszcze nie głodujemy. Porcja żytniego chleba i kapusty dla jednej osoby kosztuje dwadzieścia franków. Ile bym dała za gorącą kawę z mlekiem!

Siedząc naprzeciwko Édouarda, Colette niemal czuła ciepło tego napoju spływającego jej do gardła. Po raz pierwszy od miesiący była pewna, że wszystko się ułoży. Bez względu na to, czy wygrają, czy przegrają, Paryż przetrwa tę wojnę, a ona na powrót zacznie organizować czwartkowe wieczorki towarzyskie. Jej jadalnia jak kiedyś wypełni się gośćmi. Znowu będą rozbrzmiewać muzyka i śmiech przy dobrych trunkach.

Édouard chuchnął w zwinięte dłonie.

– Jak rana Auguste’a?

– Jaka rana? – Colette lekceważąco machnęła ręką. – Noga jest zdrowa od kilku tygodni. On po prostu nie chce wstać z łóżka.

Uśmiech zagościł na twarzy Édouarda.

– Tam mu najcieplej. Zrobił, co do niego należało. Może teraz zregenerować siły. Musi być gorzej, żeby potem mogło być lepiej. – Wstał i skinął lekko głową. –

Madame, proszę wybaczyć, ale nie mogę dłużej zostać. Chciałem tylko się upewnić, że żaden z domowników nie jest chory czy haniebnie głodny. Zakładam, że dzieci mają się dobrze?

Nazywanie ich dziećmi wydało się Colette niemądre. Aimée liczyła sobie osiemnaście lat, Henri zaś miał w kwietniu skończyć dwadzieścia.

– Wszystko w porządku, żadnych niespodzianek. Malują, dopóki nie zabraknie im materiałów. Jestem przekonana, że pan czyni podobnie. – Uśmiechnęła się na myśl o swoim portrecie, który Auguste zamówił u Édouarda. Przez trzy miesiące przyglądał się jej bacznie, dzięki czemu czuła się ważna.

Po wyjściu gościa Colette udała się do gabinetu męża i stanęła przed obrazem. To było prawie dziesięć lat temu. Wyglądała młodo i pięknie z ciemnymi włosami upiętymi wysoko w kok, ubrana w lśniącą zieloną suknię. Smukłe dłonie spoczywały skrzyżowane na kolanach.

Była pewna, że podczas tych spędzonych wspólnie godzin Édouard będzie starał się ją uwieść. On jednak pracował w milczeniu, zaciekle ścierając to, co mu się nie podobało, i pokrywając płótno na nowo farbą, aż osiągnął zadowalający efekt. Gdy ukończył pracę, po prostu jej podziękował i pożegnał się.

Odsunęła się od obrazu i zobaczyła odbicie starszej już siebie w szybie okiennej. Przesunęła dwoma palcami wzdłuż linii włosów, naciskając skórę głowy z nerwowością, która nie była wynikiem toczącej się wojny, ale poczucia uwięzienia we własnym ciele. Niesamowite, jak kobieta może się zmienić w ciągu dekady. Wiosną skończy trzydzieści dziewięć lat. Jako mała dziewczynka obserwowała *maman*, która robiła sobie na noc okłady na twarz z surowego mięsa, aby zapobiec powstawaniu zmarszczek. Colette wolała jaja, wodę różaną, ałun i słodki olej migdałowy, wszystko jednak było nieosiągalne w czasie tej nieszczęsnej wojny.

Odwróciwszy się od swego odbicia, przeszła obok nienagannie uporządkowanego biurka męża, myśląc o Édouardzie z dreszczykiem pożądania.

Następnego ranka, gdy jaskrawe i niemiłosierne słońce świeciło ponad dymem pokrywającym miasto, Henri podjął decyzję, że musi wyjechać. Spał tylko kilka godzin, zakrywając ręką oczy, by chronić się przed ostrym światłem, które nieustępliwie wdzierało się przez okno.

Ostatnia noc była jak sen, który rozplynał się, pozostawiając niepewność. Jednak Henri nie śnił i dlatego odczuwał wstyd, który przeszywał go jak zimny, ostry pręt.

Z zewnątrz dobiegł huk wystrzału, potem przejmujący krzyk i nastąpiła cisza. Henri odsunął rękę od twarzy, włożył ją pod kołdrę i przycisnął lodowate palce do nagiego brzucha. Z posłania widział podtrzymujące baldachim kolumny z drzewa wiśniowego i kwiaty na tapecie, otwierające się w stronę sufitu.

Jak słodko byłoby się przewrócić na drugi bok, schować głowę pod ciepłą

kołdrę i ponownie zasnąć. Jednak z ukosa promieni słońca wpadających przez okno i ciszy panującej w domu wnioskował, że jest jeszcze wcześniej. Na tyle wcześniej, by miał szansę wymknąć się niepostrzeżenie.

Policzył więc do trzech, zrzucił kołdrę i usiadł. Było tak przenikliwie zimno, że prawie zapomniał o dławiającym strachu.

Od miesięcy nie palono w kominkach. Obłężenie Paryża trwało od stu dni i nie zostało już nic, co by się nadawało do spalania. Torf oszczędzali do gotowania, a i tak nie wystarczy na długo.

Wziąwszy kilka krótkich oddechów, Henri podniósł z podłogi wełniane pończochy, płócienne kalessony i podkoszulek i pospiesznie włożył je na siebie. Z kufra wyciągnął spodnie z diagonalu, koszulę, kamizelkę i krawat. Jego szafę również oddano, a po przechowaniu w kufrze ubrania były pogniecione. Teraz nie miało to jednak znaczenia.

Zesztywniałymi z zimna palcami z trudem zawiązał krawat. Podszedł do okna. Na jasnym niebie dostrzegł chmurę czarnego dymu unoszącą się nad dachami. Ulica była upiornie pusta, lód pokrył jezdnię. „Buty będą mi się ślizgać”, pomyślał. Poczul się słabo, jak wtedy, gdy jeszcze jako chłopiec stał przy oknie w swojej dawnej sypialni w Anglii. Kiedy opuszczał tamto miejsce, ziemia również była pokryta śniegiem. Wróciło to samo uczucie strachu.

Z zewnątrz dochodziły odgłosy wybuchów przypominające grzmoty piorunów. Henri zakrył oczy dłońmi. Nie był dzielnym człowiekiem, a jednak nie obawiał się, że trafi go zabłąkana kula czy że zamarznie gdzieś na ulicy. Bał się strasznej samotności, której doświadczył, zanim się tu znalazł.

Odwrócił się od okna, usłyszawszy odgłos kroków na korytarzu. Pospiesznie podszedł do łóżka, jakby zamierzał się pod nim schować. Bał się spojrzeć w oczy Colette czy Auguste’owi, ale to na myśl o spojrzeniu w poważne oczy Aimée i w jej szczerą twarz poczul się nieswojo.

Ktokolwiek nacisnął klamkę drzwi, również bał się go ujrzeć. Wróciła więc na miejsce, a odgłosy kroków z korytarza w końcu ucichły.

Henri nie chciał tracić więcej czasu. Chwycił torbę, wrzucił do niej dwie pary pończoch, koszulę, spodnie i czarny surdut. Przez chwilę trzymał w rękach obszytą jedwabną wstążką kamizelkę wyszywaną w tulipany, ale wepchnął ją z powrotem do kufra.

Założywszy płaszcz, zarzucił torbę na ramię i wyszedł ostrożnie na korytarz. Zastanawiał się, jak mógłby odzyskać swoje pudełko z farbami i przenośną sztalugę, które znajdowały się w pracowni na trzecim piętrze, gdzie zakwaterowani byli teraz żołnierze.

Na korytarzu było pusto i cicho. Henri wiedział, że powinien się spieszyć, a mimo to stał, przyglądając się małemu wgnieceniu w podłodze. Powstało, gdy jako dziecko upuścił dużą marmurową figurkę słonia, którą podarował mu

Auguste. Słoń z odpryskiem na trąbie stał nadal na kominku w jego sypialni.

Przemknęła mu przez chwilę myśl, aby po niego wrócić, ale nie zrobił tego. Kiedy w końcu ruszył z miejsca, nie powodowała nim ani odwaga, ani heroiczna siła, lecz zwyczajny niezaprzeczalny wstyd.

Henri skradał się korytarzem, stąpając ostrożnie, by podłoga nie skrzypiała pod naciskiem jego stóp, a tymczasem Colette siedziała przy toalecie, wyplątując metalowe wałki z włosów i próbując ignorować donośny charkot wydobywający się z otwartych ust męża śpiącego na łóżku za jej plecami. Trzymając w ręku lusterko, ułożyła loki na karku, a potem przypięła pod szyję okazałą broszkę z ametystem. Po ostatniej nocy czuła się zobowiązana, by wyglądać szczególnie pięknie, bez względu na toczącą się wojnę.

Kiedy skończyła, stanęła nad śpiącym Auguste'em i przyglądała mu się. Białą kołdrę podciągnął do zarośniętego podbródka. Colette nazywała jego zarost niesforeną kozią bródką.

W mundurze porucznika wyglądał o wiele atrakcyjniej, ale gdy został lekko ranny, musiał opuścić służbę. Gdyby chociaż walczył bohatersko w oddziale artylerii, być może mogłaby uznać go za atrakcyjnego, ale został wysłany do sztabu generalnego, gdzie nie groziło mu prawdziwe niebezpieczeństwo. Zranił się przypadkowo, upuszczając bagnet prosto na swoją stopę.

To nie to, że go nie kochała, po prostu była nim zdegustowana. Jaka kobieta by nie była? Leżał w łóżku cały dzień, użalając się nad sobą, chociaż bez problemu mógł chodzić o lasce.

– Jaki sens wstawać i schodzić do jadalni, gdy nie podają żadnego posiłku? – burczał. – Poza tym jeśli zostaję w łóżku, nie marznę.

Próbował nakłonić ją, by do niego dołączyła. Szarpnął ją za materiał sukni i przyciągnął do siebie. Musiała uderzyć go po rękach, by nie dotykał jej piersi.

– Tacy żałośni starcy mnie nie interesują – powiedziała, wstając.

Tylko się roześmiał, jakby nie wierzył w jej słowa.

Tak zawsze wyglądało ich małżeństwo. On jej pragnął, ona go odpychała. Rozpalało go jej kokieterijne zachowanie. Mocowali się ze sobą zaciekle, a potem rzucali się na siebie. Robiła to dla dobra Auguste'a. Małżeństwo jest nudne. Gdyby łatwo się oddawała, nie walczyliby ze sobą, a mężczyźni lubią walkę.

Wiedziała to od samego początku. Kazała Auguste'owi czekać trzy lata, zanim zgodziła się za niego wyjść, chociaż oświadczył się tego samego wieczoru, gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

– Jesteś wspaniała – szepnął, porywając ją z parkietu. Gdy stali na balkonie w mroku, poprosił ją o rękę.

– Dopiero się poznaliśmy! – krzyknęła Colette, a w jej głosie rozbrzmiewała młodość i radość, że stała się obiektem zainteresowania. – Poza tym byłabym głupia, wychodząc za mąż za pierwszego mężczyznę, który mi się oświadczył.



Ostatecznie miała zaledwie siedemnaście lat i nie należała do dziewczyn, które by chciały cokolwiek komuś ułatwić.

Potem przyjmowała więcej zalotników, niż wypadało, otrzymując liczbę oświadczeń wręcz skandaliczną, nawet jak na kobietę jej urody. Większość mężczyzn by się poddała, ale nie Auguste. On nie przejmował się powściągliwością wymaganą podczas zalotów, czcił Colette otwarcie, a ona go ganiła, chociaż skrycie cieszyła się z jego uwagi. On przerywał rozmowę, gdy wchodziła do pokoju, pospiesznie brał ją za rękę, trzymając pewnie, pocierając kciukiem jej kłykcie, początkowo łagodnie, a później na tyle mocno, by ją rozpałcić.

„Gdyby tylko dotknął mnie tak znowu”, pomyślała Colette.

Auguste jęknął i przewrócił się na drugi bok, jedno ramię opadło bezwładnie poza krawędź łóżka. We śnie wydawał się bezbronny. Gdy Colette się odwróciła, waga tego, co zrobiła, przeszła ją jak ostrze, pozostawiając głęboką, wypełnioną żalem ranę.

Matka Auguste'a, madame Savaray, była jedynym świadkiem odejścia Henriego.

Wcześniej tego ranka sprawdzała w kuchni, jakie dyspozycje Marie wydała służącym odnośnie do dzisiejszych posiłków. Przed wojną to Colette zajmowała się prowadzeniem domu i zawsze jasno komunikowała, by madame Savaray się nie wtrącała. Ale odkąd po raz pierwszy ostrzelano Paryż, ustąpiła teściowej miejsca, nie robiąc nic, by zapewnić im przetrwanie.

Madame Savaray natomiast wiedziała, jak przetrwać. Pochodziła z północy Francji, gdzie ludzie byli bardziej krzepcy od wypieszczonych paryżan. W dzieciństwie często nie miała co włożyć do garnka. Wiedziała, co znaczy być głodnym i spać w brudnej pościeli. Wiedziała też, że powinni być wdzięczni, że dzięki odpowiedzialnemu gospodarowaniu Marii codziennie mogli zjeść jakiś posiłek.

Byli głupcami, że pozostali w Paryżu. Auguste chciał wysłać je do Anglii, ale Henri, który nie musiał walczyć, ponieważ nie był Francuzem, odmówił powrotu do ojczyzny, czego madame Savaray po prostu nie rozumiała.

Colette również sprzeciwiała się wyjazdowi. „Nie widzę powodu, dla którego ktoś miałby mnie wyrzucać z własnego domu – powiedziała. – Niektóre rzeczy wydają się gorsze, niż są w rzeczywistości”. Oczywiście Auguste pozwolił jej zrobić dokładnie to, co chciała. Utknęli więc w Paryżu, który rozsypywał się na ich oczach.

„Głupcy, wszyscy co do jednego”, myślała madame Savaray, wchodząc po schodach. Zatrzymała się na widok Henriego idącego z torbą i sztalugą. Wyglądał mizernie. Był chudym i cherlawym dzieckiem i na takiego też wyrósł mężczyzną. Przygarbione ramiona, niespokojne, rozbiegane niebieskie oczy i mamrotanie – jakby mówienie trochę głośniej go przerażało – budziły w madame Savaray

współczucie. Zwyczajne trudy życia były dla niego nie do zniesienia.

Dziś wyglądał na szczególnie zmartwionego, a w jego przenikliwych oczach można było dostrzec desperację. Madame Savaray bezwiednie zrobiła krok do przodu, ale on praktycznie wybiegł przez frontowe drzwi. Miała ochotę pobiec za nim. Gdzie na Boga on idzie? Malować w plenerze? Ten nowy styl malowania to absurd. Zmarzną mu dłonie. Mogą go postrzelić. Co on sobie myśli?

Pospiesznie skierowała swoje kroki do salonu. Colette właśnie weszła, rozmijając się z Henrim zaledwie o kilka minut. Siadła na drugim końcu pokoju blisko dwuskrzydłowych wychodzących na ogród drzwi, które otwierano tylko w cieplejszych miesiącach. W rękę trzymała tamborek z naciągniętym kawałkiem tkaniny.

Madame Savaray musiała, chcąc nie chcąc, zauważyć, jak atrakcyjnie wygląda dziś rano synowa. Jakie to nierozważne, była wojna. Ta kobieta mogła przynajmniej silić się na skromny wygląd. To świętokradztwo siedzieć w jedwabnej sukni z broszką przy szyi, kiedy ludzie zamierzają na śmierć.

Zwilżywszy czubek palca i robiąc supełek na końcu nitki, Colette spojrzała na madame Savaray. Jej teściowa była potężna, wyższa niż większość kobiet, z szerokimi biodrami i obfitym biustem. Z wiekiem zmieniła się w nieszczęsną górę cielska. Jej niewzruszoną twarz okalały czarne, upięte w kok włosy, a stara już wełniana suknia szurała po ziemi.

Zawsze dziwiło Colette, że z wiekiem włosy madame Savaray nie posiwiały. Były jednak tak czarne, że w świetle słonecznym wyglądały na granatowe.

– Dokąd idzie Henri? – zapytała ostro madame Savaray.

Colette wyszywała właśnie maleńkiego, żółtego ptaka.

– Co masz na myśli?

– Właśnie wyszedł frontowymi drzwiami.

Colette wyglądała, jakby nie do końca rozumiała. Odłożyła tamborek na krzesło i podeszła do okna.

– Niemożliwe – powiedziała, rozsuwając zasłony.

– A jednak to właśnie zrobił. – Madame Savaray zirytowana opuściła pokój.

– Aimée? – zawołała, wchodząc po schodach na piętro. Złapał ją skurcz w lewej nodze. Zawsze się tak działo w przygnębiające chłodne dni, nie wspominając o jej stawie biodrowym, który strzykał przy każdym kroku.

– Aimée?

Jej wnuczka wyszła na korytarz, włosy miała na wpół upięte, część spadała na plecy ciemną falą.

Aimée wciąż miała figurę dziewczynki, ale wyrosła na rozsądną, poważną kobietę o niezwykłych oczach. Czasem, jak teraz, były łagodne i jasne jak poranne niebo, ale bez ostrzeżenia mogły przybrać szarą barwę.

Madame Savaray zatrzymała się przed nią, zdyszała się od wspinaczki na

piętro, a ból w lewej nodze doskwierał jej jeszcze bardziej, gdy stała.

– Dokąd posłałaś Henriego? Możesz powiedzieć mi prawdę. Nie mam czasu ani cierpliwości, aby wyciągać to z ciebie siłą.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym babcia mówi – odrzekła Aimée. Przeszyło ją intensywne uczucie strachu i podniecenia. Może Henri powiedział o nich jej ojcu.

– Wyjechał. – Madame Savaray zmrużyła oczy. – A ja podejrzewam, że wiesz dlaczego.

– Zapewniam babcię, że jest w swoim pokoju.

– A ja cię zapewniam, że właśnie wyszedł frontowymi drzwiami.

– To niemożliwe. Nie mógł tak po prostu wyjść.

Madame Savaray gwałtownie wypuściła powietrze z ust.

– Jak najbardziej możliwe – odparła. – Widziałam, jak wychodził.

– Dlaczego miałyby to zrobić? – zapytała oszołomiona Aimée.

– Miał ze sobą sztalugi. Pomyślałam, że wpadliście na jakiś nedorzeczny pomysł, by ryzykując życie, namalować obraz godny powieszenia w Salonie Paryskim. – Pokręciła głową. – Albo coś równie absurdalnego.

Aimée pobiegła korytarzem. Sypialnia Henriego była pusta, kołdra leżała odrzucona, odsłaniając prześcieradło zmięte przez jego ciało. Na poduszce zostało niewielkie wgniecenie, rękaw koszuli zwiisał z krawędzi kufra niczym bezwładne ramię. Wszystko wskazywało na to, że decyzja o wyjeździe była podjęta pod wpływem impulsu. Aimée poczuła ból w klatce piersiowej.

W salonie Colette stała przy oknie, zaciskając w garści zasłonę. Nie spojrzała na córkę, gdy ta zatrzymała się obok niej. Madame Savaray mocno westchnęła i opadła na kanapę, chowając nogę pod halki. Zgięła ją, próbując złagodzić skurcz.

Aimée przycisnęła czoło do szyby, zimno wywołało ból między oczami. Na rue de Passy nikogo nie było. Zostały tylko ślady stóp na zamarzniętym śniegu.

– Henri nie malowałby w taką pogodę – powiedziała, odsuwając głowę od okna. Na jej czole pojawił się czerwony ślad. Nie zostawiłby jej tak po prostu. Musiało istnieć jakieś wytłumaczenie.

– Trzeba powiedzieć papie. Może wyśle kogoś, by go odnalazł.

Colette puściła zasłonę i ostrożnie odsunęła się od córki.

– Nie ma potrzeby go martwić. – Podniosła tamborek z krzesła i usiadła. – Monsieur Manet szedł tymi ulicami wczoraj, zatem nie jest to aż tak niebezpieczne.

Aimée poczuła pulsowanie krwi w szyi, przyspieszone bicie pod brodą, gdy patrzyła, jak matka wbija igłę w tkaninę.

Jej *maman* nie była zimną kobietą, ale obdarowywała Aimée i papę ciepłem w małych, kontrolowanych dawkach. Jeśli jednak to Henri się frasował, zawsze miała dla niego dobre słowo i uśmiech wyrażający jawny podziw. Aimée wyobraziła sobie wgniecenie na poduszce Henriego, które wskazywało na

pośpiech, w jakim opuścił dom. Poczwała strach.

Odwróciła się do okna, śnieg na dworze przepięknie się mienił.

– Aimée – powiedziała ostro Colette, zastanawiając się, gdzie wyhaftować rozpostarte skrzydło ptaka. – Nie draż. Szukasz czegoś, czego nie ma.

Gdyby Colette dostrzegła rozpacz na twarzy dziewczyny, gdyby zauważyła ręce Aimée skierowane w jej stronę i głowę pochyloną do przodu w niemym błaganiu o pomoc, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale Colette widziała tylko sylwetkę upartej córki na tle okna.

– Jestem przekonana, że Henri po prostu musiał na chwilę wyjść z domu – dodała. – Oddałabym wszystko za odrobinę świeżego powietrza!

Madame Savaray głośno prychnęła.

– Wyraz twarzy Henriego nie wskazywał na to, że wychodzi zaczerpnąć powietrza.

Colette chwyciła igłę, jej ręka szybko przesuwiała się w górę i w dół.

– A na co dokładnie wskazywał?

Zdaniem madame Savaray to pytanie nie zasługiwało na odpowiedź. Nie była głupia. Dostrzegła niepewność na twarzy Colette, zbielejące kłykcie i coraz szybszy ruch ręki.

Siedemnaście beczynnych lat w tym domu zmieniło madame Savaray w bystrego obserwatora. Z podpatrywania innych uczyniła grę polegającą na zgadywaniu, co kryje się za spojrzeniem lub gestem. Nie wszystko ludzie wyrażali słowami. Zdumiewało ją, że inni nie przywiązują większej wagi do ciszy. Ale wiele rzeczy ją zdumiewało, odkąd po śmierci męża wprowadziła się do tego domu.

Pochodziła z miasta Roubaix, w którym jej mąż zbił wielką fortunę na rozwijającym się przemyśle włókienniczym. Ogromną jej część przeznaczył na wyjazdy syna do Paryża, gdzie Auguste Savaray prowadził teraz dobrze prosperujące przedsiębiorstwo produkujące koronki i płótna.

Madame Savaray nie zdawała sobie sprawy, jak dobrze szły interesy. Uważała, że jej syn jest leniwy, a za jej czasów leniwy człowiek nie mógł zbić fortuny. Mąż pracował piętnaście godzin na dobę i ani razu w ciągu dwudziestu lat nie wziął urlopu. Madame Savaray pracowała z nim równie ciężko, kontrolując wydatki, prowadząc księgi, rozdzielając surowce i doglądając gotowych produktów. Każdego dnia, bez względu na pogodę, o szóstej rano otwierała bramy fabryki dla robotników. Dopóki żył mąż, jej życie kręciło się wokół kontroli jakości, wahań cen i problemów z personelem. Po jego śmierci firma została sprzedana, a ona musiała zamieszkać z synem. W tym czasie jeszcze sądziła, że mogłaby stanowić dlań pomoc. Bardzo szybko dowiedziała się jednak, że w opinii jej syna kobieta, młoda czy stara, niewiele wie o prowadzeniu firmy.

Madame Savaray przyglądała się, jak Colette zgrabnie przecina nić małymi nożyczkami w kształcie łabędzia. Nie rozumiała kobiet nowego pokolenia.

Przesiadywały tylko w domu w jedwabnych sukniach i planowały wieczorki towarzyskie. Zamknęła oczy, skurcz w nodze nieco ustąpił. Podejrzewała, że Colette nie ponosi winy za to, jak żyje. Mężczyźni nie chcą kobiet, które znają wartość pieniądza. Tak wygląda teraz świat.

Jakiś pocisk spadł tak blisko domu, że poczuli wstrząs. Madame Savaray otworzyła oczy, nożyczki Colette spadły na podłogę. Aimée kurczowo chwyciła materiał spódnicy, patrząc, jak dym spowija ulicę, zasłaniając ostatni niebieski skrawek nieba.

– Henri będzie w domu na kolację – powiedziała madame Savaray. – Aimée, moja droga, odsuń się od okna.

Dziewczyna nie mogła się ruszyć. Czuła się słaba i krucha, jak uschnięte gałązki zwisające z martwych już drzew. Wydawało się, że złamie się przy najmniejszym ruchu, rozbije, jakby się z czymś zderzyła.

## Rozdział 2

Henri nie wrócił do domu na kolację.

Minęły trzy tygodnie i u Savarayów zadomowiło się głębokie poczucie straty. Nie świętowali nadejścia nowego roku. Gdyby Henri był z nimi, mogliby z nadzieją wyczekiwać 1871 roku, ale go nie było, i wydawało się, że wojna, głód i przenikliwe zimno będą trwać wiecznie.

Teraz Auguste zupełnie nie chciał spędzać dni w łóżku. Nawet z obolałą stopą nie potrafił usiedzieć w miejscu. Nękany niepokojem wędrował po korytarzach domu niczym ulicami Paryża, ostrząc zmartwienia o kamień szlifierski czarnych myśli. Myślał o Henrim, spodziewając się najgorszego.

Pewnego dnia całkowicie wyczerpany opadł na krzesło w jadalni. Oparł głowę o blat stołu, ręce rozłożył przed sobą. Pomyślał o swoich synach, na co nie pozwalał sobie zbyt często. Fantazjował, jacy byliby przystojni, gdyby mieli szansę dorosnąć, jak piękne byłyby ich żony i dzieci. Zamknął oczy, wyobrażając sobie, jak wypełniliby ten pokój hałasem. Zapalił świece w pustych kandelabrach, rozpalił w kominku, napił się swojego ulubionego chambertin, jadł jagnięcinę, ziemniaki polane roztopionym masłem i śliwki pływające we własnym słodkim soku.

Bardzo szybko te obrazy zatoneły w ciemności obecnej w jego głowie. Otworzył oczy, napawając się otaczającą go ciszą. Gdyby mógł chociaż poczuć woń gotującej się potrawy, zapach perfum, kwiatów. Jednak odór własnego ciała, smród spod pach i nieprzyjemna woń nieumytych włosów sprawiły, że nie mógł sięgnąć wyobraźnią poza ściany tego ponurego pokoju, zapomnieć o dotkliwej samotności. „Zapachy – pomyślał Auguste – zapachy decydują o wszystkim”. Zbyt intensywny może zrujnować opinię przyzwoitej kobiety, może nawet zniszczyć przyzwoity posiłek. Zapach może pomóc odtworzyć najwspanialsze wspomnienie czy, tak jak teraz, zniszczyć delikatną fantazję.

Miał ochotę ponownie zamknąć oczy, odciąć się od świata, ale powstrzymał się. Wyrzwał przez pokryte grubą warstwą śniegu okno. Zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, która jest godzina ani jaki jest dzień tygodnia. Zaskoczyło go, że stracił kontakt z rzeczywistością.

Wyobraził sobie Henriego przykucniętego pod drzwiami, ze śniegiem w butach, otaczającego ramionami swoją wątłą pierś.

Mały Henri wsunął kiedyś rączkę w dłoń Auguste'a i powiedział: „Chciałbym, żebyś był moim prawdziwym papą”. Auguste spojrział w jego wielkie oczy i odparł: „Prawdziwych ojców chłopcy często nie kochają. Znacznie lepiej jest tak jak teraz”.

Dwa dni później Auguste położył się z powrotem do łóżka, podjąwszy decyzję, że zostanie w nim, dopóki ta przekłeta wojna się nie skończy. Madame

Savaray postanowiła, że musi coś z tym zrobić. Nawet w szabat i z bolącym biodrem musiała przywrócić odrobinę normalności w tym domostwie. Ponieważ w ogóle nie dbała o zachowywanie pozorów, poszła do kuchni i zdjęła z haka zaplamiony krwią fartuch.

Marie weszła, gdy madame Savaray próbowała przebić warstwę lodu, która utworzyła się na wypełnionym wodą wiadrze.

– Madame – powiedziała rozsądnie. – Nie powinna pani tego robić.

Tamta zanurzyła szmatę w wiadrze.

– Robiłam to przed ślubem, mogę robić i teraz – skwitowała.

Teraz przy takiej pracy wszystko ją bardziej bolało, ale madame Savaray mogła znieść ból w kłykciach i strzykających biodrach.

Nie była w stanie natomiast znieść tego domu. Gdyby mogła, szorując, pozbyć się tego wszechobecnego w nim brudu samopobłażania, z chęcią by to zrobiła. Chwyciwszy kostkę ługowego mydła, natarła nim mokrą szmatę, a potem, ku przerażeniu Marie, uklękła i zaczęła szorować podłogę.

Pracując, z pochyloną głową i zgarbionymi ramionami, przypominała sobie, jak prało się w kuchni jej *maman*. Pamiętała zapach popiołu i wilgotne powietrze, przez które kręciły się jej włosy na skroniach. Przez osiemnaście godzin stała nad balią przykrytą workiem z popiołem i potażem i powtarzała w kółko ten sam rytuał: przelewała gorącą wodę, którą potem trzeba było spuścić przez odpływ, następnie podgrzać i znowu przelewać. Pomimo pomarszczonych dłoni i pęcherzy na stopach praca przynosiła spokój i ukojenie.

Na koniec wypłukała szmatę w wiadrze. Kolana ją bolały, ręce zdrętwiały, ale czuła satysfakcję. W dniu, gdy razem z *maman* prały, też bolały ją nogi i plecy. Ból oznaczał, że praca została należycie wykonana.

Po południu Colette znalazła madame Savaray klęczącą w pracowni Henriego i Aimée. Pomyślała, że staruszka straciła rozum.

– Dobry Boże! Co wyprawiasz? – zawołała.

Madame Savaray nawet na nią nie spojrzała.

– Sprzątam.

– Dlaczego?

– Trzeba to zrobić, mnie zaś to nie pozbawi godności.

– A powinno – Colette podeszła do stolika, na którym leżał stos książek, kartka papieru, gęsie pióro i brzuchata karafka.

– Nie dotykałaś żadnej z tych rzeczy, prawda?

Madame Savaray wrzuciła szmatę do wiadra.

– Oczywiście, że dotykałam.

Podniosła się, pomrukując, chwilę zajęło jej, zanim zdołała wyprostować kolana.

– Wytarłam kurze. – Wskazała głową na przedmioty, o które pytała Colette.

Promienie słoneczne padały na tubki farb, leżące na stoliku obok rzędu pędzli i czystej drewnianej palety, wszystko niestety już uporządkowane.

– On nie wróci – powiedziała madame Savaray. Colette zeszywniała. – Wiedziałam to, odkąd zobaczyłam jego twarz, gdy wychodził, nie uwierzyłam jednak, dopóki nie weszłam do tego pokoju.

W świetle wpadającym przez okno złote plamki w oczach Colette wyglądały jak skaczące iskierki. „Jest zbyt piękna”, pomyślała madame Savaray. Tak piękne kobiety zawsze są źródłem kłopotów.

– Lepiej to ściągnij, zanim ta wojna się skończy – powiedziała Colette, patrząc, jak madame Savaray wyciera ręce w fartuch. – Plotkom nie będzie końca.

Madame Savaray zignorowała jej uwagę.

– Jeśli na tyle mocno kocha Aimée, może wróci do niej.

Policzki Colette zapłonęły. Nieco zdziwiona przechyliła lekko głowę.

– Co dokładnie masz na myśli?

– Mój Boże! – Madame Savaray uniosła jedną brew. – Ty i Auguste jesteście głupcami, jeśli tego nie dostrzeżliście. Aimée i Henri są w sobie zakochani i trudno im się dziwić. Przez te wszystkie lata spędzali ogrom czasu razem. Czego oczekiwałaś? Myślałam, że jesteś bardziej rozważna.

Colette zacisnęła zęby, tak że jej żuchwa wysunęła się do przodu. Wyprostowała ramiona, z wdziękiem lekko nimi wzruszając.

– Mylisz miłość z nudą – powiedziała. – Jeśli Henriemu zależało na komukolwiek z nas, wróci albo przynajmniej nas powiadomi, co się z nim dzieje. Choćby z uprzejmości, biorąc pod uwagę, ile nam zawdzięcza.

Ruszyła do drzwi, machając ręką, jakby chciała odgonić natarczywą muchę.

– Skończ szybko z tymi głupotami – dodała, wychodząc.

W korytarzu oparła się o ścianę, zgrzyt zębów odbijał się w jej głowie. Henri po prostu nie mógł teraz wrócić. Ani dla Aimée, ani dla nikogo innego w tym domu.

Gdy Colette szła korytarzem, Aimée stała przy oknie w swojej sypialni, przyglądając się zakrwawionemu żołnierzowi, który czołgał się przez ulicę w połyskującym od słońca śniegu. Drugi żołnierz, oparty o ścianę budynku, palił papierosa. Aimée była przekonana, że czołgający się człowiek zamierza prosić o pomoc, ale on minął żołnierza, jakby miał jakąś ważną sprawę do załatwienia, jakby czołganie się było najzwyklejszą rzeczą na świecie.

Aimée wbiła paznokcie w swoje zapadnięte policzki. Chciała wyrwać sobie włosy z głowy, krzyczeć, rzucić czymś i rozbić to na miliony kawałków.

Uderzyła pięścią w skobelek zamarzniętej szyby i otworzyła okno, wpuszczając do środka chłodne powietrze. Trochę krwi napłynęło do jej kłykci, dzięki czemu poczuła się lepiej. Żołnierze gdzieś zniknęli, tak jak i niewielka chmura na niebie, które przybrało teraz śnieżnobiały kolor. Stojąc przy parapecie,



Aimée otoczyła się ramionami, broniąc się w ten sposób przed zimnym, pustym, bezbarwnym światem.

Minęły tygodnie, odkąd Henri wyjechał. Tygodnie, w czasie których wszystko się zmieniło. Meble, okna, pokoje, nic już nie wydawało się takie same, nawet tak trwałe rzeczy jak dębowe krzesła. Ale Aimée, która zaraz po jego wyjeździe stała się krucha, oderwana od świata, rozedrgana, poczuła się lepiej. Musiała się otrząsnąć.

Niezwykły wysiłek czołgającego się na mrozie żołnierza sprawił, że straszny ciężar jej własnych przeżyć wydawał się bezwartościowy i nieistotny. Może Henri czuł się tak samo. Może wyjechał, żeby udowodnić swoją wartość.

Po raz pierwszy od jego zniknięcia Aimée wyobraziła sobie życie bez niego. Próbowała sobie przypomnieć, kim była, zanim się pojawił pewnego ponurego kwietniowego dnia roku 1860, gdy miała zaledwie osiem lat.

### Rozdział 3

W pewien wiosenny mżysty dzień zmuszono Aimée do włożenia najlepszej sukni z falbanami i za ciasnym stanem.

Miotła się bez celu od śniadania. Wszyscy ją ignorowali, nikt nie chciał wyjaśnić, dlaczego w ich domu zamiast kolejnego maleńkiego braciszka pojawi się duży chłopiec z Anglii. Może dlatego, że te małe dzieci ciągle umierają, ale dzieci w każdym wieku umierają, więc skąd wiadomo, że ten, który przyjedzie, przeżyje.

Pierwsze dziecko żyło tylko dwa miesiące. Trzyletnia wtedy Aimée myślała, że go zabiła, bo włożyła mu palec w usta, a on krzyknął z przerażeniem. Mama szybko go zabrała, a następnego dnia babcia powiedziała Aimée, że dziecko nagle zmarło i nie będą już o nim więcej rozmawiać. *Maman* nie wychodziła ze swojego pokoju, a papa wyjechał na długi czas, więc Aimée założyła, że to jej wina.

Drugi chłopiec urodził się w środku nocy. Gdy Aimée zapytała, czy może go zobaczyć, babcia spoważniała i nakazała jej ciszę. Nikt więcej o nim nie wspominał.

Potem na świat przyszedł Léon. Przeżył dwa lata, Aimée kochała go z całego serca. Gdy po raz pierwszy wsunął swoją małą, tłusciutką rączkę w jej dłoń, zaskoczyło ją, że taki jest cieputki i mięciutki. Nikt wcześniej nie dotykał Aimée z taką czułością. Niektóre dzieci opierały się na kolanach, przytulały i dawały całusy. Niektóre na ulicy trzymały się za ręce ze swoimi mamami, ścisnęły swoich tatusiów na dobranoc. Aimée nie była takim dzieckiem. Jej papa trzymał ją na dystans. Jeśli już na nią spojrział, to ze skonfundowanym, zaskoczonym wyrazem twarzy, jakby się zastanawiał, jakim cudem znalazł się z nią w jednym pokoju. Zdarzało się, że babcia poklepała ją po głowie, ale Aimée czuła tylko dziwny grzechot. *Maman* natomiast przed snem przychodziła pocałować ją w czoło, a wyglądała przy tym jak ptak nurkujący w poszukiwaniu pożywienia. Aimée była pewna, że *maman* składała pocałunek w powietrzu, bo ona wcale go nie czuła.

To Léon dotykał Aimée. Zwijał się w kłębek na jej kolanach i chwycił rączkami jej palce. Dawał całusy, ciągnął za suknię i łapał za włosy. Nie przeszkadzało jej, gdy podrapał ją po policzku albo gdy przypadkowo wsadził palec do oka. Ona szczypała Léona w rękę i ssała pulchne paluszki, które smakowały jak kwaśne mleko. Nie uderzył jej, nie odepchnął, a ona głaskała go po policzkach i poklepywała po głowie, czując, że nigdy się nim nie znudzi.

Potem dostał gorączki i wypieków na twarzy, dłonie były gorące niczym ogień. Z czasem zapomniała, jak wyglądał, ale wciąż pamiętała ciepło jego rąk, gdy dotykała ich po raz ostatni.

Nie wiedziała, że po śmierci ciało sztywnieje i staje się zimne. Kiedy położyli maleńką trumnę w ziemi, znenawidziła swoich rodziców za

pozostawienie miękkiego, ciepłego ciała jej brata w ciemnym grobie. Chciała położyć się tam z nim, przytulić go i powiedzieć, że ma się nie bać. Papa wprowadził ją z cmentarza siłą.

A teraz jakiś dziwny chłopak przyjeżdża, żeby z nimi zamieszkać. Nikt nie nazywał go jej bratem, ale każdy zachowywał się, jakby w domu miało pojawić się nowo narodzone dziecko. Uprzątnięto dla niego pokój, zakupiono nowe ubrania, które powieszono w szafie, przygotowano wykwintny obiad, a Colette oczekiwała jego przyjazdu z wypiekami na twarzy.

Gdy zjawił się Henri, Aimée nie chciała się z nim przywitać. Przyglądała się tylko zza drzwi salonu temu niewysokiemu, nieśmiałemu chłopcu, który stał w przedsionku. Miał włosy koloru brudnej słomy i błękitne oczy przypominające te, które miała jej porcelanowa lalka. Wraz z nim weszła odziana w niebieską suknię podróżną elegancka kobieta z ogromnym niebieskim kapeluszem na głowie. Aimée dostrzegła, że widoczne spod kapelusza włosy mają ten sam kolor, co włosy chłopca.

Przysłaniając usta dłonią, dama rozmawiała z papą Aimée. Dziewczynka nie słyszała, co dokładnie mówili, ale papa wyglądał bardzo poważnie i ciągle potakiwał. Colette nie zwracała na nich uwagi. Prawdopodobnie dlatego, że kobieta była wyjątkowo ładna, a jej mamy nie interesowały kobiety ładniejsze od niej. Colette przykucnęła przed chłopcem, uśmiechając się szeroko, zmrużyła oczy, odgarniając włosy z jego czoła. Po kilku minutach kobieta w kapeluszu ruszyła w stronę wyjścia, po chwili jednak zawróciła. Poklepała chłopca po głowie odzianą w rękawiczkę dłonią, co najwyraźniej nie sprawiło mu przyjemności, po czym wyszła.

Rodzice Aimée patrzyli na Henriego, jakby spadł im z nieba. Aimée pomyślała, że wygląda na chorowitego, ale był dostojnie ubrany i przybył z licznymi kuframi, więc przynajmniej nie zabrali go z sierocińca. Może jego prawdziwi rodzice będą chcieli, żeby do nich wrócił.

Podczas kolacji *maman* kazała jej mówić po angielsku, żeby Henri mógł poczuć się jak w domu. Aimée w czasie całego posiłku mówiła wyraźnie piękną francuszczyzną. Colette spoglądała na nią lodowato, a Auguste ignorował, kierując całą swoją uwagę na chłopca.

Choć Aimée obiecała sobie, że będzie trzymać się z daleka, tej samej nocy weszła bez pukania do pokoju Henriego i usiadła w nogach łóżka. Chłopiec stał na środku pokoju, trzymając w ręce kawałek papieru, który szybko schował do kieszeni. Jego spodnie miały mosiężne guziki na mankietach, błyskające w świetle lampy, gdy pocierał stopą o dywan.

– Dobrze – powiedziała Aimée po angielsku. – Nie musisz być dla mnie miły, bo ja już zdecydowałam, że cię nie polubię.

Uśmiechnął się. Miał piękny uśmiech, który całkiem odmieniał jego wygląd.

– Nic nie szkodzi – odrzekł słabą francuszczyzną. – Jestem przyzwyczajony do tego, że mnie nie lubią.

Aimée zacisnęła usta. Strasznie chciała zapytać, dlaczego nie jest lubiany, ale mogłoby to sugerować chęć zawarcia przyjaźni, a przecież tego nie chciała. Zdecydowała się zatem milczeć.

Henri usiadł obok niej. Jej policzki oblały się rumieńcem.

– Uczyłem się francuskiego, ale nie miałem wielu okazji, żeby go używać. Wolałbym, byś nie mówiła po angielsku, mógłbym szlifować wtedy francuski.

Aimée odwróciła głowę. Był irytująco miły.

– Nigdy nie miałem towarzystwa innych dzieci – dodał tonem dorosłego.

– Ja za to miałam w nadmiarze. – Zerknęła ukradkiem na niego. – *Maman* uwielbia przyjmować gości, więc w domu zawsze są dzieci. Chłopcy są najgorsi. Mam trzech kuzynów. Są obrzydliwi, wszędzie biegają. Nie mogę nosić wstążek we włosach, bo mi je ściągają.

Prawda była taka, że zazdrościła im wolności. Próbowwała biegać z nimi, ale za każdym razem ją bili, nie było to więc warte zachodu.

Podniosła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Polubią cię bardziej niż mnie, bo jesteś chłopcem. Zawsze woleli chłopców.

Henri nie był pewien, czy dziewczynka mówi o swoich rodzicach czy kuzynach.

Po kilku minutach dodała:

– Nie wyglądasz na chłopca, który lubi sobie pobiegać.

– Bo nie lubię.

– Albo takiego, co ciągnie za wstążki.

– Nie ciągnę.

– No, to dobrze.

Pomyślała, że chłopiec, z którym właśnie rozmawia, może nie jest taki zły.

– Dlaczego cię tu przysłali?

Henri ruszył w drugi koniec pokoju, wpatrując się w wiszący na ścianie wielki portret wspaniałego, zmarłego już wuja Savaray.

– Moja rodzina miała kłopoty.

Zabrzmiało ciekawie.

– Jakie kłopoty?

Henri rozejrzał się po swojej nowej sypialni, twarz mu pobladła.

– Nie mogę o tym mówić – rzekł cicho. Nie wiedzieć czemu czuł, że zawiódł Aimée. – Przepraszam – dodał.

– Możesz mi powiedzieć. Nikomu nie powtórzę.

Henri poczuł, że dziewczynka bacznie go obserwuje.

– Nie chcę. – Splótł ręce za plecami. – Proszę, nie pytaj mnie o to.

Było tyle smutku w jego głosie, że uparta Aimée, która zazwyczaj dostawała, czego chciała, powiedziała:

– No to może wymyśl interesujące kłamstwo.

Widząc, jak bardzo Henriemu ulżyło, nigdy już go o to nie spytała. Teraz, gdy minęło dziesięć lat od owego wydarzenia, stała przy oknie i wyobrażała sobie, że wrócił do Anglii. Widziała, jak idzie z piękną kobietą w wielkim niebieskim kapeluszu, trzymając ją za rękę.

## PARYŻ 1873

### *Rozdział 4*

Po utworzeniu nowej republiki powojenny Paryż rozkwitał. Odbudowano ulice i nadano im nowe nazwy, sprzedawcy obrazów zmienili swoje sklepy w galerie, w dużo szerszych witrynach umieszczano bogatsze, a wręcz zbyt kosztowne ekspozycje. Suknie stały się elegantsze i bardziej opinające, dekolty wydatniejsze, rękawy krótsze, a rękawiczki dłuższe.

Największą zmianą dla Auguste'a i Colette Savarayów były narodziny ich syna, Jacques'a. Przyszedł na świat w rodzinie, która potrzebowała dziecka, chłopca, wypełnienia pustki.

Ciąża zaskoczyła wszystkich. Colette miała prawie czterdzieści lat. To Aimée powinna wyjść za mąż i rodzić dzieci. Savarayowie liczyli, że pewnego dnia pojawi się wnuk. Ich własne dziecko, po tak długim czasie, było jak cenny podarunek, którego zawartość budzi strach, więc nikt nie chce go otworzyć. Po narodzinach Jacques'a wszyscy wstrzymali oddech. Od miesięcy mówili szeptem, chodzili na palcach. Mimo że chłopiec wyrósł na tłuściutkie, zdrowe dziecko, obawiano się, że może nagle umrzeć.

W pierwszym roku życia chłopca Aimée bała się go dotknąć. Obserwując pomarszczoną skórę noworodka pokrywającą mięciutkie ciało, czuła się nieswojo. Piąstki w powietrzu i mleko o kwaśnym zapachu w kąciку różowych ust przywoływały wspomnienie Léona wypełnione ciepłem, spokojem i smutkiem.

Dopiero kiedy pewnego dnia raczkujący Jacques podszedł do niej, Aimée w końcu wzięła go na ręce. Na początku po prostu schował głowę pod spódnicę, a następnie, trzymając się kurczowo materiału, dźwignął się na nogi. Aimée spojrzała na koronę utworzoną z puszystych blond włosów chłopca i czekała, aż znowu padnie na kolana. Tymczasem on puścił się jej sukni i stanął na chwiejących nogach. Zrobił to po raz pierwszy. Aimée poczuła przyływ dumy, jakby ten triumf był jej zasługą. Po chwili Jacques padł do tyłu. Aimée krzyknęła, kiedy jego głowa uderzyła o drewnianą podłogę, zaraz też rozbrzmiał jeszcze głośniejszy lament chłopca. Aimée podniosła go i trzymała w ramionach, kołysząc, aż się uspokoił.

Po tym wydarzeniu nie przeszkadzało jej ciepło małych nóg owiniętych wokół jej talii czy ramion wokół szyi.

Gdy Jacques miał dwa lata, Aimée wpuściła go do swojej pracowni. Posadziła na arkuszu papieru na środku pokoju. Wręczyła mu pastele, które szybko zmieniły się w drobny proszek. Gdy Colette weszła do pokoju, zobaczyła chłopca pokrytego bladym różowym pyłem.

– Dobry Boże, Aimée – powiedziała, podnosząc go z podłogi i trzymając na wyciągnięcie ramion. – Mógł się udusić.

– Wolalabyś, żebyś dała mu farby? – odparła Aimée. Colette przewróciła oczami.

– Kredki byłyby odpowiednie albo ołówek. Dlaczego musisz zachowywać się tak nierozsądnie? – dodała, wychodząc ze zwisającym bezwładnie Jakiem na rękach.

Aimée spędzała większość czasu w pracowni. Mogła się kształcić i szlifować swój talent albo wyjść za mąż. Zapełniła więc pracownię w nowym domu Savarayów przy rue l’Ampère książkami, dzieląc swój czas między czytanie a malowanie. Pochłaniała ją historia Rzymu, nauka francuskiego i greki, czytała Liwiusza, Micheleta, Arystofanesa, Plutarcha, Homera i Platona. Godzinami przesiadywała w Luwrze, kopiując dzieła dawnych mistrzów, albo malowała w plenerze zmieniające się światło.

Tylko malując w milczeniu, przywracała Henriego do życia. Słyszała jego oddech, jakby stał tuż obok niej, szelest rękawów jego koszuli i szuranie butów. Nie wierzyła, że nie żyje, ale przestała wierzyć, że do niej wróci.

Jej obsesją stało się rysowanie dłoni. Uznała, że właśnie dotyk urzeczywistnia osobę. Nocą leżała w łóżku, głaskając swoje uda i wyobrażała sobie, że to dotyk modelu, którego malowała danego dnia. W ten sposób próbowała poczuć, że żyje.

Po pewnym czasie malowanie dłoni przestało jej wystarczać. Pragnęła nagości. Dojrzałych sutków, pulchnych piersi, umięśnionych ud, napiętych ramion i naprężonych brzuchów.

Zapisała się do Académie Julian, gdzie panowały tłok, hałas i przerażająca dla niej rywalizacja, ale ta szkoła jako jedyna przyjmowała w swoje progi kobiety i tylko tu Aimée mogła malować akty, mając wrażenie, że pociągnięciami pędzla budzi do życia postać na płótnie.

Hałas panował tam przerażający. Ludzie chichotali, pokastywali, szurali, wzdychali, a wszędzie panował chaotyczny zgiełk. Ale od odejścia Henriego przed trzema laty Aimée nie lubiła malować sama, a w *académie* była przynajmniej otoczona prawdziwymi artystami, walczącymi, by ich obrazy zawisły w Salonie Paryskim, na wystawie organizowanej przez Académie des Beaux-Arts.

Nauczyciel Aimée, Rodolphe Julian, powiedział, że nie ma dla niej nadziei. Jej prace były zbyt jaskrawe. Używała za dużo błękitu. „Stonuj je”, powiedział. Ale że jej zdaniem nie miał zielonego pojęcia o odcieniach, więc jego krytyka jej nie zniechęciła. Aimée spędzała czternaście godzin z rzędu przy swoim płótnie, na lekcjach anatomii i rysunku z natury. Obok perfumowanego papieru i wizytówek trzymała w szufladzie swojego biurka prawdziwe kręgi, których budowę mogła studiować późną nocą.

Błędem było myślenie, że wystarczy zapełnić płótna, umysł, czas. To nie wystarczało. Gdzieś w głębi duszy, wciąż niespokojna i rozkojarzona, czekała, aż

coś się wydarzy.

I tak się stało. Z początku moment ten wydawał się nie mieć znaczenia, przelotne spotkanie, które niczego nie powinno zmienić.

Był przyjemny ciepły wieczór pod koniec listopada. Niebo pokrywały gwiazdy, półksiężyc rzucał chłodne światło. Dachy przykryła gruba warstwa śniegu, wróble siedziały na okapach, chwiejąc się na cienkich nóżkach.

Colette Savaray wyprawiała właśnie jeden ze swoich wieczorków, goście pojawili się w świetnych humorach. Zrzucając płaszcze i kapelusze, uśmiechali się do Colette i Auguste'a, którzy stali obok siebie, wytworni jak zawsze.

Onieśmielona Aimée stała za plecami matki, w zielonej połyskującej sukience z jedwabiu z wydatnym, okrągłym dekoltem. To Colette wybrała tę tkaninę, znacznie ciemniejszą niż jej własna, w różowo-białe paski, ale kolor pasował Aimée.

W drzwiach pojawił się wysoki mężczyzna, a Colette, spoglądając na niego, nachyliła się do córki i szepnęła:

– Arnaud Gaudet. – Wszyscy znali go jako bogatego właściciela fabryki porcelany.

Aimée przyglądała się mężczyźnie, gdy ten ściągał swój płaszcz. Obrócił się i oddał go lokajowi, stanowczo skinąwszy głową. Długa szyja zdecydowanie nie pasowała do tak małej głowy. Pod eleganckim ubraniem z pewnością kryły się ohydnie odstające kolana i łokcie.

Aby uniknąć przedstawiania się, Aimée podbiegła do swojej kuzynki, Julii, która wyłoniła się zza pleców monsieur Gaudeta. Uściskała ją i ucałowała, myśląc, że dziwnie widzieć ją samą, bez jej braci, tych łobuzów, którzy tyle lat temu ciągnęli Aimée za wstążki. Wszyscy trzej zginęli w czasie wojny.

Wojna i rewolucja każdego w jakiś sposób dotknęła. Taki temat poruszono podczas rozmowy przy stole, wymiana opinii następowała nad lśniącą barokową zastawą, kryształowymi kieliszkami, sałatką z truflami i pływającym w maśle i occie homarem.

Francja przegrała wojnę, na całej linii. Rozmawiali o detronizacji Napoleona III i Zgromadzeniu Narodowym, składającym się w większości z monarchistów, którzy zgodzili się na wszystkie warunki pokoju z Prusami. Rozgorączkowani szeptali o krwawej rewolucji, masakrze, która miała miejsce kilka miesięcy po zakończeniu wojny, gdy wiosną zdusiła czerwona chmura dymu, a ulice Paryża wypełniły się hukami wystrzałów i martwymi ciałami.

Aimée jadła w milczeniu, słuchając, jak wszyscy oskarżają komunardów – robotników, bezrobotnych, ludzi, którzy z oddaniem walczyli w Gwardii Narodowej – o bunt i wysuwanie żądań, których rząd nie był w stanie spełnić. Aimée, zastanawiając się, ile złego może znieść jedna osoba, przypominała sobie żołnierza, którego widziała z okna sypialni, jego buty, które ciągnął za sobą, i krew



rozmazaną na śniegu. Przez jedną ulotną chwilę pomyślała o Henrim, ale odsunęła jego wspomnienie od siebie. Nie mogła znieść myśli, że byłby jak ten żołnierz czy jeden z komunardów uwięzionych przez wojska rządowe – Aimée słyszała o czterdziestu tysiącach mężczyzn i kobiet, bogatych i biednych. Związani ze sobą za ręce szli w deszczu ulicami.

Dziwne, że ona tu siedzi, a inni, jak jej kuzyni, po prostu zginęli.

Spojrzała na *maman*, promienną i ożywioną z zaczerwienionymi od wina policzkami i rozchylonymi ustami, słuchającą mężczyzny siedzącego po jej lewej stronie. Papa siedział na drugim końcu stołu, mocno gestykulując, wyrażając swoje poparcie dla nowej republiki o sympatiach monarchistycznych.

Przypomniało jej się pewne wydarzenie z dzieciństwa. Schodziła po schodach z kciukiem w buzi, ciągnąc po stopniach szmacianą lalkę, która straciła już wszystkie swoje włóczkowe włosy. Jej papa wracał na górę, ale zatrzymał się, gdy ją zobaczył. Stali naprzeciwko siebie i Aimée wyraźnie widziała jego twarz. „Papo – powiedziała. – Jesteś smutny?”

Jego stanowcze „tak” utkwilo Aimée w pamięci. Zastanawiała się, czy powiedział jej prawdę, bo była mała i nikt się z nią nie liczył. Teraz nie powiedziałby czegoś takiego. Słuchając go, zastanawiała się, czy wierzy we wszystko, co mówi, czy też po prostu mówi, by zdobyć sympatię ludzi.

W zeszłym tygodniu rozprawiał o Édouardzie Manecie, biorącym udział w pisaniu pierwszej wersji statutu dla nowego zrzeszenia pejzażystów. Wyrzuceni z Salonu Paryskiego radykałowie zdecydowali się założyć własne stowarzyszenie, którego wybrani wcześniej członkowie mieli określone prawa i podejmowali współpracę z innymi artystami. Twierdząc, że Académie des Beaux-Arts nie nadała za postępem, chcieli organizować niezależne wystawy, nie zważając na sędziów, jury i nagrody. Jej ojciec nazwał ich grupą śmiesznych głupców, oburzając się na ich umyślną próbę obrażenia nowej republiki. Przewodniczącym stowarzyszenia został dyrektor akademii. A jednak Édouard siedział tutaj w towarzystwie swojej pulchnej żony, Suzanne.

Aimée wiedziała o niezależnej wystawie artystów plenerowych, ale nie wspominała o niej ojcu. Jej papa zawsze powtarzał, że obiady z ludźmi o podobnych poglądach są nudne, a różnica zdań, zwłaszcza w dziedzinie polityki czy sztuki, zmienia spokojny wieczór w interesująco burzliwy, jednak Aimée wiedziała, że odnosi się to do ważnych osobistości takich jak Édouard, a nie do zwykłych ludzi, jak ona sama.

Trzy miejsca od Aimée siedziała sztywno madame Savaray; niczego nie jadła, tylko słuchała kobiety, która absurdalnie głośno mówiła o deportacjach do Nowej Kaledonii.

– Wolalbym, by mnie rozstrzelano, niż deportowano – zadeklarował śmiało młody człowiek. Madame Savaray zmiażdżyła go wzrokiem, uznając go

najwyraźniej za niepoważnego. W każdym innym czasie podzieliłaby się tą opinią na głos, ale problemy narodu chwilowo obchodziły ją o wiele mniej niż jej własne.

Dwa tygodnie temu, w ponury zimowy dzień, madame Savaray wybrała się na spacer. W pewnym momencie zatrzymała się na środku ulicy, uświadamiając sobie, jaka była prawdziwa przyczyna odejścia Henriego. Ludzie przechodzili obok niej, kilku ją szturchnęło, ona jednak nie mogła się przez jakiś czas ruszyć, a kiedy to zrobiła, miała wrażenie, że wyrósł przed nią głąz i odziana w suknię, buty i z bolącymi kolanami musiała znaleźć siłę, aby go przeskoczyć. Gdyby była młodsza, gdyby nie pojęła przez te wszystkie lata, do czego zdolni są ludzie, nigdy by się nie domyśliła prawdy. Nie mogła w to uwierzyć. To musiał być przejaw desperacji. Jedni by uznali, że trwała wojna i wszyscy byli zdesperowani. Ale to wydarzyło się na długo przed jej wybuchem i serce matki, jej serce, wiedziało, jak strasznie może zakończyć się małżeństwo jej syna.

Gdy tak siedziała, słuchając tych wszystkich ludzi, którzy twierdzili, że znają prawdę o tym czy owym, czuła się ogromnie samotna ze swoją tajemnicą. Kiedy podano deser, wymówiła się i udała do swojego pokoju. Czuła lekkie pulsowanie w kolanie, ale ten ból wydawał się dziwnie pocieszający, znany i pokrzepiający, ból, który była w stanie znieść.

Po deserze goście przenieśli się do salonu. Colette krążyła po pokoju, upewniając się, że wszyscy mają napełnione kieliszki, zapalone cygara, a w rozmowie nie porusza się spraw politycznych.

Aimée stała, słuchając frywolnej opowieści kuzynki o tym, jak uniknęła pocałunku z człowiekiem o okropnym oddechu.

– Jak zgniłe jaja – roześmiała się Julia. – A jego włosy – poklepała czubek swojego koka – od pomady błyszcząły jak woskowa lalka.

Pochyliła się, by szepnąć coś więcej, ale szybko zamilkła, zdając sobie sprawę, że ktoś stoi za Aimée. Dziewczyna obróciła się i musnęła nagim ramieniem Édouarda Maneta ubranego w surdut z miękkiego aksamitu.

– Dobry wieczór, monsieur Manet – powiedziała Julia, skinąwszy głową. – Zechce mi pan wybaczyć... Wydaje mi się, że madame Beaux mnie woła. – Uśmiechnęła się i mijając Aimée, uszczypnęła ją w ramię.

Édouard, przytrzymując klapy swojego surduta, kołysał się w przód i w tył, nie rozpoczynając rozmowy. Aimée nie była pewna, czy powinna czuć się zlekceważona czy skomplementowana. Co za absurd, że tak stał obok niej, jeśli nie chciał z nią rozmawiać.

– Będzie pan latem jeździł na regaty w Argenteuil? – zapytała.

– Tak, owszem. – Obracając się w stronę Aimée, musnął rękawem surduta jej ramię.

– Jakże szkoda opery Le Peletier! – Podniosła głos, starając się podtrzymać rozmowę. – Spaliła się do cna. Wszystkie te kostiumy i nuty przepadły

bezpownotnie. To prawda, że chciał ją pan uwiecznić na obrazie?

– Tak – odrzekł. – Szkoda, że go nie ukończyłem.

Nie podjął dalszych prób zaangażowania Aimée w rozmowę, ale przyglądał się jej małymi, ciemnymi oczami, aż poczuła uderzenie gorąca w okolicy uszu.

– Miło było pana spotkać – powiedziała z wymuszonym uśmiechem i odeszła z wypiekami na policzkach.

Gdy oddalała się od niego, kierując w przeciwny kąt pokoju, Manet powiedział głośno, jakby chciał, by wszyscy go usłyszeli:

– To byłaby dla mnie wielka radość, mademoiselle Savaray, gdyby zgodziła się pani pozować mi do portretu.

W pokoju zapadła cisza. Wszyscy zwrócili twarze w stronę Aimée.

Jeśli Édouard miał zamiar jej schlebić, to nie udało mu się to. Czowała się zawstydzona, jakby było coś wyjątkowego w niej tylko dlatego, że Édouard Manet tak twierdził.

Jej papa podniósł się z kanapy, a wyraz zdziwienia na jego twarzy był jednocześnie wyrazem chłodnej niechęci skierowanej do Aimée. Podeszedł do Édouarda, dym z jego cygara unosił się w pokoju.

– Czuję się zaszczycony, monsieur Manet, gdyby namalował pan moją córkę – rzekł z dumą, jakby dopiero teraz stała się wartościową osobą.

Colette wyłoniła się z grupy pań szepczących do siebie, zasłaniając usta dłońmi odzianymi w rękawiczki.

– W rzeczy samej – dodała, jakby wyłącznie do nich należała decyzja. – Bylibyśmy zaszczytzeni.

Aimée zobaczyła, że usta jej *maman* nieznacznie drżą.

Niewiele brakowało, a by odmówiła. Żałowała, że nie przeciwstawiła się rodzicom. Pomyślała jednak o obrazie Édouarda, *Śniadanie na trawie*. Przedstawiał nagą kobietę spoglądającą zuchwale i śmiało na odbiorcę, podczas gdy towarzyszący jej ubrani mężczyźni ze swobodą cieszą się popołudniem spędzonym w rozległym lesie otaczającym pałac w Fontainebleau.

Miała jedenaście lat, gdy obraz zaprezentowano w Salonie Odrzuconych. Wcześniej został odrzucony przez Salon Paryski, a ona pamiętała, jakie wzbudził zdziwienie, jaki wywołał skandal i ile mówiło się o tym, jaki jest nieprzyzwoity i obrzydliwy w swojej zwyczajności. Aimée wpatrywała się w niego zszokowana, poczuła mrowienie między nogami, a *maman* zasłoniła jej oczy i odwróciła ją do niego plecami.

Aimée przenosiła swój wzrok z rodziców na Édouarda, on za spojrział na nią z rozbawieniem i zaciekawieniem, jakby jej niezdecydowanie było zabawniejsze niż jego prośba.

Édouard Manet złamał zasady, ośmieszył ją, a teraz stał dumny i sławny, przekonany, że zrobi, co mu się podoba.

Aimée uśmiechnęła się do niego i skinęła głową. Zrobi to, ale nie ze względu na rodziców, ani dlatego, że Édouard odkrył w niej coś interesującego. Zrobi to z powodu tamtego obrazu i uczucia pożądania, które się w niej uwolniło.

## Rozdział 5

Pracownia Édouarda znajdująca się na rue de Saint-Pétersbourg była imponująca, obszerna i przewiewna. Dwa ogromne okna od zachodniej strony wychodziły na rue Mosnier, a dwa od południowej na ruchliwy place de l'Europe, który Aimée musiała pokonać. Czarne kratownice mostu wciąż połyskiwały od porannego szronu. Jej oddech przypominał kłęb dymu, który próbował się przedostać przez zakrywający twarz welon.

Konsjerżka, brzydka kobieta o pociągłej twarzy, zaprowadziła ją do pracowni. Édouard akurat pochylał się nad kanapą, układając różnokolorowe poduszki.

– Myślałem, że zmienisz zdanie – powiedział.

– I zawiodę moich rodziców? – Aimée stanęła w chłodnym świetle wpadającym do środka przez okna balkonowe.

Édouard podniósł leżącą na kanapie suknię wieczorową w kolorze lawendy i odwrócił się do gościa.

– Nie odważyłbym się zawieść tych dwojga – powiedział, podając jej kreację.

Spśród wszystkich kolorów lawenda najmniej pasowała do karnacji Aimée, ale nie powiedziała ani słowa, kiedy brała od niego ciężki jedwab. Podeszła do parawanu, który znajdował się na drugim końcu pokoju.

Gdy się zza niego wyłoniła, Édouard ustawiał pojemniki z farbą na stole. Spojrzał na nią i wskazał na kanapę, na której wcześniej ułożył poduszki.

Aimée usadowiła się we wskazanym miejscu. Przez cienkie podeszwy pantofli czuła drgania podłogi wywołane przez pociągi przejeżdżające przez dworzec Saint-Lazare. Édouard nie pozwolił jej założyć rękawiczek, a z gołymi od ramion po dłonie rękami poczuła się odrobinę naga.

Édouard podniósł coś ciemnego ze stolika i podszedł do niej. Pachniał tytoniem i słodkimi cytrusami, jakby wcześniej potarł swoje ubranie skórką pomarańczy. Włoski na karku dziewczyny zjeżyły się, gdy pochylił się i zawiązał atłasową tasiemkę na jej szyi.

Wygładził jedwabną suknię w okolicach kolan, złączył jej dłonie, a następnie rozdzielił. Odgarnął loki z czoła i zaczekał, aż swobodnie opadną. Odsunął się i patrzył na nią, ciągnąc się za brodę.

– Krój sukni ci pasuje, ale kolor nie. – Wydawał się zirytowany, jakby to była jej wina. – Przebierz się. – Odprawił ją machnięciem ręki. – Jutro będę musiał wypożyczyć inną.

Przez te kilka minut, gdy się jej przyglądał, zaniepokojona Aimée siedziała nieruchomo, drżąc ze zniecierpliwienia.

– Mogłam to panu powiedzieć, gdy mi ją pan podał – rzekła spokojnie.

Édouard skarcił ją wzrokiem, a między jego brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Powiniennem był zapytać.

– Mnie pasuje tylko biel i czern.

– Jaki odcień bieli?

– Czysty. Śnieżnobiały.

– Wyglądałaś zjawiskowo w zieleni tamtego wieczora.

– To była ciemna zieleń. Bardzo ciemna.

Pokiwał głową.

– Zatem czysta biel i odcienie głębi oceanu.

Aimée spojrzała na jego usta i dostrzegła czubek języka i lekko pożółkłe zęby. Swoim wyglądem stwarzał atmosferę subtelnej intymności. Gdy Aimée wchodziła za parawan, poczuła się rozluźniona, szczególnie w okolicach ud. Zdjęła lawendową suknię, napawając się odsłanianiem swojego ciała.

Kiedy wyszła, na powrót odziana w swoją suknię, Édouard siedział przy płótnie, szkicując różowe piwonie, które wyciągnął z wazonu i rozrzucił na lśniącym stole. W kilka minut wyłonił się zarys delikatnego, subtelnego kwiatu z drobnymi, miękkimi płatkami.

Bez pytania Aimée wzięła kartkę papieru i ołówek i usadowiła się przy stoliku ustawionym pod portretem siedzącej kobiety, której twarz całkowicie zasłaniał czarny wachlarz, a spod granatowej sukni wyłaniała się gładka, biała kostka. Mimo że twarz modelki była zakryta, prowokująco odsłonięta kostka wywołała w Aimée ekscytację. Zaczęła się zastanawiać, jak to jest stworzyć coś tak naturalnego i nowatorskiego. W końcu przyłożyła ołówek do kartki i wykonała jeden precyzyjny ruch.

– Zawsze pracuję sam – powiedział Édouard, nie przerywając pracy. Ton jego głosu nie był niemiły, ale zdecydowany i bezkompromisowy.

Aimée nie powinna zachowywać się tak frywolnie, ale szkicowała nadal i przez moment miała wrażenie, że zamierza ją ignorować. Po chwili dodał trochę dobitniej:

– Nie jestem nauczycielem.

– Uczył pan Evę Gonzales – powiedziała, nadal przesuwając ołówek po papierze. Jej pewność siebie rosła z każdym ruchem. Aimée nie działała z taką obsesją i namiętnością, co Édouard. Kierowała się cichą determinacją.

– To co innego – odrzekł.

Plotka, którą jej *maman* powtarzała przy stole, głosiła, że żona Édouarda nie była zadowolona z tamtej sytuacji. Może chciał Evę w swoim łóżku i na tym polegała różnica.

Odwrócił się nagle. Zaskoczona Aimée aż podskoczyła i na kartce pojawiła

się linia, której nie zamierzała narysować.

– Namaluję cię teraz. – Na jego twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia.

– Wolalabym nie – powiedziała szczerze, mając nadzieję, że Édouard nie uzna jej za bezczelną i niewdzięczną.

Ale on tylko spojrzał zaintrygowany.

– A niby dlaczego nie?

Zawahała się, niepewna, czy z Édouardem można być szczerym.

– Obawiam się, że będę wyglądać na amatorkę. Na obrazie, na którym uwiecznił pan siedzącą przy płótnie mademoiselle Gonzales, wygląda ona, jakby nigdy wcześniej nie trzymała pędzla w dłoni. A jest przecież świetną malarką.

– Zapomniałaś wspomnieć, że oddałem jej piękno. Dla większości kobiet znaczy to więcej niż precyzyjne uchwycenie sposobu, w jaki trzymają pędzel.

– Nie docenia pan zatem niektórych kobiet.

– Ciebie?

– Nie jestem piękna ani nawet atrakcyjna.

– Teraz ty nie doceniasz siebie.

Aimée zaczerwieniła się i odwróciła wzrok. Przez okno mogła dostrzec duże obłoki pary unoszące się ku niebu. Szczere słowa Édouarda schlebiały jej, ale dzięki nim chciał dostać, czego pragnął.

– Jutro będę mieć dla ciebie inną suknię. – Odwrócił się do swojego płótna. – Przyjdź rano.

Zdeterminowana Aimée odsunęła krzesło i wstała.

– Monsieur Manet, przepraszam za te słowa, ale nie cierpię pozować do portretu. Nie umiem usiedzieć w jednym miejscu, swędzi mnie wtedy całe ciało. Przyszłam tu z nadzieją, że nauczy mnie pan czegoś wartościowego.

Édouard pochylił się w jej stronę bez słowa. W pokoju rozlegał się tylko tępy stukot ołówka o drewniany podłokietnik.

– Powiedz mi – rzekł wreszcie. – Malarką jesteś choć trochę lepszą niż modelką?

– Nie wiem.

Na jego twarzy pojawił się ten sam wyraz rozbawienia i zaciekawienia, którym obdarzył Aimée, gdy się poznali, tylko teraz było w nim coś bardziej osobistego.

– No dobrze – westchnął, jakby rezygnując z zasady, której nigdy wcześniej nie złamał. – Przypuszczam, że warto spróbować.

W tym momencie Aimée pomyślała o Henrim. Czowała, że malując z kimś innym, zdradza go.

Édouard wstał i wskazał na swoje krzesło.

– Gdy rysujesz, nigdy nie powtarzaj tych samych ruchów.

Oddał jej swój ołówek.

– Zapomnij o wszystkim, co do tej pory widziałaś. Za każdym razem musisz mieć świeże podejście.

I tak się wszystko zaczęło.



## PARYŻ 1874

### Rozdział 6

Nastała chłodna wiosna. Zielone pączki jeszcze się nie rozwinęły, gałęzie drzew rysowały ostre kontury na tle nieba. Gdy Aimée przecinała place de Clichy, kierując się w stronę stromych, wąskich uliczek Montmartre, na firmamencie zebrały się chmury kształtem przypominające promienie ptasiego pióra.

Pomimo chłodnego wiatru ludzie wynosili krzesła na zewnątrz, by zaczerpnąć trochę słońca. Aimée musiała przejść jezdnią, by nie potknąć się o nogi siedzącego na ziemi mężczyzny, któremu oczy zakrywała czapka. Szczur przeciął jej drogę, a przejeżdżający obok powóz konny zachlapał błotem pończochy.

Cofnęła się szybko na chodnik. Szła coraz wolniej, w miarę jak droga stawała się coraz bardziej stroma. Zanim dotarła do znajdującego się na szczycie niewysokiego budynku z niebieskim dachem, była zziajana i nie mogła złapać oddechu.

– Leonie? – zawołała, otwierając drzwi. Skierowała się wąskim korytarzem do kuchni.

Mieszkanie było małe, ale zadbane w porównaniu z innymi na tej ulicy. Zamiast jednego pokoju z materacem w rogu była tam prawdziwa sypialnia, z drewnianym łóżkiem, które Leonie dzieliła ze swoją cioteczną babką.

W kuchni panowała nieprzyjemna duchota. Aimée poczuła pieczenie na twarzy. Stara pani Fiavre pochylała się nad piecykiem. Gdy zauważyła przybysza, po jej twarzy przemknął bezżębny uśmiech. Ruchem ręki wskazała tylne drzwi. Na niewielkim podwórzu Leonie z podwiniętymi do krągłych łokci rękawami wieszała pranie.

– Udało się – ogłosiła Aimée.

Leonie upuściła koszulę, którą trzymała nad koszem, i zaczęła piszczeć jak dziecko. Następnie otoczyła ramieniem Aimée.

– Czekał – Leonie odsunęła się, opierając ręce na biodrach. – Niech się tobie przyjrzę. – Uśmiechnęła się, ukazując przerwę między zębami, a w jej pełnych policzkach pojawiły się dołeczki. – Zmieniłaś się.

– Przestań. – Aimée się roześmiała.

– Twój pierwszy obraz wystawiony w Salonie? Wręczą ci medal i zdobędziesz sławę. – Leonie założyła za ucho kosmyk pięknych brązowych włosów i podniosła mokrą koszulę. – Powiedziałaś swojemu ukochanemu Édouardowi? Może jego obrazy nie zostaną wystawione w tym roku. Czy to nie byłoby szokujące?

Leonie przypięła koszulę i sięgnęła po poszewkę, którą strzepnęła zdecydowanym ruchem.

Ta dziewczyna zawsze była śmiała i pełna życia. Nawet najmniejsze emocje objawiały się rumieńcami na policzkach, a jej skóra była tak delikatna, że zwykły dotyk pozostawiał na niej czerwone smugi. Gdy Aimée zobaczyła ją po raz pierwszy, stojącą na rue Bonaparte z innymi modelami, przyszedł jej na myśl dojrzały owoc. Miała pełny biust, zaokrąglone ramiona i biodra, i ujmującą przerwę między przednimi zębami, ekscentryczną niedoskonałość, której Aimée nie mogła się oprzeć.

– Édouard zrobił straszną rzecz, o której ci nie mówiłam – powiedziała cicho Aimée.

Leonie zwróciła na nią swoje łagodne, brązowe oczy.

– Chyba mu nie pozwoliłaś?

– To nie to, o czym myślisz – Aimée uderzyła Leonie w ramię. – Nie bądź wulgarna.

Chwyciła za jeden koniec prześcieradła, Leonie za drugi.

– Chodzi o to, że tuż przed złożeniem obrazu do oceny przyszedł do mojej pracowni i trochę go udoskonalił.

Gdy Leonie przypięła swój koniec prześcieradła, podała Aimée klamerkę, przyglądając się zadziwiona, jak jej gość nieporadnie próbuje ją umocować na sznurku.

– Kto by odmówił? Miałaś szczęście, że to zrobił.

– A jeśli jest to jedyny powód, dla którego został przyjęty? Jeśli nie był wystarczająco dobry?

Leonie słabo tolerowała uzalanie się nad sobą.

– Albo jesteś wystarczająco dobra, albo nie. Kilka kresek cudzym pędzlem nie robi różnicy. – Oparła pusty kosz na udzie. – Poza tym to dzięki mojej pięknej cerze obraz został przyjęty. I oczywiście dzięki nim. – Ścisnęła piersi ramionami, wypychając je ze stanika.

Aimée się roześmiała. Zazdrościła Leonie. Kobiety mieszkające w dzielnicy Montmartre, należące do niższych klas, były wolne. Kobiety z klasy robotniczej mogły robić, co im się podoba, chodzić, gdzie im się podoba. Mogły przesiadywać w kawiarniach w towarzystwie mężczyzn, pić absynt, palić, tańczyć, nie dbając o reputację.

Tylko raz podzieliła się tą myślą z Leonie, ta zaś zareagowała przerażeniem.

– Oczywiście, że muszę dbać o swoją reputację. Chyba nigdy nie widziałaś kobiety z czerwoną szminką i w tanich krynolinach – odparła, a potem opowiedziała Aimée, jak zaczęła pracować w warsztacie krawieckim w wieku dziewięciu lat. O dusznej pracowni, w której otulone zapachem tanich perfum kobiety plotkowały, szyjąc suknie z materiałów marnej jakości. Zmrużyła oczy, patrząc na Aimée. – Nie jesteś taka mądra, jak myślałam, jeżeli nie dostrzegasz swojej wolności. Należysz do burżuazji i nie widzisz, jak jest naprawdę –

skwitowała.

Zazwyczaj Leonie nie przejmowała się dzielącymi je różnicami klasowymi. Pozowanie do obrazów Aimée było pracą, i to dobrą, z regularną pensją, a takie zajęcie stanowiło rzadkość. Ich przyjaźń wydawała się jej naturalna. Ostatecznie były przecież kobietami i jako kobiety miały podobne problemy. Po co mają sobie zazdrościć? Jest, jak jest.

– Chodź – powiedziała Leonie, prześlizgując się bokiem przez drzwi z koszem opartym na biodrze. – Napij się ze mną czekolady.

## Rozdział 7

W dniu otwarcia Salonu Paryskiego w domu rodziny Savarayów panowało duże zamieszanie. Jacques biegał z pokoju do pokoju, ale wszyscy go przeganiali.

Kilka dni wcześniej furmanka zabrała obraz Aimée. Wszyscy członkowie rodziny stali na ganku i patrzyli, jak małe płótno, wepchnięte między inne obrazy, oddała się ulicą niczym dziecko wysyłane w świat.

Colette zamówiła nowe suknie. Jedną nawet dla madame Savaray, ta jednak otworzyła pudło, spojrzała na drapowania i falbany i oznajmiła, że nie będzie jej nosić.

Rankiem w dniu wystawy znalazła ją jednak starannie rozłożoną na łóżku. Doceniła fakt, że synowa wybrała suknię w szarym odcieniu. Dotknęła delikatnej tkaniny i postanowiła, że ją włoży ze względu na Aimée, która była tak zdenerwowana, że ledwo mogła zapiąć guziki własnej kreacji. Nigdy przedtem żadna z jej prac nie została wystawiona w galerii, a teraz właśnie jej obraz wisi w Palais de l'Industrie, który mieści jedną z najbardziej prestiżowych wystaw sztuki w Paryżu. Ludzie z pewnością już na niego patrzyli.

Zmagając się z ostatnim guzikiem na karku, Aimée usłyszała bicie zegara w korytarzu i zdała sobie sprawę, że są już spóźnieni. Zamiast się pośpieszyć, jak powinna była zrobić, podeszła do toaletki i wysunęła górną szufladę. W szkatułce z połączanego brązu leżał jej naszyjnik z kamieniem. Nie nosiła go od czasu zniknięcia Henriego.

Trzymała go pod światło, które odbijało się w czystym klejnocie, rzucając tęczę kolorów na przeciwległą ścianę. Aimée odpięła górne guziki sukni, przełożyła naszyjnik przez głowę i wsunęła go do stanika.

Gdy włożyła swoje najlepsze rękawiczki i poruszyła palcami odzianymi w miękką skórę, poczuła ciężar tęsknoty za Henrim, ledwie dostrzegalnej, ale wciąż bardzo żywej.

Auguste czekał w salonie, aż panie zejdą na dół. Stał nad stolikiem szachowym, kręcąc białym pionkiem między palcami. Przypomniał sobie, kiedy po raz pierwszy Henri pokonał go w szachach. Mat przyszedł znikąd, ojciec trzepnął syna w głowę i spojrzał na niego z prawdziwym podziwem. Henri wyglądał na zawstydzonego, Auguste zaś, doskonale to rozumiejąc, uśmiechnął się i powiedział: „Bardzo dobrze, chłopcze. Dobra robota”. Mimo to Henri zwiesił głowę i przeprosił.

Przeprosiny rozgniewały Auguste'a. Chciał obudzić w Henrim ducha sportowej rywalizacji, zmusił więc chłopca do jeszcze jednej gry, upewniając się, że teraz go pokona. Auguste umiał triumfować i pokazał Henriemu, jak się to robi.

Odstawił piona na szachownicę i sięgnął po czarnego, przeniósł go o dwa

poła do przodu i zbił gońcem po przekątnej. Za kilka lat nauczy Jacques'a grać w szachy i jeśli będzie trzeba, pozwoli mu wygrać każdą partię, aby zbudować jego pewność siebie.

Zegar wybił pełną godzinę. Byli spóźnieni. Auguste zajrzał do pustego holu i chciał pogonić Colette, wiedział jednak, że to by ją rozgniewało. A już na samą myśl o jej gniewie, nawet teraz, po przyzwocie przespanej nocy, poczuł się zmęczony.

Auguste uważał się za rozsądnego, opanowanego, uczciwego człowieka, który radził sobie z ludźmi. Tylko gdy chodziło o Colette, rodził się w nim jakiś rodzaj szaleństwa, a przynajmniej tak to postrzegał. Ostatnio go wykańczała, ich kłótnie się nasilały i nie kochali się już namiętnie na zgodę.

Na początku ich małżeństwa kłótnie były nieszkodliwą grą, jedno starało się zyskać przewagę nad drugim, aż któreś się w końcu podda i rzuci się sobie w ramiona. Ale po śmierci Léona Colette nie pozwoliła mu się dotknąć aż do dnia, gdy kłócili się jak jeszcze nigdy wcześniej o coś, czego Auguste nawet nie mógł sobie przypomnieć. To nie miało znaczenia. Potrzebowali tej kłótni. Colette rozbiła lustro od swojej perłowej szczytki, Auguste uderzył pięścią w ścianę. Skończyło się, gdy Colette padła we łzach na kolana, a on uklęknął przy niej, by ją pocieszyć.

Po tym zdarzeniu tylko zacięta kłótnia mogła wywołać w nich uczucia. Ale teraz, gdy Colette chciała się kłócić, on czuł się przytłoczony i bardzo zmęczony.

Gdy po raz pierwszy wycofał się w środku kłótni, Colette rzuciła filiżanką, która rozbiła się o jego głowę. Już miał na nią ruszyć, ale wtedy zrobiłby dokładnie to, czego chciała, wyszedł więc z pokoju, choć z oporem, odcinając się od jej przeraźliwego krzyku zdecydowanym, satysfakcjonującym trzaśnięciem drzwiami. Choć krew ściekała mu po szyi, był zachwycony, że nie dał się wciągnąć w kolejną kłótnię. Uświadomił sobie, jak dużo energii oddał jej przez te wszystkie lata.

Auguste podniósł czarnego króla z szachownicy, ważył go w rękę. Nie wiedział, jakie wstrząsające wydarzenia rozegrają się w najbliższych kilku miesiącach. Nie mógł przewidzieć, jaki weźmie w nich udział. Ale powróci kiedyś myślami do tej chwili, gdy czekał na swoją żonę, bojąc się ją ponaglić, widząc swoją bezsilność i czując się jak szachowy król, który może poruszać się tylko o jedno pole na raz.

Colette zawsze miała temperament, ale teraz odczuwała zupełnie inną wściekłość. W głębi swojej mrocznej duszy wiedziała, że to się zaczęło w chwili, gdy w wieczór przed zniknięciem Henriego ujrzała, jak całuje on Aimée. Przycisnął jej córkę plecami do ściany, a ona przytrzymała się go, gdy pochylił się, by ją pocałować. Colette przypomniała sobie, jak to jest być pożądaną. Byli wobec siebie czuli, ale i siebie spragnieni. Poczuli gniew – jak śmia! – a potem głęboką tęsknotę i coś, czego nie chciała zaakceptować: zazdrość.

Tego poranka, przygotowując się do wyjścia na wystawę Salonu Paryskiego,

Colette myślała o tym, jakie szczęście spotkało Aimée, że ktoś wspierał jej sztukę. Ojciec Colette nigdy by tego nie zrobił. Kiedy miała siedem lat, zmusił ją, by zagrała na pianinie przed publicznością. Patrzyła na swoje nuty przerażona, zapomniawszy wszystko, czego się nauczyła. W pokoju było cicho, każdy czekał. Chociaż wiedziała, że dostanie potem lanie, zaczęła walić bezsensownie w klawisze, a łzy spływały jej po twarzy. Najbardziej pragnęła, by papa kazał jej przestać. Ale on tylko patrzył. Gdy wyczerpana przestała, odwrócił się do zebranych gości i powiedział: „Całkowite beztalencie”. I śmiejąc się, dodał: „Dobrze, że jest ładna. Inaczej w życiu byśmy się jej nie pozbyli”.

Gdyby mógł ją teraz zobaczyć. Colette wyciągnęła szyję, aby dojrzeć tył sukni. Bardzo jej się podobała nowa kreacja. Ostatni krzyk mody – morski jedwab z brązowymi paskami, długie dopasowane rękawy i usztywniona fiszbinami góra. „Wreszcie kłopotliwe krynoliny wyszły z mody, a kobieta nie musiała przeciskać się przez drzwi z gracją wyskakującego z butelki korka”, pomyślała Colette, nasuwając kapelusz.

Odwróciła się od lustra, gdy Jacques wbiegł do pokoju.

– *Maman!* – złapał ją za rąbek sukni, a Colette z trudem się powtrzymała od połajanki.

Jacques, kochany mały Jacques, był jedynym przejawem dobroci i radości w życiu Colette, przy nim jej gniew łagodniał. Gdy był niegrzeczny, od razu mu wybaczła, biorąc go w ramiona i całując po mięciutkiej twarzy. Gdyby nie Marie i madame Savaray, chłopiec byłby całkowicie rozpieszczony.

– Kochanie, moja mała miłości. – Podniosła synka. – Gdzie jest Marie? Biegasz po domu całkiem sam?

Chłopak zachichotał i wskazał na drzwi.

– Poszukajmy jej. – Colette ruszyła do wyjścia, a Jacques pociągnął za satynową wstążkę ozdabiającą jej kapelusz. Tasiemka upadła na podłogę.

## Rozdział 8

Salony Salonu Paryskiego były niemiłosiernie zatłoczone. W głównym holu zgromadził się tłum, który jak jeden mąż przemieszczał się w stronę schodów prowadzących na górę, nieprzyjemna woń rozgrzanych ciał mieszała się z ostrym zapachem werniksu.

Savarayom zajęło całe dwie godziny odnalezienie obrazu Aimée. Pomieszczenia się łączyły, a oni szli i szli w niewłaściwym kierunku, później zawracali i zaczęli poszukiwania od nowa. Oczywiście zatrzymywali się, by zobaczyć obrazy, o których najwięcej się mówiło, i co kilka kroków natykali się na kogoś znajomego. Zanim znaleźli dzieło S, Aimée była już bardzo spięta i mocno zaaferowana.

Usytuowanie małego płótna Aimée nie było korzystne. Zostało umieszczone wysoko w górze, przytłoczone przez sąsiednie obrazy przedstawiające zakrwawione konie i muskularnych mężczyzn. Patrząc na Leonie siedzącą z boku przy stoliku ze swoim dziwnym uśmiechem, Aimée poczuła, jak jej entuzjazm, nagromadzony specjalnie na ten moment, gaśnie. Zastosowanie precyzyjnej, przestarzałej techniki sprawiło, że obraz był żałośnie zwyczajny. Nie wyróżniał się niczym poza szeroką gamą jasnych kolorów. Wywołała tylko falę krytyki, o ile ktoś się w ogóle przy nim zatrzyma.

Przez cały czas w głowie Aimée rozbrzmiewał niepokojący głos, wąpiący i sceptyczny. Jej sztuka miała pokazać, ile jest warta, a okazała się marnej jakości.

– Nie wisi w najlepszym miejscu – powiedziała Colette do madame Savaray, która stała z zaciśniętymi ustami, opierając ręce na biodrach, by odeprzeć atak nieznamomych, którzy mogli wpaść na nią w każdej chwili.

– Dobrze, że przynajmniej nie umieścili go tam. – Auguste wskazał na obrazy wiszące pod samym sufitem.

Colette zatarła dłonie, jakby chciała zrzucić z siebie odpowiedzialność za marną pracę córki.

– Obraz jest za jasny, zbyt dużo kolorów. Nie wiem, dlaczego nie zauważyłam tego wcześniej.

Aimée się zjeżyła. Jej rodzice byli nudni i konwencjonalni.

– Lepiej być zauważonym dzięki oryginalności, niż całkowicie pominiętym – powiedziała. – Édouard to rozumie.

Colette przewróciła oczami.

– Édouard, Édouard – śmiała się, szturchając ramieniem Auguste'a.

Madame Savaray uznała, że to dobry obraz, ale niechętnie musiała się zgodzić z Colette. Na jej gust był zbyt jasny. Nie była jednak krytykiem sztuki i nie sądziła, by jej opinia w kwestii koloru miała jakiegokolwiek znaczenie.

– Dobrze ci poszło, moja droga – powiedziała, ale Aimée usłyszała tylko pochwalny frazes. – Chodź ze mną. – Chwyciła rękę dziewczyny i odciągnęła ją od Auguste’a i Colette, którzy stali teraz przed obrazem na wpół nagiej odpoczywającej kobiety. – Jeszcze wiele trzeba zobaczyć, a ja nie jestem w stanie przewidzieć, ile wytrzymam w tym dusznym miejscu.

W piątej z kolei sali obraz martwej ryby przyprawił madame Savaray o mdłości. Wymówiła się, nalegając, by Aimée poszła dalej bez niej i usiadła na zielonej, okrągłej kanapie usytuowanej na środku pomieszczenia.

Przepychając się przez tłumy ludzi, Aimée ruszyła w dół po schodach do działu M. Édouard stał przed swoim obrazem *Dworzec Saint-Lazare*, żywiłowo gestykulując, gdy oglądający podchodzili bliżej. Na widok Aimée podniósł w górę rękę i uśmiechnął się.

Pozostawiwszy swoją publiczność, przedarł się do niej przez tłum. Wyglądał bardzo uroczyście w swoim najlepszym kapeluszu i z białym fularem pod szyją.

– Moja droga. – Pocałował jej odzianą w rękawiczkę dłoń. – Gratulacje. Przyczyniłaś się do tego szaleństwa. – Lekko otoczył ramieniem jej talię. – Krytykują jak zwykle – szepnął, kierując jej wzrok na ścianę, gdzie żaden z obrazów nie spotkał się z zainteresowaniem. – Salon odrzucił dwa moje obrazy w tym roku. I to po sukcesie *Le Bon Bock!* Rozwścieczają mnie ci jurorzy bez manier, każdego zresztą. – Uśmiechnął się do niej. – My jednak oddajemy krew w nadziei na medal. Przypuszczam, że opinie nie mogą być tak złe jak dla Salonu Odrzuconych. Powiedziałem monsieur Renoirovi, że będą mieć kłopoty, jeśli ośmielą się podważyć wartości akademii i wetkną swoją kontestację głęboko w gardło jury.

Aimée nie zwracała uwagi na krytykę. Obrazy w Salonie Odrzuconych, a w szczególności *Kołyska* Berthe Morisot, *Pracznia* Edgara Degas czy *Impresja, wschód słońca* Moneta, onieśmiały ją. Ci artyści potrafili uchwycić powietrze i rytm, prawdę i prostotę. Igrali z czymś ekscytującym, niebezpiecznym.

– Jurorzy należą do tych, którzy z krzykiem uciekliby, słysząc muzykę Wagnera, jakby miała ich użądlić – powiedziała Aimée, czując ciepło w miejscu, gdzie spoczywała dłoń Édouarda. – Oni nie szukają ekscytacji, nie chcą być zaintrygowani, a już na pewno zszokowani. Oni szukają tradycji i stabilności. To sprawia, że czują się bezpiecznie.

– Tak jak ty? – zapytał Édouard.

Aimée spojrzała na niego, nie wiedząc, czy chciał ją znieważać, czy rzucić wyzwanie, ale Édouard patrzył przed siebie i tylko bardziej zacieśnił uścisk wokół jej talii. To musiało oznaczać, że rzuca jej wyzwanie.

Po krótkim odpoczynku madame Savaray opuściła pokoje na górze i zeszła na niższy poziom.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła obraz, nie wzbudził w niej emocji. Pejzaż



wiejski, namalowany zresztą niedbale. Jej uwagę przykuła natomiast dziewczyna przedstawiona na obrazie. Siedziała bez ruchu na trawie, patrząc przed siebie. Madame Savaray pochyliła się z wysiłkiem, wyteżyła wzrok i przeczytała tytuł: *Popołudnie z dziewczyną*.

Odetchnęła głęboko. Nie mogła przewidzieć, kiedy nastąpi ta chwila, mimo że się jej spodziewała i obawiała. Powinna być przygotowana, ale jedyne, co mogła teraz zrobić, to gapić się bezmyślnie na obraz.

– Babciu?

Madame Savaray odwróciła się pośpiesznie. Tuż za nią stali Aimée i monsieur Manet.

Szybko zasłoniła obraz i płaczliwie zawołała:

– O, jesteś! – Jej głos był napięty i nienaturalnie wesoły.

Édouard uchylił kapelusza.

– Madame Savaray, wygląda pani wspaniale. Szalenie do twarzy pani w tej sukni.

Uśmiechnęła się, ale wydawała się spięta. Wzrok skierowała nad ramiona Édouarda i głowę Aimée. Goście, którzy początkowo byli podekscytowani, teraz wyglądali na zmęczonych, obojętnych, zmizerniałych. Ona czuła się dokładnie tak samo, była jednak jeszcze przerażona.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Aimée.

Madame Savaray zauważyła, że Édouard ośmielił się dotknąć jej wnuczki.

– Doskonale – powiedziała. – Gdzie są twoi rodzice?

– Nie mam pojęcia.

– Podążaliśmy właśnie do ogrodu – dodał Édouard. – Mam wrażenie, że chętnie zaczerpnie pani świeżego powietrza.

– Rzeczywiście – przyznała.

– O, a oto monsieur Lerolle.

– Muszę się z nim przywitać – powiedział Édouard, unosząc rękę w górę. – Spotkajmy się w ogrodzie z rzeźbami, dobrze? – Zniknął w tumanach kurzu wzniesionego przez tysiące przesuwających się po żeliwnej podłodze stóp.

Aimée spojrzała podejrzliwie na babcię, która nie odsuwała się od obrazu.

– Nie może być aż tak zły – zażartowała, stawiając mały krok w kierunku madame Savaray i zmuszając ją, by odsunęła się na bok.

W jej głowie zrodziła się myśl, że Leonie musiała pozować również komuś innemu i że babcia uznała to za zdradę. Chwilę jej zajęło, zanim rozpoznała dziewczynę na obrazie, siedzącą na trawniku przed kościołem, jej zakrzywioną linię nosa, lekko ściągnięte brwi, zadartą brodę i wzrok, jakby rzucała wyzwanie oglądającym. To była ona, ale w miejscu, którego nigdy nie widziała, w którym nigdy nie była. Próbowała zrozumieć sens tego, co widzi, ale czuła się zupełnie nierealnie. Kiedy wreszcie pojęła prawdę, poczuła uderzenie gorąca, wściekłość

dzwoniła jej w uszach. Miała wrażenie, że sala się przechyliła, gdy babcia, położywszy ręce na jej ramionach, wyprowadziła ją na zewnątrz.

Słońce świeciło jaskrawo, a jasne niebo wręcz oślepiało. Aimée mrugała szybko, ale ludzie wokół niej nadal wydawali się bezkształtnymi formami. Ich głosy przypominały bzyczenie chmary owadów, po jej skórze przechodziły ciarki.

By chronić je przed promieniami słońca, madame Savaray otworzyła swój parasol i ruszyły piaszczystą drogą w dół, mijając bujną roślinność i rzędy rzeźb. Mgła przesłoniła oczy Aimée, mleczne popiersia i uda przybrały formę bezkształtnych kopców.

Zapomniała o Édouardzie, zapomniała o swoich rodzicach, zapomniała o Leonie, z którą miała się spotkać o trzeciej w restauracji. Gdyby babcia nie trzymała jej mocno za ramię, Aimée zapomniałaby również o niej.

Porwane przez tłum ludzi opuszczających Palais de l'Industrie, dotarły na Pola Elizejskie, gdzie w końcu mogły się od nich uwolnić, pozostawiając za sobą jedwabie i satyny, pióra i wstążki, i przyprawiający o mdłości zapach perfum.

– Musimy coś zjeść – orzekła madame Savaray. – Nie tutaj. W restauracji będzie zbyt tłoczno.

Zwolniła, z radością kryjąc się w przyjemnym cieniu kasztanowców, które rosły przy bulwarze. Po tym jak gniotły się jak zwierzęta, doceniła świeże powietrze. Tego typu wydarzenia wymagały od niej więcej, niż była skora przyznać, i pomimo kotłujących się w niej uczuć, pomyślała, że kilka kasztanowców może mieć większą wartość niż wszystkie dzieła sztuki na świecie razem wzięte.

Zanim wybrały przyzwoitą kawiarnię, madame Savaray rozboleło kolano, usiadła więc z wielką ulgą. Aimée nie był głodna, za to jej babcia, która od śniadania nie miała nic w ustach, zjadła z apetytem zupę cebulową, śledzia z rusztu z grzybami i szparagami, które spożywała najchętniej o tej porze roku, a następnie dużą porcję lodów pralinowych. Na koniec zamówiła im po kieliszku szampana.

– Świętujemy, mimo wszystko – podniosła delikatny kieliszek. Aimée zrobiła to samo. – Za twój pierwszy z wielu sukcesów, moja droga.

Odrętwiała Aimée wypiła szampana. Odsuwając kieliszek od ust, zapytała:

– Sądzisz, że był tam dzisiaj?

Madame Savaray odstawiła swój kieliszek i przesunęła pustą salaterkę po lodach na skraj stolika.

– Nie mam najmniejszego pojęcia. – Rozejrzała się za kelnerem.

– Nie ukryłabyś tego przede mną – powiedziała Aimée. – Zawsze go szukam.

Madame Savaray westchnęła ciężko.

– Nie zdawałam sobie z tego sprawy, aż do dzisiaj, ale wydaje mi się, że ja też go szukam.

Aimée wzięła kolejny łyk szampana. Był kwaśny, wyczuła drożdże.

– Dlaczego on to zrobił?

Madame Savaray pokręciła głową. Naprawdę nie wiedziała.

– Nie jestem wdzięczna ani zadowolona – mówiła Aimée, obracając kieliszkiem, szampan zaczął delikatnie wirować. – Jestem wściekła, że miał czelność mnie namalować. Czy to głupie?

– Nie, moja droga, nie ma w tym nic głupiego. On cię opuścił. Opuścił nas wszystkich, nie wrócił, a teraz ma czelność pokazywać obraz z twoją podobizną.

„To jeszcze nic”, pomyślała madame Savaray. „Nieśmiały Henri okazał się odważniejszy, niż ktokolwiek sobie wyobrażał”. Pochylając się, stuknęła długim odzianym w rękawiczkę palcem wskazującym po stole.

– Złość jest właściwa, ale bezużyteczna. Mężczyźni mają własne powody do działania, których nigdy nie zdradzają. – Modliła się, żeby Henri nigdy nie wyjawiał swoich.

Aimée wypła szampana. Czowała się po nim lekko i beztrąsko.

Madame Savaray zapłaciła za posiłek i opuściły kawiarnię. Obydwóm szumiało w głowach i wsiadanie do dorożki wymagało od nich znacznego wysiłku.

– Błagam cię, nie wspominaj o tym moim rodzicom – powiedziała Aimée, trzymając się siedzenia, gdy konie ruszyły do przodu. Zaciśnęła dłoń na kamieniu ukrytym między piersiami. Czowała gniew, ale i zniecierpliwienie. Henri cały czas przebywał w Paryżu.

– Nie będziemy o tym mówić – odparła madame Savaray. – O ile, oczywiście, rodzice nie widzieli tego obrazu. Na to też powinnyśmy się przygotować.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Madame Savaray zauważyła rumieńce na policzkach wnuczki i błysk w szarych oczach. Aimée nie zostawi tej sprawy.

Już się ściemniło, kiedy Colette i Auguste wrócili do domu. Z okna w swojej sypialni madame Savaray patrzyła, jak zataczają się, idąc ścieżką. Colette się potknęła i złapała ramienia Auguste'a. Zanim zniknęli za drzwiami domu, jej śmiech przeszył panującą ciszę.

Nad horyzontem unosił się księżyc w nowiu kształtem przypominający sierp. Madame Savaray podniosła wzrok. Zastanawiała się, jak Bóg to robi, że ta cienka linia zmienia się znowu w pełen okrąg. Też by tak chciała umieć. Ktokolwiek patrzy teraz na nią, nie pomyśli, że miała kiedyś piękną figurę. Oddałaby wszystko, żeby znowu tak wyglądać. Roześmiała się głośno, dźwięk ten jednak niebezpiecznie przypominał szloch. Już za późno dla kogokolwiek z nich, by zacząć od nowa; tego była pewna.

Pochylając głowę, splotła ręce i zaczęła się modlić, by Henri nigdy się nie odnalazł.

Aimée siedziała sama w salonie, z palącego się w kominku ognia pozostał

tylko popiół. Głęboką ciszę przerwali jej rodzice. Podochoceni wpadli do pokoju, śmiejąc się, najwyraźniej nieświadomi jej obecności. Papa przycisnął *maman* do obitej gobelinem ściany i pocałował mocno, ich ręce były splecione. Aimée przyglądała się tej scenie. Miała świadomość, że ta mroczna intensywność połączona z pewnym zagrożeniem to pożądanie. Wątpiła, że są faktycznie w sobie zakochani, ale niewykluczone. Czasem wydawało się jej, że coś takiego między nimi dostrzeżę, ale to wrażenie szybko mijało.

Auguste odsunął się, patrząc, jak żona przeciera lekko rozchylone usta wierzchem dłoni. Nie oddawała mu się od długiego czasu, a on nigdy jej do tego nie zmuszał. Czekał na taką chwilę jak ta, kiedy wydawało się, że nadal go pragnie.

Ujął ją za rękę, chcąc wyprowadzić z pokoju, kiedy zobaczył swoją pobladłą córkę siedzącą na kanapie.

– Aimée? – Puścił rękę Colette i zrobił krok do przodu.

Po tym wszystkim, co wypił, mógł widzieć dziwne rzeczy, a Aimée wyglądała tak upiornie.

– Tak, papo?

– Czemu nie śpisz?

– Jeszcze wcześniej.

– Tak? – spojrzał na żonę.

– Nie wiedziałem. – Colette oderwała się od ściany i ruszyła do drzwi, jej ruchy były ospałe i niechlujne. – Sprawdzę, co z Jakiem, a potem udam się na spoczynek. – Nie odrywała oczu od Auguste'a. Znał to spojrzenie. Wypiła więcej niż zwykle. Podążył za nią szybko, zanim zmieni zdanie.

– Tak, tak, ja także. Jestem wyczerpany. – Spojrzał na Aimée. – Dobrze się czujesz?

– Doskonale – odrzekła.

Auguste był już w drzwiach, gdy odwrócił się i powiedział do córki:

– Świetnie ci dzisiaj poszło.

Aimée nie odpowiedziała.

To nie z nadmiaru alkoholu Colette pozwoliła Auguste'owi tej nocy zostać w jej sypialni. To dlatego, że widziała obraz. Widziała Aimée namalowaną przez Henriego, a to stanowiło zagrożenie dla porządku rzeczy. Czuła się tak, jakby Henri czaił się na przedmieściach ich życia, jakby miał znowu zamieszkać w sercu Auguste'a i zabrać to, co należało się jej.

## Rozdział 9

Kłęcząc na obolałych kolanach, z rękami zaciśniętymi na szczotce, Leonie zacięciem czyściła palenisko, czekając, aż stojąca nad nią Aimée powie, z czym przyszła.

Dziewczyny nie kontaktowały się ze sobą od tygodni, a ponieważ nie spotkały się podczas wystawy, tak jak planowały, Leonie zakładała, że Aimée była niezadowolona z obrazu i zamierzała ją zwolnić. Artyści są nader kapryśni i wiecznie niezadowoleni.

Ale myśli Aimée nie krążyły wokół obrazu.

– Czemu masz taką skrzywioną minę? – zapytała Leonie, szorując szczotką bez chwili wytchnienia. – Może byś się rozchmurzyła?

Wpadający przez otwarte okno wietrzyk przyprawił Aimée o gęsią skórkę. Rozejrzała się po wilgotnym, nieogrzanym pomieszczeniu, zatrzymując wzrok na strudze wody spływającej po bielonych wapnem ścianach. Myślała, że łatwo będzie powiedzieć przyjaciółce prawdę o Henrim, opisać żal i tęsknotę, w której się pograżyła i która ją zżera od środka. Teraz jednak nie mogła wydusić z siebie słowa.

– Mam brata – powiedziała w końcu, siadając z łokciami wspartymi na stole nakrytym czystym kraciastym obrusem. – Nie Jacques’a, tylko starszego brata, który opuścił nas lata temu.

Z sentymentem w głosie Aimée opowiedziała Leonie o tym, jak jej brat zostawił ich w czasie wojny. Pokłócił się z papą i nie mieli od niego wieści od trzech lat. Z jakiegoś powodu nie wspomniała, że nie jest jej rodzonym bratem. Może myślała, że sprawa wyda się poważniejsza, jeśli Leonie uzna, że są połączeni więzami krwi. Pomięła po prostu tę kwestię, ale wróci do niej później.

Leonie wstała i słuchała Aimée z uwagą, nie wypuszczając szczotki z rąk.

Brat, który zaginął – niezwykle interesująca historia. Leonie nie miała rodzeństwa. Jej ojciec uciekł, gdy była dzieckiem, a mama zmarła trzy lata później stratowana przez spłoszonego konia. Wychowała ją cioteczna babka, która zarabiała na życie ciężką harówką jako służąca w gospodzie. Postanowiła, że nie będzie miała ani dzieci, ani męża. „Po co poświęcać życie dla człowieka, który przepije każdy grosz, który zarobię?” – mówiła.

Z wyjątkiem trzech miesięcy, kiedy pani Fiavre chorowała na ospę i Leonie musiała zarobić na jedzenie, jej ciotka pracowała każdego dnia, aby dziewczynka mogła się uczyć do szesnastego roku życia. Zanim pani Fiavre przestała pracować w gospodzie, bo była już na to za stara, miała pokaźną sumę pieniędzy ukrytą na najwyższej półce w spiżarni. „Proste rzeczy składają się na godne życie” – powtarzała zawsze. „Nie domagaj się za wiele, a Bóg wynagrodzi twoją

skromność”.

Leonie nie do końca w to wierzyła, ale nigdy się nie sprzeciwiała. Widziała dzieci wyrzucane na ulicę, kiedy rodzina nie mogła zapłacić czynszu. Pijane matki, pobite przez rozsierdzonych mężów, bijące w odwecie dzieci, których zagłodzone, spuchnięte buzie straszły przechodniów ulic Montmartre’u.

Nikt nie musiał mówić Leonie, jaką jest szczęściarą, a ona robiła wszystko, żeby odwdziżyć się swojej babce. Gdy nie mogła znaleźć zatrudnienia jako modelka, naprawiała oddawane do pralni ubrania. Czytała babci na głos przy blasku ognia, przynosiła jej ulubione słodycze i najlepsze kawałki mięsa, mieląc je na miękką, gęstą masę, ponieważ dwa ostatnie zęby trzonowe staruszki już zaczynały się kruszyć.

A jednak w głębi duszy Leonie była znudzona takim życiem. Słuchała teraz Aimée jak dziecko bajki, delektując się odrobiną dramatu Savarayów, myśląc, jak romantycznie byłoby odnaleźć dawno utraconego brata, na tyle sprytnego, że wysłał wiadomość za pośrednictwem obrazu.

Gdy Aimée skończyła mówić, Leonie rzuciła szczotkę do wiadra i wytarła rękę w fartuch, pozostawiając na nim dwie czarne plamy.

– Ma na imię Henri – dodała Aimée. Po tonie jej głosu Leonie wyczuła, że darzy go miłością.

Podeszła do przyjaciółki i usiadła obok niej, układając spódnicę tak, by materiał jej nie dotykał.

– Jak go znajdziemy? – Bezwarunkowe wsparcie Leonie sprawiło, że Aimée poczuła gulę w gardle. Chwyciła dłoń przyjaciółki.

– Nie wiem.

– Warto zapytać monsieur Maneta. Nie zasiada czasem w komitecie Salonu? Będą wiedzieć, gdzie go znaleźć.

Aimée pokręciła głową.

– On by powiedział papie.

– Nie chcesz, aby twoi rodzice wiedzieli?

– Nie sędzę, by Henri chciał. Pewnie w ogóle nie chce, żebym szukała prawdy.

– Ale ty masz szukać jego. O co się pokłócili?

– Nie wiem.

Lata temu Aimée przestała rozmyślać nad tym, co się stało, ale teraz przypomniawszy sobie, jak w nocy przed wyjazdem zatrzymała Henriego w korytarzu. Jednym tchem powiedziała mu, że go kocha i że to już trwa od lat. Początkowo na twarzy Henriego pojawił się wyraz zmieszania i niedowierzania, a następnie zakłopotany uśmiech, po którym nastąpił gorący pocałunek. Ujawszy jej dłonie, Henri pochylił się, przybliżył swe usta do jej ucha i szepnął: „Ja również cię kocham od wielu lat”.

Leonie się wyprostowała, wypchnęła pierś do przodu.

– Znam wielu modeli. Któryś z nich musiał słyszeć o Henrim Savarayu. Najlepszym miejscem do rozpoczęcia poszukiwań będą kawiarnie, o ile jest nadal kawalerem. Na pewno odwiedza te miejsca, co wszyscy.

– Nie sądzę – odparła Aimée. – Papa by o tym wiedział.

Leonie ścisnęła dłoń przyjaciółki.

– Jeśli twój brat jest w Paryżu – powiedziała z pokrzepiającym uśmiechem – odnajdziemy go.

Była połowa maja, kiedy zdyszana Leonie stanęła w drzwiach mokra od deszczu. Aimée spotkała ją w przedsionku, gdzie podały sobie ręce na przywitanie, potem niemal biegiem pokonały korytarz i udały się schodami na górę.

Nie zauważyły Colette, gdy przyglądała się im przez otwarte drzwi salonu, zbielejących kłykci jej zaciśniętej na ościeżnicy dłoni. Te dziewczyny zbyt się do siebie zbliżyły. Pozowanie to jedno, a zawieranie przyjaźni to drugie. Nie ma żadnego pożytku z tego, że Aimée ugania się z taką dziewczuchą, stając się tematem skandalu, o którym będzie się rozmawiać przyciszonym głosem.

– Jak sądzisz, co te dziewczyny knują? – spytała teściową, która siedziała z książką otwartą na kolanach.

Starsza pani pochyliła nisko głowę, wydawało się, że okulary za chwilę ześlizgną się z czubka jej nosa.

– Skąd mam wiedzieć? – Zaabsorbowana lekturą, ostrożnie przewróciła stronę. Domyślała się, ale nie miała zamiaru dzielić się tym z Colette.

Ta pożałowała, że jej teściowa nie należy do plotkujących starszych pań, które mówią cichym, pełnym dezaprobaty głosem, rozniecając skandal podniesionymi brwiami i znaczącym skinieniem głowy. Wtedy mogłyby omówić to, co dzieje się na górze i dlaczego te dziewczyny były tak podekscytowane i tajemnicze.

– O co chodzi? – Madame Savaray nie wytrzymała. – Co tak patrzysz?

– Nieważne. – Colette westchnęła i wyszła z pokoju. Jej teściowa zawsze będzie zimna i pragmatyczna, i zbyt rozsądna, żeby sobie poplotkować.

W swoim pokoju na górze Jacques obudził się z drzemki. Słyszając Aimée, wyskoczył z łóżka i wybiegł na korytarz, wpadając prosto na Leonie. Na chwilę przywarł do niej. Nagle zdał sobie sprawę, że popełnił błąd i podbiegł do Aimée.

– Dzień dobry, kochany – powiedziała Leonie.

Jacques ukrył twarz w spódnicy siostry.

– Nie teraz, Jacques – Aimée odwróciła go gwałtownie, chłopiec się cofnął, zamknął oczy i zmarszczył nos. Martwiąc się, że zaraz wpadnie w szal, Aimée przykucnęła przed nim, a jej głos złagodniał. – Jesteś głodny? – zapytała, odsuwając spocone kosmyki włosów z jego czoła.

Jacques pokiwał głową i wsunął palec w usta, spoglądając podejrzliwie na

Leonie.

– Bądź grzeczny i zejdź do kuchni. Powiedz Marie, że pozwoliłam ci zjeść całą łyżkę dżemu z porzeczek.

Jacques wyciągnął kciuk z buzi.

– Dwie.

– Dobrze, dwie łyżki.

– Trzy.

– Nie, dwie. Teraz idź. – Aimée pocałowała go w czoło i obróciła w kierunku schodów. – Trzymaj się poręczy – zawołała. Chłopiec chwycił swoją małą dłonią błyszczącą poręcz i ruszył na dół.

Gdy znalazły się za zamkniętymi drzwiami pracowni, Aimée pomogła Leonie zdjąć mokry płaszcz i powiesiła go na wieszaku obok jej fartucha.

– Znalazłam go – szepnęła Leonie i uśmiechnęła się triumfalnie.

Aimée przeszedł zimny dreszcz po plecach.

– Gdzie?

– Dla pewności poszłam do kawiarni Café Guerbois i Café de la Nouvelle Athènes, ale miałas rację, nikt go tam nie znał.

Aimée patrzyła na obraz, nad którym pracowała, przedstawiający młodą dziewczynę huśtającą się na otwartej furtce. Do tej pory Henri był jak duch, który jej towarzyszył, ale nie przeszkadzał. Nie była pewna, czy jest gotowa, by naprawdę pojawił się w jej życiu. Leonie zaczęła odwiązywać swoje buty.

– Miałam nadzieję – kontynuowała – że może przynajmniej ktoś o nim słyszał i wiedział, gdzie mnie skierować, ale niestety. W końcu spotkałam pewnego pisarza. Ponury, poważny mężczyzna, i on wskazał mi kilka miejsc. – Ściągnęła buty i mokre pończochy. – Odwiedziłam wszystkie, ale nie znalazłam Henriego Savaraya.

Wstała i położyła pończochy na oparciu krzesła.

Aimée wzięła szpachelkę i zaczęła skrobać obraz w miejscu, gdzie wcześniej namalowała dłonie dziewczynki.

– Zeszłam całe miasto, odwiedziłam miejsca, w których nigdy wcześniej nie byłam. Wczoraj w nocy wstąpiłam do kawiarni tuż obok place de Clichy, by coś zjeść. Zapytałam jedną dziewczynę, rudowłosą piękność, która piła w samotności, czy słyszała o nim. Odpowiedziała, że tak. Miała taki ochryply zdradliwy głos. Potem zapytała, czy mi też jest winien pieniądze.

Leonie obserwowała Aimée, gdy ta zdrapywała wszystko, co z wielkim wysiłkiem wcześniej namalowała.

Zeskrobawszy dłonie dziewczynki, zabrała się za jej głowę, żałując, że nie znajduje się sama w swojej sypialni. Pragnęła ukryć twarz w dłoniach i płakać.

– Powiedziała mi, że jada tam co wieczór – ciągnęła zaaferowana Leonie. – Zostałam więc, by na niego spojrzeć. Nie miałam zamiaru z nim rozmawiać, ale



kiedy przekroczył próg drzwi, ta dziewczyna podeszła prosto do niego, zażądała swoich pieniędzy, a następnie wskazała na mnie i dodała: „Ona też chce odzyskać swoje”.

Aimée odłożyła szpachelkę i przyglądała się okaleczonej dziewczynie, bez głowy i z rękami obciętymi przy nadgarstkach.

Leonie spodziewała się po Aimée poruszenia, radości albo co najmniej wdzięczności. Szok również by wystarczył, łyzy, cokolwiek. Ale Aimée po prostu odsunęła się od płótna i usiadła, a jej pozbawiona emocji twarz wzbudziła w Leonie irytację.

– Uwierzysz, że przez cały ten czas tam był? – podniosła głos, jakby mówiła do swojej babci. – Przechodziłam obok tej kawiarni ze sto razy.

– Rozmawiałas z nim? – zapytała Aimée.

– Tak.

– Co powiedział?

– Na początku nic. Tylko spojrzał na mnie otumanionym wzrokiem, a potem obiecał dziewczynie, że odda jej pieniądze w przyszłym tygodniu. Nie to chciała usłyszeć, bo wychodząc, praktycznie wyrwała drzwi z zawiasów.

Kolory odpłynęły z twarzy Aimée. W jej wyglądzie było coś niepokojącego.

– Twój brat jest dość miły – dodała, jakby jego uprzejmość miała jakiegokolwiek znaczenie. – Podeszedł do mnie i powiedział, że mu przykro, że nie pamięta tak ślicznej twarzy – uśmiechnęła się Leonie. – Wyjaśniłam, że nie jest mi nic winien, że dziewczyna wzięła mnie za kogoś innego. Zaproponował napitek, dodał, że przynajmniej tyle może dla mnie zrobić.

– Naprawdę to zrobił? – Aimée próbowała wyobrazić sobie Henriego, którego obraz miała w pamięci, gdy pije z Leonie albo rudowłosą pięknoscią. Nie potrafiła.

– Wypiłam kieliszek i powiedziałam mu, że muszę wracać do domu. Zaproponował, że mnie odprowadzi, ale uparłam się, że pójdę sama.

– Jaki był? Mam przecucie, że musiał się bardzo zmienić.

Leonie wzruszyła ramionami.

– Dobrze wychowany, trzeźwy. Nie mówił dużo. Musiałam sama wypełnić te krępujące chwile ciszy, które pojawiają się podczas rozmowy z nieznanym.

Aimée wstała i podeszła do okna.

– Wiesz, gdzie mieszka?

– Nie, nie wiedziałam, jak go o to zapytać.

Leonie dołączyła do przyjaciółki. Stojąc za nią, położyła jej ręce na ramionach.

– Nie martw się, kochana. Teraz wiemy, gdzie go szukać.

Place de Clichy był pełen ludzi. Aimée stąpała po parującym od wilgoci chodniku. Deszcz przestał padać, ale podniósł się wiatr, przesuwając po niebie

ogromne ciemne chmury. Przyprawilo to Aimée o zawrót głowy. Chmury i wpadający na nią ze wszystkich stron przechodnie znajdowali się zdecydowanie za blisko, dusiła się w swojej sukni, kapeluszu, butach, a nawet skórze. Wcześniej, gdy weszła na ulicę, prawie przejechał ją powóz.

Ulżyło jej, gdy zobaczyła przyjaciółkę stojącą na końcu rue de Clichy.

– Ten wiatr jest okropny – krzyknęła Leonie, przytrzymując kapelusz. – Chodź, tędy.

Zrównała się z Aimée i ruszyły bulwarem, po obu stronach którego znajdowały się bramy prowadzące do ciemnych, ciasnych podwórek. Minęły stragan z owocami, sklep z tekstyliami i zielarza, trzymając się siebie nawzajem, Leonie z podniecenia, Aimée, by utrzymać równowagę.

Rano przy śniadaniu Aimée upuściła łyżeczkę, potem z trudem upięła włosy i zawiązała buty. Jej podenerwowanie, niepewność, zawroty głowy, gorączkowe oczekiwanie były wręcz niedorzeczne.

W końcu duże witryny sklepowe ustąpiły miejsca niewielkim, ciemniejszym. Ulica stawała się węższa, a odległości między budynkami mniejsze.

Zatrzymały się przed małą kawiarnią z szyldem „Café Gravois” nad drzwiami. Aimée spojrzała przez zakratowane okno i coś w niej pękło.

– Nie mogę tam wejść – powiedziała.

– Oczywiście, że nie.

Leonie wciągnęła ją do ciemnej bramy. W oddali dzwon zegara wybił pełną godzinę.

– Ale ja mogę. – Wyprostowała przekrzywiony kapelusz Aimée. – Ruda powiedziała, że twój brat jada tu co wieczór. Jeśli jeszcze go tu nie ma, wkrótce się zjawi. Poczekaj na mnie. Powiem mu, że ktoś chce się z nim zobaczyć i wyprowadzę go na zewnątrz.

Aimée pokręciła głową.

– Nie mogę tego zrobić. Nie tutaj.

Stała pełna obaw, nie mogąc się ruszyć. Przez cały dzień się denerwowała, ale była też podekscytowana. Teraz czuła przejmujący strach, niepokój, że jej miłość wydobędzie się z miejsca, w którym ją pogrzebała, otrzepie się z brudu i w końcu pokaże, czym jest naprawdę: przejawem samotności, jednostronnym uczuciem, niedorzeczną, głupią dziewczęcą fantazją.

– Miejsce dobre jak każde inne. On jest twoim bratem. Nie znam okoliczności jego wyjazdu, ale gdybym miała brata, chciałabym móc go zobaczyć i wszystko wyjaśnić – mówiła Leonie z rękoma opartymi na wydatnych biodrach.

Aimée wołała, żeby nic się nie wydarzyło. A jeśli on nie chciał się z nią zobaczyć? A jeśli odejdzie?

– Zapytaj, czy możesz dla niego pozować – zaproponowała impulsywnie.

– Co?

– Powiedz mu, że potrzebujesz pracy. Zapytaj, czy możesz być jego modelką.

Leonie opuściła ręce.

– On nie płaci – powiedziała sucho.

– Ja ci zapłacę.

Obie dziewczyny zamilkły.

Aimée spuściła głowę.

– Obawiam się, że nie będzie chciał się ze mną widzieć.

Leonie się zdenerwowała, widząc tak rozdygotaną Aimée. Zazwyczaj jej przyjaciółka była silna, jak ona, a Leonie wołała silne kobiety. Nie wiedziała, jak się zajmować Aimée.

– Co to da, że będę mu pozować? – zapytała.

– Zobaczysz, jaki jest, opowiesz mi o nim. Potrzebuję jedynie więcej czasu.

Leonie wyczuła, że coś jest nie tak, ale zgodziła się.

Aimée ujęła dłoń przyjaciółki i pocałowała ją.

– Dziękuję – powiedziała.

Leonie wzruszyła ramionami. Pchane wiatrem ruszyły w drogę powrotną.

## Rozdział 10

W czasie, gdy Henri malował Leonie, Aimée spędzała dni w Académie Julian i w ogrodzie należącym do klienta Édouarda, zamożnego jegomościa, który zatrudnił ją, by namalowała portret jego żony. Édouard zorganizował to przed wyjazdem do Argenteuil, a Aimée z ochotą się czymś zajęła, mimo że myślami była dalej w kawiarni.

O zmierzchu pewnego czerwcowego wieczora opuściła bujny, zielony letni ogród monsieur Chevaliera, gdzie spędziła całe popołudnie. Nie był zadowolony z jej pracy. Myślał, że jego okropna żona może ładnie wyglądać na obrazie wykonanym techniką pastelową, ale okazało się to niemożliwe. Oburzona Aimée odesłała powozem do domu swoje materiały i postanowiła wrócić pieszo.

Był ciepły, bezchmurny wieczór. Przez cały dzień czuła dokuczliwy niepokój. Szła w kierunku rue de Clichy i gdy tym razem dotarła do kawiarni Gravois, nie ukryła się w bramie. Stała naprzeciwko okna, przekonana, że dziś może zrobić i powiedzieć wszystko. Czuła ciężar kamiennego naszyjnika. Wiedziała, że to przesąd, ale nie ściągnęła go od momentu, gdy zobaczyła obraz Henriego.

Szybko go dostrzegła. Miał na sobie tę samą kamizelkę bez kołnierzyka, którą nosił lata temu. Wszędzie rozpoznałaby te zgarbione plecy.

Wszystko wydawało się takie odległe: dźwięki, zapachy, a nawet żaloszny jęk pijaka leżącego bezwładnie w drzwiach. Przez przybrudzone okna Aimée widziała ręce Henriego. Były niespotykane małe, zwłaszcza w porównaniu do dłoni jej papy, ale to miejsce, w którym nadgarstek przechodził w kciuk, szerokie i mocne, zawsze robiło na niej wrażenie. Jedną dłoń spoczywała na stole, a drugą chwycił łyżkę i zanurzył ją w zupie. Głowę miał pochyloną nad miską, nie widziała jego twarzy. Jego włosy miały ten sam jasnobrażowy odcień, ale były dłuższe i bardziej kędzierzawe niż kiedyś.

Stała na widoku, nie zważając na posługaczkę zbierającą puste naczynia i paskudne końcówki cygar rozsypane po stolikach. Patrzyła tylko na Henriego, który w końcu podniósł głowę i spojrzał wprost na nią. Szybko się cofnęła, nie będąc pewna, czy ją widział, a jeśli nawet, nie wiedziała, czy ją rozpoznał.

Już się oddalała, gdy usłyszała swoje imię, wypowiedane niskim pytającym głosem.

– Aimée?

Kiedy się odwróciła, znajdował się zaledwie kilka metrów od niej. Nie miał na sobie ani surduta, ani kapelusza, ale jego koszula była wykrochmalona, a kamizelka zapięta na ostatni guzik.

– Aimée? – Powtórzył, jakby wciąż nie był pewny.

– Witaj, Henri. – Nerwowy uśmiech pojawił się na jej twarzy. To proste powitanie wydawało się niedorzeczne.

– Zastanawiałem się, kiedy przyjdiesz – powiedział łagodnie z bolesnie znajomą powagą w głosie.

– Tak? – Aimée zacisnęła dłonie w pięści.

– Tak, odkąd spotkałem Leonie.

Aimée wbiła wzrok w chodnik.

– Czy twoi rodzice wiedzą? – zapytał, a ona spojrzała na niego urażona, że kwestionuje jej lojalność.

– Nie.

Stali w milczeniu, zastanawiając się, co powiedzieć. Słońce zaszło, a niebo wyglądało niczym gładki jak aksamit purpurowy koc. W oddali pojawiła się jasna gwiazda.

Te wszystkie spędzone razem lata, gdy byli jeszcze dziećmi, te wszystkie godziny, gdy malowali, stojąc obok siebie w ciszy, tylko im teraz wszystko utrudniały.

Wreszcie Aimée odwróciła się, jakby zamierzała odejść, zmieniła jednak zdanie.

– Domyśliłeś się, kiedy spotkałeś Leonie? – spytała.

Na twarzy Henriego pojawił się uśmiech. Aimée przypomniała sobie, kiedy widziała ten uśmiech, dzięki któremu Henri wyglądał uroczo i rozkosznie, po raz pierwszy.

– Widziałem twój obraz – rozbawiała go oczywistość tego, co powiedział. – W Salonie.

Aimée zaśmiała się krótko.

– Oczywiście. Nie przyszło mi to do głowy.

– Zastanawiałem się, czy to przypadek. Ale kiedy Leonie zapytała mnie, czy szukam modelki, nabrałem pewności, że to twój pomysł.

– Dlaczego się więc zgodziłeś?

Znowu pojawiła się lekkość w ich relacji, zażyłość, której się poddali.

– Leonie jest niepowtarzalna. Zszokowało mnie, że byłaś skłonna ją oddać, kiedy mogłaś przecież przyjść sama.

Rozmawiając, przybliżali się do siebie. Aimée czuła smak wina w oddechu Henriego i delikatny zapach żywicy z jego ubrania. Rozejrzała się po ciemnej ulicy. Zapalone lampy gazowe tworzyły kręgi światła, przełamujące mrok nocy.

– Przeprowadziliśmy się – powiedziała. – Musieliśmy opuścić Passy podczas ataku komunardów. Na placu Madeleine wybuchł pocisk, a siła eksplozji wybiła okna, zerwała zasłony i strąciła obrazy, pokrywając wszystko warstwą tynku.

Henri wsunął dłonie do głębokich kieszeni kamizelki, ręce rozłożył na boki niczym ptak skrzydła.

– Przechodziłem obok domu kilka lat temu – powiedział. – Chciałem go zobaczyć jeszcze raz – dodał szybko, by Aimée nie pomyślała, że przyszedł się zobaczyć z nią.

– Dlaczego? – Słyszała gniew w swoim głosie. – Dlaczego chciałeś go zobaczyć jeszcze raz? – „A nie chciałeś spotkać się z nikim z nas?”

Swoboda między nimi zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

Henri wzruszył ramionami i spuścił wzrok, miękka skóra pod lewym okiem zaczęła drżeć. Aimée obserwowała niewielką plamkę na jego policzku, drżącą i skaczącą jak mucha. Kiedyś jej przeszkadzała, ale teraz pragnęła zakryć ją palcem, aby ukoić jego nerwy i poczuć, że naprawdę żyje.

Henri obejrzał się na drzwi kawiarni.

– Powinienem wrócić. Właścicielka pomyśli, że uciekłem, żeby nie płacić.

– Tak, oczywiście – odparła Aimée. Niewielka odległość między nimi była przepastna i nieprzebyta.

Henri nie zaproponował, że odprowadzi ją do domu.

– Robi się ciemno – powiedział. – Powinnaś wziąć dorożkę.

– Tak zrobię, dziękuję ci.

Odwrócił się, by wrócić do środka, a Aimée przycisnęła ręce do boków, aby nie podbiec do niego i nie rzucić mu się na szyję.

– Mogę przyjść do twojej pracowni? – zapytała. – Chciałabym zobaczyć, nad czym pracujesz.

Henri się zawahał i to wystarczyło, by przebić serce Aimée na wskroś.

– Leonie zna adres – powiedział.

Zanim wszedł do kawiarni, jeszcze się odwrócił.

– Niestety, muszę cię prosić o dyskrecję. – Nie patrzył na nią. – Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdybyś nie wspominała rodzicom o naszym spotkaniu.

Aimée chciała odpowiedzieć, ale zaschło jej w gardle, nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Zdołała tylko skinąć głową.

Słońce prażyło mocno, a było dopiero przedpołudnie.

Aimée weszła na małe podwórko przy rue de Calais, zatykając nos odzianą w rękawiczkę dłonią, by uchronić się przed mdlącym smrodem odchodów. Konsjerżka stała w otwartych drzwiach, wachlując się fartuchem i patrząc na stado siedzących na dachach jaskółek.

– Przepraszam – powiedziała Aimée, a kobieta opuściła wzrok i spojrzała na dziewczynę, jakby ta zepsuła jej jedyną spokojną chwilę, na którą mogła liczyć tego dnia. – Szukam Henriego Savaraya.

Konsjerżka otarła pot z górnej wargi i strzepnęła fartuch.

– Trzecie piętro.

Aimée podziękowała i skierowała się w stronę schodów.

Minął tydzień od jej spotkania z Henrim przed kawiarnią, tydzień, w czasie

którego prawie nie spała ani nie jadła. Czasami zastanawiała się, czy duch z jej wyobraźni naprawdę się urzeczywistnił, czy to może jej pragnienia wzięły górę nad umysłem, a Henri w ogóle nie istniał. Podskoczyła lekko, gdy otworzył drzwi.

– Obawiam się, że upał nas dzisiaj wymęczy – powiedział wesoło.

Uśmiechnęła się. Henri na pewno był realny. Stał tuż przed nią. Gdyby wyciągnęła rękę, dotknęłaby go.

– Rzeczywiście – powiedziała, wchodząc do mieszkania. – Tak będzie.

Oboje odnosili się do siebie z szacunkiem i rezerwą, jakby Aimée była mecenasem, który przychodzi, by ocenić jego prace. Henri pilnował się, by stać z boku, gdy ona oglądała wiszące na ścianie obrazy, ona natomiast pilnowała się, by przypadkiem go nie dotknąć.

Malował głównie krajobrazy, pałac w Fontainebleau, Sekwanę. Niektóre obrazy były dobre, ale nic wyjątkowego. Wśród nich znajdował się również ten zatytułowany *Popołudnie z dziewczyną*, zatem go nie sprzedał. Ucieszyła się. Przypominał jej, że przez cały czas była obecna w jego życiu.

Usłyszała za plecami jego płytki oddech i szelest spodni, gdy się poruszał. Cisza między nimi, która kiedyś była tak cenna, napawała ją teraz strachem.

– Jak uchwyciłeś moje podobieństwo? – zapytała, obracając się do Henriego, który stał tuż za nią. Jego twarz nie była już okrągła i delikatna, jak ją zapamiętała, tylko wychudła, z kilkudniowym zarostem na górnej wardze i podbródku. Zastanawiała się, co by się stało, gdyby go teraz pocałowała.

– Spędziłem z tobą pół życia – odrzekł. – Niełatwo o tym zapomnieć.

Jego policzki zrobiły się czerwone z gorąca, powieka drżała, wprawiając małą plamkę w ruch, nad którym nie mógł zapanować. W jego uśmiechu było coś niepokojącego, jakby nie do końca był szczery. Nie przestawał natomiast wpatrywać się w nią uporczywie swoimi niebieskimi oczami.

Aimée odwróciła wzrok, zmagając się jednocześnie z bólem w klatce piersiowej. Udała zainteresowanie jego małym mieszkaniem. Znajdowało się tam żelazne łóżko, spiżarka, stół na materiały plastyczne, trzy krzesła i czarny piec, przed którym piętrzył się jeszcze popiół z ostatniej zimy.

Sądziła, że Henri wrócił do Anglii, do tajemniczej bogatej rodziny, z której pochodził. On był jednak tu przez cały czas, w mieszkaniu na tyłach budynku przy rue de Calais. Nie miał szczęścia do kupców, a Leonie mówiła że, jego praca ogranicza się do chałturzenia i malowania portretów w tym jednopokojowym zagraconym mieszkaniu.

– Duszno tutaj – powiedział Henri, starając się podeprzeć okno długim kijem, by się nie zamknęło. – Bez tego się zatraskuje. Z nim zresztą też, ale spróbuję.

Bryza przyniosła przyjemny chłód. Aimée pocila się w sukni, a strużka potu spłynęła jej po czole. Henri wynajął to mieszkanie ze względu na okna i wysokie

sufity. Wpadało do niego dużo światła, ale przestrzeń była niewielka, co oznaczało, że w letni dzień, taki jak ten, w pokoju było gorąco jak w piecu.

Aimée otarła pot z czoła, podchodząc do sztalugi.

– Mogę? – spytała i zanim zdążył odpowiedzieć, ściągnęła zasłaniającą obraz tkaninę. Na sztalugach stał nieukończony obraz przedstawiający Leonie. Była naga. Kompletnie naga. Pełne piersi, różowe sutki, krągły brzuch, pulchne uda. Ręką przykrywała dyskretnie ciemne miejsce między nogami. Aimée odwróciła się, nie wiedząc, co ją tak bardzo zdenerwowało.

Ktoś lekko zastukał do drzwi.

To była Leonie, ubrana w białą bluzkę wpuszczoną w spódnicę w bladoniebieskim kolorze. Pod kapeluszem ukryła zarumienioną twarz. Na widok Aimée się zatrzymała.

– Myślałam, że przyjdiesz jutro – powiedziała.

– Jutro jestem zajęta – skłamała Aimée. Prawda była taka, że nie mogła się już doczekać. Leonie położyła rękę na ramieniu Henriego i nachylając się, powiedziała z zachwytem:

– Okropna jest, prawda? Zabiera mi uroczysty moment waszego ponownego spotkania.

Rozwiązała sznurek kapelusza i wręczyła nakrycie głowy Henriemu. Cienkie kosmyki włosów przykleiły się do jej szyi i czoła.

– Mogła mi przynajmniej pozwolić na to popatrzeć.

– Aimée robi to, na co ma ochotę – zauważył Henri, nie chcąc jej wcale obrazić. Powiedział to, bo ją znał, bo widział, jak w dzieciństwie przeciwstawiała się swojej *maman*. Zakazy papy nigdy nie stawały jej na przeszkodzie.

– Podziwiam w niej tę cechę. – Leonie złapała przyjaciółkę za ramiona i mocno pocałowała w policzek. – Wybaczam ci zatem.

Aimée otoczyła Leonie ramieniem i pociągnęła na koniec pokoju, gdzie u stóp łóżka stały nocnik i umywalka.

– Nie wspominałaś, że malował cię naga – szepnęła.

Udawały, że patrzą na wiszący na ścianie szkic, podczas gdy Henri pieczołowicie je ignorował, zbierając pędzle, pastele i rozrzucone kawałki węgla.

– Wiele razy pozowałam do aktów – szepnęła Leonie na ucho przyjaciółce. – Nie sądziłam, że muszę się z tego spowiadać.

Aimée czuła zapach pomarańczowo-jaśminowej wody, którą Leonie spryskiwała twarz każdego ranka, twierdząc, że jej delikatna cera nie może się bez tego obejść.

– Zdenerwowałaś się, bo to twój brat, czy dlatego, że to nieprzyzwoite?

– Nie – odparła Aimée. – Nie uważam, że to nieprzyzwoite. – Na ścianach wisało wiele aktów. Nie powinno jej przeszkadzać, że wśród nich znajdował się akt przedstawiający Leonie, a jednak.



Aimée uwolniła swoją rękę z uścisku i przyłożyła ją do karku, patrząc, jak Henri wyciska farbę na paletę.

– Jestem tylko strasznie rozczarowana, że nigdy nie pozowałam nago dla mnie – szepnęła.

Nie przerywając mieszania kolorów, Henri podniósł wzrok. Aimée zastanawiała się, czy jeszcze pamięta, jak kiedyś go poprosiła, by ściągnął koszulę.

– Nigdy tego nie zaproponowałam. – Leonie weszła za parawan, zza którego wystawało tylko jej czoło. – Gdybym to zrobiła, twoi rodzice kazaliby mi opuścić wasz dom. Tobie, moja droga – zawołała, zsuwając spódnicę i szare fildekosowe pończochy – wolno malować akty tylko w sali pełnej nadgorliwych studentów, gdy czujesz na szyi oddech sztywnego, dziobatego nauczyciela malarstwa.

– Gdyby nie Académie Julian, w ogóle nie miałabym szansy malować aktów – odparła Aimée, patrząc otwarcie na Henriego, który ponownie spuścił głowę.

Pamiętał, jak zawsze się domagała, by z nią spiskował, łamał zasady. Teraz słyszał pewność siebie w jej głosie i dostrzegł śmiałość w jej oczach. Ta śmiałość zawsze go podniecała, a jednak zdawał sobie sprawę, jak niewinna nadal jest Aimée, jak nieświadoma. Nie miała pojęcia, co naprawdę znaczy złamać zasady i jak wiele szkody może to wyrządzić.

Leonie wyłoniła się zza parawanu już bez ubrania.

– Namaluj mnie teraz – powiedziała do Aimée. – Płacisz. Równie dobrze możesz coś dostać za te pieniądze. – Przysiadła na krześle. – To dla was okazja. Nie będę liczyć podwójnie, jeśli mi postawicie kolację.

– Mówiłem, że ci zapłacę – powiedział Henri z rozpaczliwą pokorą w głosie.

Leonie wzruszyła ramionami. Wszystko w niej było zmysłowe i stanowiło obietnicę satysfakcji.

– Niech zapłaci Aimée. Stać ją. – To było po prostu praktyczne, po co unosić się dumą. Henri ledwo mógł sobie pozwolić na to żałośnie małe mieszkanie.

Aimée czuła skrępowanie nagością Leonie. Została w drugim kącie pokoju, przyglądając się przyjaciółce, wycierającej pot spod pełnej piersi, podczas gdy Henri zanurzył pędzel w różowej farbie, bo taki był kolor sutków Leonie, i przytknął go do płótna.

## Rozdział 11

Bez żadnych ustaleń Aimée zaczęła przychodzić do mieszkania Henriego z przenośną sztalugą i farbami.

Powiedziała rodzicom, że musi być codziennie w akademii. Nigdy wcześniej nie ośmieliła się ich okłamywać, ale to było nieuniknione, ich relacja wymagała tego rodzaju oszustwa.

Po drodze zatrzymywała się, by kupić bagietki, kawał twardego, dojrzałego sera, kielbasę, słoik dżemu, świeże śliwki lub kosz fig. Często przynosiła dodatkowe płótno lub dwa, nowy pędzel, który zostawiała, czy tubki z farbą. Nie oczekiwała niczego w zamian, Henri po prostu potrzebował tych rzeczy. Nigdy też tego nie skomentował, wiedziała zatem, że jest wdzięczny.

Aimée miała wrażenie, że dzieje się z nią coś dziwnego. Nie odczuwała szczęścia, raczej czegoś z podekscytowaniem wyczekiwała. I oszukiwanie rodziców, ukrywanie prawdy o Henrim sprawiało jej niespodziewaną satysfakcję.

Zaczęła przychodzić do jego mieszkania wcześniej niż zwykle, z nadzieją na kilka chwil sam na sam, zanim pojawi się Leonie. Odwieszała swój kapelusz i wprawnie ustawiała sztalugę. Wiedziała już, gdzie znajdują się maleńkie filiżanki, i że garnek wisi na haku na ścianie. Napełniała go mlekiem, ścierała kawałek czekolady, przelewała napój do filiżanek i natychmiast opłukiwała naczynie, żeby nie zaschło brudne. Karciała Henriego za marne śniadania, mówiąc, że nie może pracować cały ranek o kawałku chleba.

On był wyrozumiały wobec wszystkich tych kobiecych działań, nawet je doceniał, ale bardzo jasno dawał do zrozumienia, chociaż bez słów, że nie chce wracać do ich dawnej relacji. Nie chciał wracać do przeszłości. Nie mówił też o rodzicach. Nie wypytywał Aimée o jej życie, a ta z kolei nigdy nie pytała, jak udało mu się przeżyć wojnę, dokąd odszedł, kto mu pomógł. Rozpaczliwie chciała wiedzieć, dlaczego ich opuścił. To było najbardziej oczywiste pytanie, a jednak najbardziej go unikała. Ta dziura w jego przeszłości była jak upiór obecny w każdym kącie tego pokoju.

Wmawiała sobie, że przynajmniej mają swoją ciszę. Ale nawet to się zmieniło. Intymność gdzieś zniknęła, podobnie swoboda, którą się kiedyś cieszyli. Cisza wprawiała ich teraz w zakłopotanie. Brzuch Aimée napinał się za każdym razem, gdy Henri znalazł się wystarczająco blisko, by mogła poczuć mieszanek zapachu cygar i żywicy bijącą z jego ubrania. Kiedy przypadkiem się o nią otarł, wstrzymywała oddech. Pewnego razu, kiedy poszła odstawić filiżankę, nieumyślnie położył rękę na jej dłoni. Odsunęli się od siebie, filiżanka roztrzaskała się o ziemię.

Jednak niezaprzeczalnie coś między nimi się działo. Na miłość nie mogła mieć nadziei, ale z jakiegoś powodu Henri nie wrócił do nich przez te wszystkie

lata, uciekał od jakichś emocji i tego Aimée kurczowo się trzymała.

Ponieważ Henri nie pojawił się w domu Savarayów, z czasem Colette przestała się zamartwiać. Odrzuciła Auguste'a równie szybko, jak go przyjęła. Lato trwało i było zbyt gorąco, aby w nocy mógł ją odwiedzać i przynosić ukojenie. Ponadto potrzebowała snu. Jej czwartkowe wieczorki stały się znaczącym wydarzeniem towarzyskim i planowali je cały tydzień.

Utwierdziła się również w przekonaniu, że Aimée musi wyjść za męża. Nie znaleźli kupca na jej obraz wystawiony podczas Salonu Paryskiego, a znajomy Édouarda, który zlecił dziewczynie namalowanie portretu żony, nie okazał się zbyt hojny. Monsieur Chevalier kazał Aimée przemaalowywać twarz żony cztery razy, zanim obraz zasłużył na jego uznanie. Potem zapłacił tylko dwieście franków, chociaż początkowo zgodził się na trzysta. Aimée, uparta jak zawsze, obiecała sobie, że nie będzie malować portretów i kalać się sztuką komercyjną. „Nie będę malować tego, co ktoś mi każe” – oznajmiła wyniośle.

Colette powiedziała jej, że zachowuje się nierozsądnie. Malowanie portretów to uznany sposób zarobkowania dla artysty. Aimée jednak wydawało się, że ma niepowtarzalny talent, dlatego stanowi wyjątek od reguły. To pewnie Édouard podsunął jej tę myśl; za bardzo ją chwalił. Teraz Aimée spędzała każdą chwilę w akademii, szlifując swoje umiejętności, zwiększając kwoty na rachunkach za materiały, nie mając żadnych perspektyw na zarobek.

Colette była tym zmęczona, a musiała jeszcze myśleć o Jacques'u.

Auguste był wdzięczny, że krzyki Colette i kuksańce w kark ustały. Pragnął jej dotyku, nawet jeżeli była temu niechętna. Nigdy nie zastanawiał się, czy za jej zachowaniem kryje się taktyka i kalkulacja. Brał to, co mu dawała i kiedy miała na to ochotę. Wiedział, że niebawem znowu będzie dla niego oziębła i nie jest w stanie temu zapobiec.

Ostatnio denerwował wszystkie kobiety w swoim domu. Nie dalej niż tego ranka zapytał Aimée, czy mógłby zobaczyć jej prace, a ona, zirytowana, pospiesznie odeszła od stołu, mówiąc, że spóźni się na zajęcia. Jego *maman* wyglądała, jakby również ją obraził. Odłożyła widelec i bez słowa wyszła. Colette z kolei, wsypując cukier do kawy, wymownie uniosła brwi.

– Skąd mam wiedzieć, co się tutaj dzieje, skoro nikt mi nie mówi? – krzyknął Auguste, uderzając pięścią w stół.

Srebrna zastawa aż podskoczyła, ale Colette nawet nie drgnęła.

Auguste wybiegł z pokoju. Nieprzewidywalne kobiety zrujnowały przyzwoite śniadanie.

Madame Savaray rozgniewało, że jej syn interesuje się tylko oczywistymi i błahymi sprawami.

Zdecydowała się zjeść ciasto w kuchni, usadowiając się wśród żelaznych garnków z czarnym od sadzy dnem, zastawy stołowej i półek z przyprawami,

nożami, tasakami i chochlami. Chciała uniknąć spotkania z Auguste'em i resztą domowników. Krzątająca się służba zerkała na nią znużonym wzrokiem, ale potem ją po prostu ignorowali. Zgiełk i bałagan panujący w kuchni działał prawie tak kojąco, jak ciasto, w którym zanurzyła swoje zęby: słodkie, polane czekoladą, z chrupiącą, maślaną skórką i gęstym kremem w środku. Dla tej satysfakcji warto było przybrać w tali.

A ostatnimi czasy mało co przynosiło jej satysfakcję. Od jakiegoś miesiąca Colette przestała wpadać we wściekłość, ale madame Savaray wiedziała, że to nie potrwa długo. Synowa lubiła być nieszczęśliwa i niezadowolona, spokój nie leżał w jej naturze. To, że ostatnio panowała nad sobą, utwierdziło madame Savaray w przekonaniu, że widziała obraz Henriego.

Gdyby prawda wyszła na jaw, to Colette najwięcej ze wszystkich miałaby do stracenia. Madame Savaray przysięgła sobie jednak, że zabierze swoją tajemnicę do grobu, chociaż irytowało ją, jak Colette mąciła w głowie jej synowi, próbując zachowywać się normalnie. Gdyby Auguste przejrzał na oczy, dostrzegłby, że żona nim manipuluje. A gdyby zwracał uwagę na swoją córkę, dostrzegłby, że Aimée również coś ukrywa. Dziewczyna, zazwyczaj poważna, teraz ciągle się uśmiechała i praktycznie w podskokach rano wychodziła na zajęcia. Cokolwiek się działo, centrum tych wydarzeń stanowił Henri, co do tego madame Savaray nie miała wątpliwości.

Pewnego poranka siedziała w kuchni, czując się gorzej niż zwykle. Było gorąco, a ona nie miała apetytu. Kucharka wyszła po produkty na kolację, a w wyjątkowo uporządkowanej kuchni panowała niepokojąca cisza. Jakby nie miała dość kłopotów, zaczepiła mankietem koronkowej sukni o szorstką poręcz drewnianego krzesła.

– A niech to – zaklęła, odwracając mankiet, aby przeciągnąć zaciągniętą nitkę na drugą stronę. Im bardziej ciągnęła, tym gorzej to wyglądało i w momencie w tej koronce ujrzała całe swoje życie: jakie było kruche, jak łatwo można je zniszczyć, jak bardzo nie miała na nie wpływu.

Zostawiła nitkę w spokoju. W każdej starej kości swego kurczącego się ciała czuła, że jej rodzina się rozpada, pędzi w stronę nieuniknionego końca.

Gdy prawda ujrzy światło dzienne – a teraz była pewna, że tak się stanie – nie zdoła zrobić nic, aby tę rodzinę ocalić.

## Rozdział 12

Na bulwarze Malesherbes panował nadzwyczaj wielki ruch, gdy Aimée zmierzała w kierunku akademii. W oddali widać było wielką kopułę kościoła Saint-Augustin, przypominającą wywróconą do góry dnem misę, i rozetę, ogromne czujne oko spoglądające na rozwidlenie ulic.

Skończyła malować Leonie i nie miała już żadnego powodu, by odwiedzać Henriego, ostatni tydzień spędziła zatem w akademii.

Mieniące się w słońcu powozy poruszały się szerokim bulwarem w dwóch kierunkach. Aimée czuła niepokój, tłocząc się w pracowni z ambitnymi studentami i nauczycielem, który zamiast wydawać polecenia, obnosił się ze swoim rozdrażnieniem. Opary gorąca unosiły się nad miastem, a w pracowni panował potworny skwar.

Aimée postanowiła skrócić w lewo w rue de Neapol, by tędy dotrzeć do rue de Calais. Musiała zobaczyć się z Henrim.

Dwa tygodnie temu stała przy stole, porządkując swoje farby. Czuła się odrobinę niepewnie, jak zawsze, gdy malowała sześć godzin bez przerwy. Leonie już wyszła. Henri stał obok Aimée, czytając gazetę. Zamykając wieko pudełka z farbami, musnęła palcem krawędź jego dłoni. Bez zastanowienia wyciągnęła rękę i dotknęła miękkiego miejsca powyżej jego nadgarstka. Wzdrygnął się nieznacznie, ale nie odsunął.

Potem pozwolił, by Aimée położyła swoją dłoń na jego. Ich poplamione od farby ręce – jedna na drugiej, odwrócone grzbietem do dołu, koniuszki palców Henriego nad opuszkami jej palców, jego dłoń wilgotna i ciepła.

Henri odsunął się bez słowa, złożył gazetę i schował do kredensu. Aimée, z szaleńczo bijącym sercem, zabrała pudełko z farbami, kiwnęła głową na pożegnanie i wyszła.

Teraz, idąc ulicą, wyobrażała sobie Henriego, jak w milczeniu czeka na nią w mieszkaniu: z podwiniętymi do łokci rękawami, rozpiętymi górnymi guzikami koszuli, potem spływającym strużką wzdłuż linii włosów.

Nie chcąc przychodzić z pustymi rękami, Aimée zatrzymała się u rzeźnika. Pulchna kobieta za ladą miała cerę zaróżowioną niczym kawałek kielbasy, który rzuciła na wagę. Jej biały fartuch przy ramionach ozdobiony był sterczącymi koronkami. Pomarszczonymi dłońmi zapakowała funt suszonej kielbasy, natarczywie zachęcając do kupna szpikowanej słoniną cielęciny i pół funta szynki.

Aimée kupiła wszystko. Było jeszcze za wcześnie na posiłek, ledwo po śniadaniu, ale Henri będzie musiał ją poprosić, by została. Na początku omówiliby wspólne zatrudnienie kolejnej modelki albo wycieczkę do Fontainebleau i malowanie w plenerze, zanim lato dobiegnie końca. Wreszcie, kiedy poczuliby się

swobodnie w swoim towarzystwie, zapytałaby go wprost, dlaczego wyjechał. Aimée wydawało się, że właśnie przeszłość, choć chcieli ją ignorować, była tym, co stało im na przeszkodzie.

Henri przytrzymał otwarte drzwi. Jego usta były czerwone i wilgotne, włosy mokre przy skroniach, a koszula wystawała ze spodni. Przy mankietach nie było spinek, rękawy zwisały więc swobodnie przy nadgarstkach.

Aimée wyczuła zapach potu i niemal czuła ciepło jego ciała. Patrzył na nią łagodnie, ze współczuciem.

Zanim zdążyła wyczytać coś z jego wyrazu twarzy, zauważyła wymownie zarumienioną Leonie, siedzącą na łóżku z gołymi stopami, rozsznurowaną bluzką. W zasięgu wzroku nie było sztalugi, pędzli ani farb.

Aimée poczuła mrowienie na policzkach, a jej szczęki się zacisnęły, jakby zjadła coś kwaśnego. Tylko tyle mogła zrobić, aby nie zanieść się płaczem, nie paść na kolana i nie błagać, by jej tego nie robili.

Próbując nie patrzeć na nieszczęsną twarz Aimée, Henri skoncentrował wzrok na ciemnej plamie na ścianie. Czuł drżenie pod lewym okiem, napad nerwowości. Gorący powiew wiatru przyniósł odór z dziedzińca, silny i cierpki smród odchodów. Zaczęło pulsować mu w głowie, miał ochotę ukryć twarz w dłoniach i odgrodzić się od wszystkiego.

Nie chciał, aby to się stało. Leonie była tylko orzeźwieniem, zabawą, rozrywką. Zawsze pojawiała się spóźniona, skołowana, przepraszała.

– Na zewnątrz gorąco jak w piecu – mówiła i z radością zrzucała z siebie ubranie, uśmiechając się, pokazując szczelinę między zębami, bezwstydną, nieskrępowaną, jakby dzieliła się z nim jakimś sekretem. I w przeciwieństwie do innych kobiet nie pytała o jego przeszłość. Powiedziała, że trzeba zapomnieć o przeszłości.

Aimée utkwiała w nim szare oczy, wściekle jak u jej matki. Henri spuścił wzrok, jego dłonie się trzęsły, gdy strzepywał niewidoczne drobinki kurzu ze swoich spodni. Żałował, że nie miał siły jej powiedzieć, że namalował *Popołudnie z dziewczyną*, bo za nią tęsknił. Nie chciał po prostu, by go znaleziono. Nie chciał, by ktoś mu przypominał o Savarayah, o tym, co mu dali, a co mu odebrali.

Gdy Leonie zobaczyła, kto stoi w drzwiach, zerwała się z łóżka i podbiegła do Aimée, obdarzając ją gorącym pocałunkiem, jak to miała w zwyczaju.

– Nakryłaś nas – powiedziała, uśmiechem wyrażając poczucie winy. Ścisnęła dłoń Henriego. – Zamierzaliśmy ci powiedzieć, ale Henri chciał poczekać. – Spojrzała na osłupiałą Aimée, puściła rękę Henriego, a chwyciła przyjaciółki. – Wyglądasz koszmarnie. Naprawdę nie jest tak źle. – Spojrzała na Henriego. – Prawda? – A potem na Aimée. – Jesteś zła? Nie chcę, żebyś była zła. Zamierzałam ci powiedzieć, ale Henri nalegał, żebyśmy poczekali.

Aimée czuła się tak, jakby chmara ciem wleciała do jej ust. Setki lepkich

skrzydeł uwieczonych w jej gardle, próbujących dostać się do żołądka.

Odepchnęła dłoń Leonie.

– Chciałam to tylko przynieść – szepnęła, podając jej zapakowane mięso.

– Zostań. – Leonie chwyciła ją za ramię.

– Umówiłam się z Édouardem. – Aimée wyszarpnęła swoje ramię. – Zgodziłam się zostać jego modelką.

Nie była pewna, dlaczego zdecydowała się na to właśnie kłamstwo. Żeby Henri był zazdrosny? Aby pokazać mu, że patrzeć na nią może sprawiać przyjemność?

Powiedziawszy to, wyszła, zaskoczona, ile wysiłku kosztowało ją stawianie jednej stopy przed drugą. Tak rozpaczliwie pragnęła, by między nią a Henrim była jakaś tajemnica, jakaś obietnica intymności, że ignorowała wszystko, co działo się na jej oczach. *Popołudnie z dziewczyną* nie miało żadnego znaczenia. Nie chciał jej nic przekazać. To był tylko obraz. Jeżeli kiedykolwiek ją kochał, to już dawno przestał. Wybrał kogoś innego.

Bez jakiegoś konkretnego zamiaru, Aimée skierowała swoje kroki do pracowni Édouarda. Konsjerżka powiedziała, że go nie ma, czekała więc przy wejściu do budynku, w oślepiającym słońcu.

W jej wnętrzu krzeszały się iskry, przenikliwe i ostre jak te spod kół przejeżdżającego w pobliżu pociągu, hamującego z piskiem na zakręcie. Taki dźwięk rozbrzmiewał w niej, gdy przyglądała się, jak para unosi się z kominów parowozów do nieczułego nieba. Coś w Aimée zapłonęło, gdy ujrzała rumieniec na twarzy Leonie i ślady na jej szyi. To nie była tylko przyjemność czy namiętność. To było coś głębszego niż wściekłość, bolesne pożądanie.

Zanim pojawił się Édouard, słońce było już wysoko na niebie i Aimée opadała z sił. Kiedy spojrzała w górę, miała wrażenie, że budynki się przechylają.

– Mój Boże! – zawołał, chwytając ją za ramię, gdy przekręcał klucz w zamku. – Jesteś czerwona jak burak.

– To dobrze – roześmiała się Aimée. – Zwykle muszę się uszczypnąć kilka razy, aby moje policzki nabrały koloru.

Édouard poprowadził Aimée chłodnym, ciemnym korytarzem do jasnej pracowni i usadził ją na kanapie.

Ciepło, brak jedzenia, dym z kominów parowozów sprawiły, że czuła się coraz bardziej oszołomiona. Édouard to dostrzegł i zwinnie rozpiął guziki żakietu. Gdy zdjął z niej sukienkę, odwrócił wzrok i pociągnął za wiązania gorsetu.

– Oddychaj – powiedział. Aimée poczuła napływ powietrza do płuc.

Nim Édouard zdążył odsunąć rękę, Aimée zamknęła oczy i położyła głowę na jego ramieniu, napięte i żyłaste mięśnie pod jego nakrochmaloną białą koszulą przy jej policzku. Édouard obejmował ją mocno w talii. Nigdy wcześniej żaden mężczyzna jej tak nie dotykał. Jej oddech przyspieszył. Édouard był starszy,

praktycznie w wieku papy. Miał ze czterdzieści lat. Nieistotne. Młode kobiety często wychodziły za mężczyzn w jego wieku. A z pewnością miały z nimi romanse.

Nie taki był jednak zamiar Aimée, kiedy kładła głowę na jego ramieniu. Nie przyświecała jej żadna intencja. Ale ciepły dotyk jego ręki na jej policzku rozproszył wściekłość i ból wywołane odrzuceniem przez Henriego, a intensywne pulsowanie między nogami mówiło jej, że tego właśnie pragnie.



## Rozdział 13

W atelier Académie Julian, do którego weszła Colette, było wilgotno, duszno i tłoczno. Trzymała się z tyłu, z dala od kobiet i mężczyzn, którzy ugniatali wybrudzonymi dłońmi mokrą glinę. Podłogę zaścielały brudne szmaty, wszędzie stały wiadra mętnej wody.

Colette nigdy wcześniej nie była w pracowni artystycznej. W powietrzu unosiły się zmysłowy, ziemisty zapach, jakby glina jeszcze niedawno leżała na dnie rzeki, i ekscytująca nieprzyzwoitość, kiedy kobiety i mężczyźni razem przebywają na tak niewielkiej przestrzeni, a ich dłonie wślizgują się w plastyczną masę.

Unosząc lekko spódnicę, skierowała swoje kroki w stronę *massier*, który w swej uprzejmości wyjaśnił jej, gdzie znaleźć Aimée.

Weszła do mniejszego pomieszczenia, gdzie światło słoneczne padało na długi dębowy stół, na którym stał nagi mężczyzna. Kawałkiem materiału zakrywał przyrodzenie. Słońce prażyło go w głowę i Colette nie mogła zrozumieć, jak studenci i ich modele mogą przebywać w takim miejscu.

Stał przed nią postawny, białowłosy mężczyzna w grubych okularach.

– W czym mogę pomóc?

– Szukam Aimée Savaray.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Dziś jest nieobecna.

– Naprawdę? – Colette tylko udała zaskoczenie. – Kiedy ostatnio była w akademii?

– Wczoraj.

Z jakiegoś powodu Colette mu nie uwierzyła.

– W takim wypadku byłabym wdzięczna, gdyby mi pan mógł pokazać, nad czym obecnie pracuje.

– Czy mogę zapytać, z kim mam przyjemność?

– Madame Savaray – odpowiedziała Colette z nieukrywaną irytacją.

Mężczyzna się skrzywił.

– Dobrze. Proszę tędy.

Podeszli wspólnie do ściany w tyle sali, gdzie piętrzyły się płótna. Wyciągnął jedno z nich i wręczył je Colette. Był to niedokończony szkic przedstawiający modela, który właśnie stał na stole.

– Co jeszcze? – zapytała Colette.

Nauczyciel wyciągnął chusteczkę z kieszeni i wytarł pot z czoła.

– To wszystko.

– Co to znaczy „to wszystko”? – Colette przycisnęła chusteczkę do nosa, chroniąc się przed nieprzyjemnym zapachem ciała i terpentyny.

– W ciągu tygodnia nie da się wiele zrobić.

Mężczyzna podszedł do młodej studentki i zajrzał jej przez ramię.

– Aimée ma umiejętności, ale nie jest zaangażowana. – Wyciągnął węgiel z ręki dziewczyny i zamasztył ruchem narysował cień brody. Bez słowa oddał jej węgiel i zwrócił się do Colette. – Żeby zostać wielkim malarzem, trzeba poświęcić kilkanaście lat nauce. Ja sam nie mogłem się niczym pochwalić przez siedem lat. Siedem lat! – Wyrzucił te słowa wraz z kroplami śliny. – Pani córka powinna przynajmniej pojawiać się na zajęciach.

– Nie przychodziła tutaj przez całe lato?

Nauczyciel uniósł grube, posiwiałe brwi.

– Nie, madame. W ogóle jej tu nie było. Pojawiła się dopiero tydzień temu.

Colette odwróciła się i machnęła chusteczką przez ramię.

– Dziękuję – rzuciła, wychodząc z sali. Przez chwilę szła po omacku, w dół ciemną klatką schodową, aż znalazła się na świeżym powietrzu.

Przechadzała się passage des Panoramas, zastanawiając się, gdzie w tej chwili przebywa córka. Nie spodobało jej się, że jest okłamywana, ale fakt, że Aimée nie można ufać, w pewien sposób tak. Wyjątkowa etyka pracy córki, jej intymny związek z malarstwem zawsze sprawiały, że Colette czuła się gorsza. Świadomość, że Aimée mogła być niełojalna, że jej córką mogą kierować bez troska i emocje, które rządziły Colette, przynosiła ulgę.

Zwolniła kroku przed witrynami sklepów – wachlarze i jedwabie, skóry i czekolada – jej buty na cienkim obcasie stuknęły o kamień brukowy. Zwabiona zapachem ambry i piżma, weszła do bardzo ekskluzywnej perfumerii. Kupiła egzotyczne perfumy w kryształowej butelce ze złotymi liśćmi zatopionymi w szkle.

Gdyby Colette wróciła od razu do domu, niczego by nie odkryła. Zatrzymała się jednak w pasmanterii, gdzie spędziła prawie godzinę, debatując nad koronkami mechlin i czarną chantilly. Wychodząc ze sklepu, wpadła na wysiadającą z powozu pulchną postać pani Morisot.

– Madame Savaray! – zawołała madame Morisot, jej suknia z czarnego jedwabiu szeleściła przy każdym ruchu. – Słyszała pani? Moja kochana Berthe zaręczyła się z Eugène’em Manetem! – Jej okrągła twarz promieniała.

– Naprawdę? – Colette spróbowała wyobrazić sobie piękną, tajemniczą córkę pani Morisot, którą rozkochał w sobie Édouard Manet, a którą teraz miał poślubić jego brat. – Zatem gratuluję. – Nie mogła się jednak oprzeć i dodała: – Czy Édouard Manet wrócił już do Paryża? Będzie zachwycony.

Colette zamierzała wytrącić z równowagi madame Morisot, ta jednak tylko spojrzała na nią zdumionym wzrokiem.

– Sądziłam, że pani wie o jego powrocie. Ledwie dwie godziny temu Aimée stała przed drzwiami jego pracowni, kiedy tamtędy przejeżdżałam.

A więc to Colette wyprowadzono z równowagi. Oddychała głęboko,

próbując odzyskać spokój.

– Oczywiście – powiedziała. – Ależ jestem niemądra, jak mogłam zapomnieć.

– Upał. – Madame Morisot poklepała ją po ramieniu. – Proszę pozdrowić ode mnie monsieur Savaraya – dodała, wchodząc do pasmanterii.

Colette szybko wsiadła do dorożki.

– Rue Saint-Pétersbourg – nakazała. Gdy pojazd ruszył, zacisnęła dłonie na pakunkach, leżących na jej kolanach.

Aimée wyobrażała sobie, że to nie potrwa długo, ale Édouard wiedział, jak kochać się z kobietą.

Ich niezdecydowany, niepewny początek wynikał z tej mieszanki pokory i podniecenia, z przejścia od niedojrzałej przyjaźni do zawstydzającej intymności.

Nie było szaleńczego zrzucania z siebie ubrań czy rozpaczliwego dotyku, tylko niepewne, ostrożne ruchy przy zdejmowaniu kamizelki, krawatu, spódnicy czy gorsetu.

Gdy Édouard ją pocałował, nie penetrował gwałtownie wnętrza jej ust, jak niegdyś Henri. Potem powoli przeniósł swoją uwagę na piersi, które całował zdecydowanie wilgotnymi, twardymi ustami, sprawiając, że sutki stawały się nabrzmięte, zmieniały kształt. Tak utorował sobie drogę do okolic brzucha, a potem dalej w dół; jego broda była dziwnie szorstka i zmysłowa.

Jej własne ciało ją zaskoczyło tymi niezwykłymi doznaniem, gdy dotykał ją w miejscach, których wcześniej sama nie odważyła się dotknąć. Poczula się niezwykle skrępowana, kiedy delikatnie rozsunął jej kolana, wsunął dłoń między nogi. Jej bezbronność znikła pod mistrzowskim dotykiem jego palców. Kiedy w końcu opadł na nią, nastąpiła chwila bólu, a potem jakiś rodzaj niewyraźnego rozprężenia.

Wydawało jej się, że za chwilę zemdleje, otoczona dźwiękami przejeżdżających pociągów, wypełniającym pokój rumorem, duchotą i przenikliwą wonią Édouarda, który pachniał cygarami, cytrusami, terpentyną, czymś nieokreślonym, ale ostrym, i samym sobą. Jego surowe, osobliwe ciało, które dawało i brało, przywołało ją gwałtownie do rzeczywistości, jakby ktoś podstawił jej pod nos sole trzeźwiące.

Czułość i delikatność tego, co się stało, niemal doprowadziły ją do łez.

Otworzyła oczy dopiero, gdy było po wszystkim. Édouard nadal na niej leżał, spokojny, ciężki, jego oddech na jej szyi płytki i gorący. Powoli wszystko stawało się wyraźniejsze: sufit, wąskie belki, połączony gzyms i zadaszona galeria z arkadami. Na przeciwległej ścianie wisiała *Olimpia*, którą Aimée widziała znad ramienia Édouarda. Miała wrażenie, że naga kobieta się do niej uśmiecha.

Édouard przewrócił się na plecy i wstał z kanapy, ciężko dysząc. Aimée uświadomiła sobie, jak bardzo jest naga, wyciągnięta na siedzisku, w pełnym

słońcu, ale nie próbowała się zakryć.

Gdyby to była miłość, całe zdarzenie nabrałoby znaczenia, ale nie wiedziała nawet, dlaczego do niego doszło. Najgorsze, że czerpała ogromną fizyczną przyjemność z tego aktu. To, że można zaznać tyle przyjemności, nie darząc kogoś miłością, wydawało jej się jeszcze większym grzechem. Leżała, próbując wzbudzić w sobie wyrzuty sumienia, ale tak naprawdę czuła tylko zmęczenie i satysfakcję.

Słyszała, że Édouard wstał z podłogi i kręci się po pracowni. Wreszcie poczuła zapach rozpalanego tytoniu.

Gdy się podniosła, był już ubrany, siedział na krześle kilka metrów od niej z deską kreślarską na kolanach, fajką w zębach i ołówkiem w ręku. Uśmiechnął się z bez troską i dobrocią, co uświadomiło Aimée, że sytuacja nie była skandaliczna, lecz prosta i nieskomplikowana. Nic się pod nią nie kryło. I ze spojrzenia Édouarda rozumiała, że on też tak to widzi – nic więcej między nimi nie będzie.

Wyjął fajkę z ust i wypuścił obłoczek dymu.

– Nie martw się – powiedział. – Nie będziemy przywiązywać do tego dużej wagi. – Uznała, że w ten szarmancki sposób próbował powiedzieć, że nie muszą wspominać o tym nikomu. – Chociaż to rozwijające, nieprawdaż? – mówił, jakby opowiadał o obrazie.

Aimée odwróciła wzrok.

– Pomyślałem, że namaluję cię w tej rzadkiej chwili, gdy jesteś odprężona. – Postukał ołówkiem o krawędź deski kreślarskiej. – Ale jeśli się nie zgadasz, nie zrobię tego. Wiem, że nie znosisz siedzieć bez ruchu.

– Zgoda. Mogę być twoją modelką.

Édouard się uśmiechnął.

– Co ludzie powiedzą? Aimée Savaray nago? Jak pokażesz się w towarzystwie? Nie wspominając o tym, że jesteś beznadziejną modelką. A może umiesz udowodnić, że nie jesteś?

– Nie będę pozować nago. – Aimée była zaskoczona spokojnym tonem swojej wypowiedzi. Bardziej zaskoczona była jednak spokojem, który odczuwała, jakby znajdowała się dokładnie tam, gdzie powinna. – Ale chciałabym jeszcze raz spróbować jako twoja modelka.

Édouard odłożył deskę kreślarską na stół. Lekko uderzył fajką o ceramiczne naczynie, wysypując wypalony tytoń. Następnie podszedł do Aimée i ujął jej podbródek w dłoń.

– Pewnie tym razem nie muszę prosić o pozwolenie twoich rodziców – rzekł, przesuając kciukiem delikatnie wzdłuż linii szczęki.

– Pewnie nie.

– Czy to ostatnia szansa, bym mógł cię ujrzeć naga? – Uniósł jej głowę i wydawało się, że chce znowu ją pocałować.

– Nie – odrzekła bez wahania.

Édouard jej nie pocałował. Sięgnął natomiast po naszyjnik z kamieniem, który leżał na stercie zrzuconych wcześniej ubrań. Po sposobie, w jaki go podniósł, można było wywnioskować, że to on go ściągnął. Aimée nie mogła uwierzyć, że tego nie zauważyła. Édouard wsunął jej go przez głowę, usiadł z powrotem na krześle i sięgnął po deskę kreślarską.

– Ostatnim razem wydałem ogromną sumę pieniędzy na wynajem sukni – powiedział. – Nigdy nie pomyślałem, żeby ją po prostu z ciebie zdjąć. Ale nie wróciłabyś wtedy, prawda?

Pokręciła głową. „Jeszcze wczoraj bym nie wróciła”, pomyślała.

– Skąd mam wiedzieć, że będziesz siedzieć spokojnie i nie doprowadzisz mnie do szału?

Powiedziała mu, że tym razem będzie inaczej, a wyraz jej twarzy to potwierdził. Było w niej coś nowego, melancholia, ale także iskra. Spodobała mu się ta mieszanka uczuć.

## Rozdział 14

Colette nakazała zatrzymać dorożkę na ulicy równoległej do tej, na której mieściło się mieszkanie Édouarda.

Po drodze starała się zrozumieć, dlaczego Aimée zataiła, że chodzi do jego pracowni. Pozwoliłaby córce pozować, bo ta nie była w jego ulubionym typie modelek. Chociaż, jak się nad tym zastanović, malował często córkę Morisotów, a ona była chuda jak patyk. Mimo to Colette była przekonana, że córce nie groziło przyciągnięcie uwagi Édouarda. Gdyby nie uwiódł jej, Colette, dziesięć lat temu, kiedy wyglądała najpiękniej, Aimée nie miałaby szans.

Dlaczego więc Aimée oszukiwała ich, mówiąc, że całe lato spędziła w akademii? Colette przymknęła okno dorożki, pozostawiając małą szczelinę, by móc obserwować, co się wydarzy. Drżąc z ciekawości, czekała w straszliwej duchocie na rozwój wypadków.

Miała wrażenie, że minęły godziny, zanim drzwi pracowni się otworzyły i ukazała się w nich Aimée. Kapelusz osłaniał jej twarz. Édouard stanął za nią, a Colette od razu zauważyła, że nie ma na sobie ani krawatu, ani kamizelki, a górny guzik koszuli jest odpięty.

Wściekła wierciła się na siedzeniu, usiłując zobaczyć coś zza przejeżdżającego powozu. Jak Édouard śmiał uwieść jej córkę? Jak Aimée śmiała mu na to pozwolić? Mieli czelność ją okłamać? Colette ujrzała ponownie Aimée, gdy ta oddalała się już od mieszkania Édouarda. Mężczyzna odprowadzał ją wzrokiem. Colette pochyliła się i otworzyła okno.

– Jedź – nakazała, kipiąc z zazdrości. Gdy powóz ruszył, nagle zmieniła zdanie. – Nie, zawróć. Zawracaj.

Powóz skręcił w boczną ulicę i wyjechał z powrotem na rue Saint-Pétersbourg.

Drzwi do pracowni Édouarda były zamknięte.

– Zwolnij! – krzyknęła Colette, a woźnica pociągnął konie, by zwolniły do stępa, wielkie bestie szarpały za uprzęż i potrzasały łbami ze zniecierpliwienia. W ciągu kilku minut wypatrzyła kapelusz córki. – Zatrzymaj się! – Lekko uderzyła końcem swojej parasolki w krawędź otwartego okna. – Wypuść mnie.

Colette pędem podążyła za Aimée, która szła rue Saint-Pétersbourg. Nagle skręciła, by znaleźć się na place de Clichy. Wyłaniając się zza rogu, Colette niemal wpadła na kobietę z wózkiem pełnym kapusty. W oddali widziała błyszczącą jak rybie łuski satynową suknię córki, przedzierającej się przez tłum. Nieczęsto Colette miała okazję obserwować Aimée niezauważona. Ludzie pokazują się z innej strony, kiedy myślą, że nikt na nich nie patrzy.

Szła za nią w pewnej odległości, gotowa schować się w bramie, gdyby tylko

Aimée się odwróciła. Ta jednak szła dalej. Kroczyła z determinacją, wymijając zygzakami przechodniów. Nie zatrzymywała się ani na chwilę, co uspokoiło Colette. Zakochana dziewczyna wałęsałaby się bez celu, przechadzała zamyślona. Ku uciechu Colette w ruchach Aimée nie było nic marzycielskiego czy ospałego. Nie powinna wyciągać tak dramatycznych wniosków. Upał był wystarczającym powodem, dla którego mężczyzna zdjąłby swoją kamizelkę i krawat.

Aimée zatrzymała się nagle przed szarą kamienicą przy rue de Calais. Colette cofnęła się, przyglądając córce, gapiącej się na rząd wysokich okien. Colette nie widziała wyrazu twarzy Aimée, ale dostrzegła, że stoi odrętwiała, zgarbiona, dłonie trzymając razem, jakby pragnęła się skurczyć. Zrobiła krok w stronę otwartych drzwi dorożki, ale musiała nagle zmienić zdanie, bo odwróciła się szybko i ruszyła ulicą.

Zaciekawiona Colette obserwowała córkę, dopóki ta nie znalazła się poza zasięgiem jej wzroku, a następnie szybko weszła przez bramę do budynku i znalazła się na zatęchłym, niewielkim podwórku. Mieszkania otaczały ją ze wszystkich stron, okna wychodziły na trzy strony, ale lokal, w którego okna wpatrywała się Aimée, znajdował się dokładnie przed nią. Colette zaczęła ostrożnie wspinać się po schodach na tyłach budynku.

Spodziewała się spotkać kochanka Aimée, jakiegoś nędznego, godnego pożałowania artystę. Mógł być bardzo stary albo przeciwnie – bardzo młody. Myśl, że jej córka spotyka się z kimś w tajemnicy, zachwyciła Colette. Aimée musiała go ukrywać, bo wiedziała, że Auguste nigdy nie wyrazi zgody na małżeństwo z takim człowiekiem. Oczywiście będzie udawać, że jest zbulwersowana; powie Aimée, że prawda nigdy nie może wyjść na jaw. Obie przystaną na to, by nic nie mówić Auguste'owi, a już na pewno nie madame Savaray. Aimée trzeba będzie szybko wydać za mąż, jeśli nie jest już za późno.

W żaden sposób nie była jednak przygotowana na spotkanie Henriego. Nawet nie przyszło jej do głowy, że to będzie on. Później uznała, że było to z jej strony wielce nierozsądne – powinna wiedzieć albo przynajmniej podejrzewać.

Henri również nie był przygotowany na spotkanie z Colette. Po wyjściu Leonie zasnął w osłonecznionej części pokoju ze spodniami opuszczonymi do kolan, rękawami podwiniętymi do łokci i rozpiętą koszulą.

Obudziło go pukanie. Potknął się, idąc w kierunku drzwi, wycierając ślinę z policzka, jeszcze nie w pełni obudzony. Obawiał się, ale i miał nadzieję, że to może być Aimée.

Henri i Colette przyglądali się sobie z niedowierzaniem. On zapiął koszulę i opuścił rękawy, spoglądając za siebie w poszukiwaniu spinek do mankietów.

Grobową ciszę przerwała Colette.

– Zatem tutaj się ukryłeś. – Gdy Henri nie odpowiedział, wyciągnęła przed siebie luźną w nadgarstku dłoń i powiedziała: – Nie zaprosisz mnie do środka?

Nie uściskał jej dłoni, ale odsunął się i przytrzymał otwarte drzwi.

Colette opuściła rękę, której nie chciał dotknąć, lekko się uśmiechnęła i podała mu swoją parasolkę. Jej czujność osłabła, a rzadko tak się działo. Nie ściągnęła kapelusza. Zostanie tylko chwilę, jakoś się wymówi i wyjdzie.

Rozejrzała się dookoła. Cieszyła się, że Henri jest już dorosłym mężczyzną, ma prawdziwe mieszkanie, aczkolwiek skromne. Czasem w jej pamięci był jeszcze małym chłopcem, co ją niepokoiło.

Udała zainteresowanie jego pracami, ale nigdy nie potrafiła wykazywać się wystarczającą wrażliwością.

– Gdzie się podziewałeś? Jak udało ci się przeżyć? – zapytała, patrząc na jeden z pejzaży, nie przyglądając mu się jednak z uwagą.

– Tu i tam. Jakoś sobie radziłem. – Stał w pobliżu drzwi, drżąc z gniewu na myśl, że Aimée zdradziła prawdę Colette.

– I Aimée cię znalazła? Czy ty znalazłeś ją? – Odwróciła się w jego stronę.

Oczy Henriego pognały w kierunku podłogi, gdzie krawędź kwiecistej, jasnej sukni Colette spotkała się z chłodnym, ciemnym drewnem.

– Ona znalazła mnie – odrzekł cicho. – Nie chciałem sprawiać kłopotów. Chciałem to wszystko zostawić w spokoju.

– A jednak zostałeś w Paryżu? – Colette podniosła małe płótno ze stołu i odłożyła z powrotem. – No cóż – powiedziała. – Co teraz z tobą pocniemy?

Henri nadal wbijał wzrok w podłogę.

Podeszła do niego. Mógł na nią przynajmniej spojrzeć.

– Auguste w końcu się dowie, że tu jesteś. Szczególnie jeśli Aimée będzie cię stale odwiedzać.

– Nie sądzę, by jeszcze tu wróciła – powiedział Henri. „Potulny i żaloszny”, osądziła go Colette.

– Znowu ją zraniłeś, prawda? Niech zgadnę. – Colette wskazała na ustawiony na sztaludze akt, jej własna zazdrość rosła, gdy patrzyła na obraz przedstawiający śmiałą, piękną kobietę. – Z nią. – Od razu poznała Leonie.

Henri nie odpowiedział. Jego serce biło jak szalone. Colette miała rację, znowu zranił Aimée. Miała prawo być na niego wściekła i wydać go rodzicom. Nie jest mu nic winna.

Colette sięgnęła po parasolkę. Od czasu wizyty w pracowni budził się w niej jakiś rodzaj szaleństwa. Czuła się kompletnie rozstrojona. To niebezpieczna sytuacja. Wiele zależało od tego, jak ona się zachowa. Spotkała się z Henrim i musi to wykorzystać. Najlepsze, co mogła zrobić, to zaaranżować jego spotkanie z Auguste'em.

– Zjedz z nami kolację jutro wieczorem – powiedziała. – Zaskoczmy Auguste'a. Będzie zabawnie. – Podeszła do drzwi, postukując w podłogę wykonaną z kości słoniowej końcówką parasola. – Co ty na to?



W pokoju panował gorąc, powietrze było gęste jak szlam, gdy Henri stanął przed nią, blokując drzwi. Pot spływał mu do oczu, wytarł je wierzchem dłoni.

– Nie zrobię mu tego – powiedział ze złością. – Ty też mu tego nie zrobisz.

Colette wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby i szyderczo się uśmiechnęła.

– Doskonale – powiedziała, omijając Henriego, uważając by go nie dotknąć.

Henri słyszał stukot jej parasolki o deski korytarza. Dźwięk ucichł dopiero, gdy zeszła po schodach. Drżąc, zamknął drzwi, nalał sobie drinka i usiadł.

Nikomu nie wspominał o tych ostatnich czterech latach, pilnował się, by nie odwiedzać popularnych kawiarni, gdzie mógłby zostać rozpoznany. Jego kariera się nie rozwijała, bo nie ośmieliłby się pójść do żadnej renomowanej pracowni. Jakimś cudem obraz Henriego został wystawiony w tym roku w Salonie Paryskim, ale jego sztuka była banalna, a zarobki bardzo skromne. Nie przeszkadzało mu ubóstwo. Właściwie nawet je wolał. Było przejawem autentyczności i uczciwości. Jako artysta żył w odosobnieniu, ale o dziwo nie czuł się samotny.

Kiedy opuścił domostwo Savarayów, był przygotowany na świat pełen zmęczonych, zatwardziałych ludzi. Tymczasem znalazł życzliwych towarzyszy, ludzi gotowych mu bezinteresownie pomóc. Przyjęli go, nakarmili, odziali. To dało mu nowe spojrzenie na ludzkość, spojrzenie, którego nie miał, gdy jako dziecko przebywał w ciemnym, smutnym domu w Anglii albo w pełnym zgiełku domu Savarayów. Zdobył lojalnych przyjaciół, równie biednych jak on. Dali mu to, co akurat mieli, jedzenie, pieniądze, a on nauczył się postępować tak samo. Pojawiło się też kilka kobiet w jego życiu, niewiele, ale wszystkie były dobrymi osobami, takimi jak Leonie.

Powinien był wiedzieć, że do tego dojdzie. Upił łyk alkoholu, taniego i gorzkiego. Nie był pewien, dlaczego przez te wszystkie lata w ogóle próbował udawać przyzwoitego, uczciwego człowieka. Był synem swego ojca. Mogli zmienić mu nazwisko, ale krew nie. W końcu będzie musiał zapłacić za to, co zrobił.

## Rozdział 15

Aimée opuściła mieszkanie Édouarda zdecydowana pójść do Henriego i powiedzieć mu, co naprawdę czuje. Oswojenie się z nagością i oddanie się mężczyźnie pozwoliło jej poczuć się beztrosko, nie miała już nic do ukrycia. Gdy jednak zmierzała do jego mieszkania, zaczęło do niej docierać, co zrobiła, i spokój, który czuła jeszcze u Édouarda, ustąpił miejsca wstydomi i wyrzutom sumienia.

Zanim stanęła przed oknami mieszkania Henriego – wyobrażając sobie jego i Leonie razem, co teraz było jeszcze bardziej bolesne – uświadomiła sobie, że nie może do niego wejść. To, co zrobiła, zmieniło wszystko. Oddanie się innemu mężczyźnie na zawsze odsunęło ją od Henriego.

Pospiesznie oddalając się od budynku, zerwała łańcuszek z kamieniem i z impetem wyrzuciła go na brudną ulicę. Kamień upadł na suche, zwarte łajno i zniknął pod kopytami i trzeszczącymi kołami.

Z wysoko podniesioną głową, patrząc nieobecny wzrokiem w przestrzeń, Aimée udała się do akademii. Pozostałą część popołudnia spędziła w zatłoczonej pracowni, koncentrując się bez reszty na rysunku. Gdy szkicowała, myśli odpłynęły z jej umysłu. Mogła przestać czuć, zdystansować się do ostatnich wydarzeń w otoczeniu wyczerpanych studentów, znajomego zapachu farby, potu i terpentyny, tykania zegara i skrzypienia grafitu na papierze. Jej żal powoli zmieniał się w gniew, który dodawał jej buntowniczej pewności siebie. Zanim dotarła do domu, na nowo poczuła w sobie siłę.

Początkowo Aimée nie widziała, że *maman* znajduje się w jej sypialni. Dopiero kiedy zdjęła buty, zauważyła stojącą w półmroku przy oknie Colette.

– Gdzie byłaś? – zapytała z nutką oskarżenia w głosie.

– W akademii. – Aimée ściągnęła jednego buta i zaczęła odsznurowywać drugiego.

– Kłamiesz.

Aimée mocowała się z drugim butem. Słyszała satysfakcję w głosie matki.

– Nie – odparła, uwalniając w końcu stopę. – Nie kłamię. – Szczęśliwy traf, że tym razem nie kłamała.

– Spotkałam się z Henrim.

Aimée odstawiła but na podłogę. Gniew w niej wzbierał, przykucnęła, przypominając szykujące się do skoku zwierzę.

– Ach tak?

– Powiedział, że się z tobą widział – wyrzuciła Colette z lekkim szyderstwem.

Aimée się wyprostowała, gotowa do konfrontacji. Colette, w pełni przekonana do swoich racji, czekała, aż córka wszystko jej wyzna.

Wyprostowane plecy Aimée i jej śmiałe spojrzenie sprawiły, że Colette przeszył dreszcz.

– Dlaczego ukrywałaś to przede mną? – zapytała. – Dobrze wiesz, jak się martwiłam. To bardzo nieczule z twojej strony. Nie sądziłam, że jesteś do tego zdolna.

Po dzisiejszym dniu Aimée była zdolna do rzeczy, których nikt się po niej nie spodziewał. Ból między nogami i wspomnienie Édouarda wywołały uśmiech na jej twarzy, dziwny uśmieszek, który Colette uznała za przejaw zadufania. W tym momencie mogłaby spoliczkować Aimée za jej bezczelność. Postanowiła jednak się wycofać, by uciszyć swój gniew. Nauczyła się tego przy Jacques'u.

– W żadnym wypadku nie możemy powiedzieć ojcu – oznajmiła. – Nie ma potrzeby, aby teraz to wszystko wyciągać. Zdenerwuje się tylko.

Aimée wiedziała, jak taktownie potrafi zachować się jej matka. Wyczuła też, że rozkład sił w ich relacji uległ zmianie.

– Co oznacza, że nie spotkasz się więcej z Henrim – dodała Colette. Nie była to matczyzna rada, ale ostrzeżenie.

– Zgadzam się – odparła Aimée. Nie chciała być ustępliwa; po prostu podjęła tę decyzję już wcześniej. – Nie ma potrzeby niepokoić papy.

Colette patrzyła na córkę z powagą. Wydawało się mało prawdopodobne, że Aimée odpuści Henriego tak łatwo. Może kłamała – niewątpliwie była do tego zdolna – ale odczytanie czegokolwiek z chłodnego, obojętnego wyrazu twarzy dziewczyny było niemożliwe.

– Postanowione zatem – Colette potaknęła, kalkulując, na co musi teraz zważać w relacji z Aimée.

– Chyba w końcu się w czymś zgadzamy – powiedziała Aimée, jej ton stanowił tylko potwierdzenie istniejących między nimi różnic.

Następnego ranka Aimée nadal leżała w łóżku, gdy Marie gwałtownie rozsunęła czerwone brokatowe zasłony i długa smuga światła padła na deski podłogowe.

– Zastoń je, proszę. – Aimée przewróciła się na bok i naciągnęła prześcieradło na głowę. Wczorajsza adrenalina gdzieś zniknęła, a w ciągu nocy jej żal zgęstniał, objawiając się ostrym, wyraźnym bólem w piersi.

Pod prześcieradłem zrobiło jej się gorąco, odkryła się więc, obserwując, jak Marie podnosi dzbanek pełen wody i wlewa ją do miednicy.

– Lepiej już wstać, mademoiselle. – Marie włożyła nowy kawałek mydła do naczynia, a czysty, złożony ręcznik do górnej szuflady stolika. – Piękny dzień. – Poklepała Aimée po stopie, gdy przechodziła obok łóżka, trzymając w ręce pusty dzban. – Już przegapiła panienska śniadanie.

– Nie jestem głodna. – Aimée spuściła nogi na podłogę.

Marie mruknęła coś pod nosem, oparła dzbanek na biodrze i wyszła

z pokoju.

Aimée podeszła do umywalki i wsunęła ręce do chłodnej wody. Ponury dzień miał się ciągnąć w nieskończoność. Nie pójdzie do Henriego – spryskała twarz wodą – nie będzie z wysiłkiem wchodzić pod górę do mieszkania Leonie na Montmartrze. Sięgnęła do szuflady po ręcznik i wytarła dokładnie twarz od czoła aż po brodę. To nie do pomyślenia, że nigdy nie opowie Leonie o tym, co stało się na kanapie Édouarda tamtego popołudnia, albo że już nigdy nie siądą razem w chłodnym świetle jej pracowni, albo na kwadratowym dębowym stole w kuchni Leonie. Jeszcze bardziej niewiarygodne wydawało się, że Henri ponownie zniknął z jej życia, pozbawiając pragnień i nadziei, strącając ją w otchłań samotności.

Zastanawiała się, co by było, gdyby Édouard został na dłużej jej kochankiem, gdyby było coś innego poza miłością, co mogłoby ją zaspokoić. Ale kiedy wróciła do jego pracowni dwa dni później, stało się oczywiste, że między nimi nie ma nic. Czułość i pożądanie, obecne jeszcze przy ostatnim ich spotkaniu, gdzieś zniknęły. Wydawało się, że wszystko, co się wydarzyło, było skutkiem upału lub stanu bliskiego omdleniu. Édouard Manet powitał ją serdecznie, jak przyjaciel rodziny, mentor i nauczyciel, nic więcej.

A jednak Aimée nie chciała całkowicie zrezygnować z tego, co zaszło między nimi. Nie dlatego, że darzyła Édouarda prawdziwym uczuciem. Poznała zmysłową wersję siebie, a ponieważ nie była w nim zakochana, poczuła gotowość, nie bezbronność. Gotowość, by nie włożyć jedwabnej perłowej sukni, którą Édouard dla niej wypożyczył. Wystarczającą gotowość, aby ściągnąć tę, którą miała na sobie, gdy patrzył oszołomiony i zaintrygowany. Uwolniła się z gorsetu i zrzuciła halkę na podłogę.

Niezrozumiałe uczucie pojawiło się w okolicy żołądka, gdy stała naga, czujnie obserwowana przez Édouarda. Uporczywie wpatrywała się w stół za nim, na którym znajdowały się srebrne świeczniki z wypalonymi świecami, talerz zimnej kiełbasy, otwarta butelka wina i pusty kieliszek z czerwoną plamą na dnie.

Pragnąc swobody, którą dostrzegła u Leonie i modeli pozujących pod świetlikami pracowni w akademii, podeszła do kanapy otoczona powietrzem ciężkim i gorącym niczym woda do kąpieli. Usiadła na brzegu obitego aksamitem mebla, plecami do Édouarda, twarz odwróciła w jego stronę. Ciemne włosy upięła wysoko, w kok. Uniosła rękę i położyła delikatnie na karku.

– Tyle ci dam – powiedziała. – Nie możesz namalować mojej twarzy.

Nazwał go *Jeune femme*, czyli *Dziewczyna*, i był to jedyny obraz Édouarda przedstawiający Aimée.

Colette się cieszyła, że Édouard wypełniał czas jej córki. Jak mogła pomyśleć, że do czegoś doszło między nimi?! Malarz na każdy z jej wieczorków przychodził w towarzystwie żony, którą wyraźnie adorował. Ani razu Colette nie zauważyła wymiany intymnych spojrzeń między nim a Aimée. Takie rzeczy były

wyczuwalne. Gdyby coś się działo, zauważyłaby to. Poza tym miała znacznie większe zmartwienia.

Przez dwa tygodnie na jej polecenie stangret śledził Aimée. Doniósł, że udawała się do Édouarda, a potem wracała do domu. Colette ulżyło, że dziewczyna dotrzymała słowa i trzymała się z dala od Henriego. Wszystko mogłoby się toczyć spokojnie swoim rytmem, gdyby Colette również była w stanie trzymać się od niego z daleka.

Powiedziała Henriemu, że się o niego martwi. Zmrużył oczy. Czy ma wszystko, czego mu potrzeba? Czy powinna przynieść mu jedzenie? Materiały malarskie? Nie ma nic przeciwko, naprawdę; przynajmniej tyle mogła zrobić.

Henri upierał się, że nie potrzebuje niczego, ale Colette i tak wszystko przynosiła.

Przez pewien czas to tolerował, aż doszły do głosu napięcie i strach, że zostanie odkryty. Powiedział jej, że byłoby lepiej, gdyby już nie przychodziła.

– I tak nie powinnam trzymać tego w tajemnicy. Gdyby Auguste dowiedział się, że nie robię wszystkiego, co w mojej mocy, by ci pomóc, byłby wściekły – powiedziała szyderczo.

Z poczucia winy i z chęci wynagrodzenia mu tego nadal go odwiedzała.

Pewnego razu, gdy przyszła, była u niego Leonie i Henri nie otworzył drzwi. Wyjaśnił, że to szukająca pracy modelka, którą widział na ulicy.

– Powiedziałem jej, że nie mam pieniędzy – dodał. Kłamstwo przyszło łatwo.

– Nie otwieraj. Odejdzie.

Tak naprawdę miał teraz pieniądze. Colette mu je dawała. Gdy po raz pierwszy próbowała wręczyć mu dziesięciofrankowy banknot, stanowczo odmówił. Potem zaczęła ukrywać pieniądze w garnku czy filizance, wsuwała je pod poduszkę lub pod paletę.

Raz Leonie znalazła trzy dwudziestofrankowe banknoty wepchnięte do pustej puszki po kawie. Henri powiedział jej, że sprzedał obraz, jakiś tam, nieważne.

Potem zawsze przeszukiwał mieszkanie po wyjściu Colette. Wściekał się, że musi brać udział w jej gierkach. Wierzył, że kiedyś ją to zmęczy. Po ostatniej partii odejdzie.

Mylił się.

Colette przychodziła coraz częściej, Henri zaś stawał się coraz bardziej niespokojny. Za każdym razem wyglądało to tak samo. Pojawiała się tuż po wyjściu Leonie, przez co Henri podejrzewał, że czaiła się na zewnątrz. Wchodziła ostentacyjnie do mieszkania, wręczała Henriemu kapelusz, zdejmowała rękawiczki i przemierzała pokój, uderzając nimi o dłoń.

Robiła przedstawienie, udając, że sprawdza, jakie zrobił postępy, co było

niedorzeczne, bo Henri nie namalował nic nowego od miesiący. Pochylała się nad malutkim pejzażem, jakby nigdy wcześniej go nie widziała, zatrzymując demonstracyjnie spojrzenie na akcie Leonie. Podnosiła głowę, nie mówiąc ani słowa, potem siadała przy stole i spoglądała na stojącego nadal w drzwiach Henriego.

– Nie zaproponujesz mi nic do picia?

To samo, za każdym razem. On brał butelkę czegokolwiek, co akurat miał, i nalewał im do kieliszków. Dzięki pieniądzą, które Colette mu zostawiała, mógł sobie teraz pozwolić na lepsze alkohole, nie wydawał z nich jednak ani jednego su.

Colette piła, kasłała, robiła miny i pytała, dlaczego ciągle kupuje takie obrzydliwe trunki. Przecież nie mogło mu to smakować.

– Ale z drugiej strony – mówiła, nachylając się – skąd mam wiedzieć, co lubisz, a czego już nie lubisz?

Nie siliła się na grzeczność, nie dlatego, że chciała go zniechęcić, ale raczej dlatego, że chciała zdobyć jego zaufanie. Zadawała osobiste pytania na temat Leonie: Jak im się układa? Czy zamierza się z nią ożenić? Jeśli tak, jak chce ją utrzymać? Tego rodzaju rzeczy.

Henri kręcił się niespokojnie na krześle, starając się nie patrzeć jej w oczy, i wzruszeniem ramion odpowiadał na większość pytań. Colette podnosiła się pierwsza, potem w drzwiach Henri podawał jej kapelusz. Opóźniała wyjście, powoli się ubierając, grzebiąc się z zakładaniem rękawiczek i marudząc, wiążąc wstążki od kapelusza. Potem ujmowała twarz Henriego w dłonie i go całowała. Nic osobistego, tylko delikatne przyciśnięcie swoich ust do jego. I znikwała.

Przez te wizyty Henri nabawił się problemów żołądkowych. Leonie nie była w stanie go rozweselić, nie cieszyły go też piękne jesienne, pełne słońca dni, przed którymi ukrywał się w mieszkaniu.

Martwił się, że gdy będzie wychodził gdzieś z Leonie, Colette będzie stała za rogiem czy w podwórzu. Wtedy musiałby opowiedzieć jej o relacji łączącej go z Savarayami, a to oznaczałoby, że musi wspomnieć o swoim dzieciństwie, od którego chciał się uwolnić, a które prześladowało go jak Colette. Musiałby opowiedzieć o tych wszystkich okropnych tygodniach spędzonych w mroźnej Anglii, gdy policja nachodziła ich dom, gdzie każdy w jego obecności mówił półgłosem i nikt mu nie chciał wyjaśnić, gdzie przebywa jego matka.

Henri nie był przygotowany na te rozmowy i cieszył się, że Leonie nigdy nie zadawała pytań, gdy zauważyła jego niechęć do udzielania odpowiedzi. Była dużo bardziej życzliwa, niż na to zasługiwał, i wesoła w obliczu jego przygnębienia. Powiedziała, że takie ma usposobienie. Wiedziała, co to ciężkie doświadczenia. Nie ma sensu ich roztrząsać, skoro można tak łatwo się od nich zdystansować.

Dopiero gdy Aimée odmówiła spotkania z Leonie, Henri dostrzegł u niej cień przygnębienia. Leonie pojawiła się w jego mieszkaniu cała we łzach, ale nie

płakała długo. Stłumiła szloch, otarła mokre policzki i uśmiechnęła się, przekonana, że wszystko się z czasem rozwiąże. Aimée wiecznie nie mogła ich unikać.

Henri się z nią nie zgadzał. Aimée, jak Colette, kiedy coś sobie postanowiła, nie zmieniała zdania. Pod tym jednym względem była podobna do matki.

Madame Savaray zauważyła zmianę, która zaszła w Aimée. Niefrasobliwość dziewczyny umknęła gdzieś z ciepłym latem, a zastąpiła ją chłodną jesienną powściągliwość.

Próbowała z nią rozmawiać, ale Aimée trzymała się na dystans. Rzadko rozmawiała z kimkolwiek w domu. Zamykała się w swojej pracowni lub spieszenie ruszała do Édouarda. Jedynym członkiem rodziny, którego Aimée tolerowała, był Jacques. Spotkawszy go w korytarzu, nadal poklepywała go po głowie i ramię, przed wyjściem, całowała na pożegnanie, brała w ramiona i pocierała o jego nos swoim.

Pewnego dnia przyszła Leonie, ale Aimée nie chciała jej widzieć. Wtedy madame Savaray domyśliła się, co się stało. „Henri obdarzył uczuciem kogoś innego”, pomyślała, siedząc na swoim ulubionym krześle kuchennym. To zmierzało w tym kierunku. Leonie była przyzwoitą dziewczyną, krągłą, nawet aż za bardzo, a owa krągłość przyciąga uwagę mężczyzn.

To ucieszyło madame Savaray i dało nadzieję. Jeśli Henri związał się z Leonie, istniała szansa, że ponownie zniknie z ich życia.

Madame Savaray nie zauważyła jednak zmiany, która zaszła w Colette. Później będzie wstrząśnięta, że tego nie dostrzegła.

Auguste przeczuwał, że coś się dzieje, nie rozumiał tylko, co dokładnie.

Colette nie pozwoliła mu się dotknąć od miesięcy, co akurat nie było niczym niezwykłym, ale teraz nawet ledwo na niego spoglądała. Wychodziła z pokoju, gdy był w połowie zdania, co bardzo go irytowało. Najdziwniejsze jednak, że już się z nim nie spierała. To było coś nowego. Żadne z nich nie podnosiło głosu, ani jednej konfrontacji.

A przecież Auguste dostrzegał wściekłość, którą próbowała ukryć pod maską powściągliwości, błysk w jej oczach, niespokojne spojrzenie. Ktoś ją ranił, ale nie był to już on.

Colette nie było w domu, gdy Auguste wrócił wcześniej z fabryki. Było wilgotno i zimno, a on zawsze przy takiej pogodzie odczuwał ból w stopie, w miejscu, gdzie przebił ją bagnet.

Zawołał żonę. Szukał jej w sypialni, jadalni i salonie, ale nigdzie jej nie było. Zasiadł w swoim gabinecie przy otwartych drzwiach, żeby usłyszeć, kiedy wróci. Bawił się zegarkiem kieszonkowym, owijając łańcuszek wokół palców, jego podejrzenia rosły w alarmującym tempie.

O wpół do czwartej usłyszał nadjeżdżający powóz, pukanie do frontowych

drzwi, a następnie stukot butów o podłogę w przedsionku. Stał w korytarzu, kiedy otworzyła drzwi.

– Wielkie nieba! – Colette położyła dłoń na piersi; rękawiczki tworzyły błyszczącą plamę atramentowej czerni. – Zaskoczyłeś mnie. Już jesteś w domu?

– Bolała mnie noga.

– Czemu się zatem nie położysz?

– Chciałem się z tobą zobaczyć.

Odrzuciła głowę do tyłu, jednocześnie się uśmiechając.

– Po co? – spytała, przechodząc obok niego i kierując się w stronę korytarza.

Auguste podążył za nią, zastanawiając się, dlaczego akurat sposób, w jaki uniosła głowę, jednocześnie go rozwścieczył i pozbawił sił.

– Mam bilety na balet na dzisiejszy wieczór – powiedział. Brzmiało to bardziej jak wyzwanie niż zaproszenie.

– Jaki?

– *La Source*.

– Widzieliśmy go w siedemdziesiątym drugim. Nie był dobry.

– Odnosił ogromny sukces.

– Kto będzie tańczył?

– Nie wiem.

Dotarli do końca korytarza i Colette zatrzymała się u podnóża schodów.

– Wolałabym zostać w domu.

– Kupiłem już bilety.

– Zabierz Aimée – powiedziała, jedną ręką trzymając się poręczy, podczas gdy druga wisiała luźno, na tyle blisko, by Auguste mógł jej dotknąć.

– Nigdy nie odmawiałaś wyjścia na balet.

Zrobił krok w jej stronę, ale Colette szybko znalazła się poza jego zasięgiem.

Wchodząc po schodach, rzuciła jeszcze:

– Nie podobał mi się *La Source*, gdy widziałam go po raz pierwszy. Nie mam ochoty oglądać nowszej wersji.

Rozjuszony jej odmową, Auguste wpadł z impetem na schody, krzywiąc się z bólu, i krzyknął:

– Mówię do ciebie!

Colette zatrzymała się, ciężki tren sukni ciągnął się za nią.

– Wybacz – powiedziała łagodnie, obracając się, by na niego spojrzeć. – Czy coś jeszcze?

Jej oczy były ciemne, skóra blada, usta ciemnoczerwone, jakby je przygryzała.

– Gdzie byłaś całe popołudnie? – Serce Auguste'a biło jak szalone.

– Odwiedziłam madame Telfair. Była chora w zeszłym tygodniu. Pożyczyłam jej wtedy książkę i chciałam, żeby mi ją zwróciła.



Jego żona przybrała niewinne, pytające spojrzenie i czule się uśmiechnęła, co sprawiło, że Auguste uznał, że zachowuje się głupio i nieracjonalnie. Zszedł ze schodów. Co on sobie myślał? Gdzie niby mogła być?

Colette uniosła dłoń do ronda kapelusza.

– Skończyliśmy? – zapytała, uśmiechając się złośliwie. – Chciałbym się przebrać, jeśli pozwolisz. – Opuściwszy rękę, podniosła spódnicę, wspięła się po schodach, nie czekając na odpowiedź.

– O siódmej wychodzimy! – zawołał, ale w odpowiedzi usłyszał tylko szelest tkaniny. Ujrzał błyszczący purpurowy jedwab, po czym Colette znikła mu z pola widzenia.

Później Auguste zdał sobie sprawę, że nie trzymała w dłoni żadnej książki.

Wszyscy będą zdumieni, jak wpłyną na siebie dwa wydarzenia, które nastąpią w przyszłym tygodniu.

## Rozdział 16

Koniec października był wyjątkowo chłodny. Pewnego dnia Colette została u Henriego dłużej niż zwykle. Przybyła obficie skropiona nowymi perfumami, ubrana w ciężki bordowy płaszcz, policzki miała zaczerwienione po spacerze.

– Proszę – podała Henriemu butelkę dobrego czerwonego wina, które nakazała kucharce przynieść tego ranka.

Henri chwycił delikatną szyjkę butelki, postawił ją na stole, szkło pod jego palcami było chłodne i gładkie. Wyobraził sobie, że ściska ją tak mocno, że pęka, że odłamuje szyjkę i nalewa wina, trzymając krwawiącymi palcami ostre, poszarpane szkło, którego odłamki lśnią w kieliszkach.

Wszystkie wspomnienia, poczucie winy i wyrzuty sumienia, które tłamsił w sobie, przemieniły się w coś namacalnego, coś żywego i będącego poza jego kontrolą.

Powinien powiedzieć Colette, żeby sobie poszła. Zażądać tego. Tymczasem sięgnął do szuflady po nóż, wbił go w korek i wyciągnął stanowczym ruchem ręki. Napełnił kieliszki winem o bogatym ostrym aromacie. Siedząc naprzeciwko Colette, przypomniał sobie, jak w dzieciństwie całowała go w czoło i policzki, gładziła mu włosy, otulała ramieniem. Jej niepohamowane uczucie, które wydawało się tak szczodre i nadmierne, sprawiało, że czuł się szczęśliwy.

Pili w ciszy, napięcie między nimi rosło. W końcu Colette poszła do spiżarni, otworzyła drzwi i przyglądała się pustym puszkom i słoikom.

– Jak to możliwe, że nie masz nic do jedzenia? – spytała, podchodząc do Henriego. Ostrożnie położyła ręce na jego ramionach. Przez cienką bawełnianą koszulę poczuł wgłębienie w jej dłoniach i delikatny ucisk palców. – Wydaje się, że mademoiselle Leonie Fiavre nie otacza cię wystarczająco dobrą opieką. – Roześmiała się, pocałowała go w czubek głowy i odsunęła się. – Idź – machnęła na niego ręką. – Przynieś nam coś do jedzenia.

Usiadła na jego łóżku, wyciągając nogi i kładąc się na boku, cienki materac zatrzeszczał i ugiął się pod nią. Zrzuciła pantofle – najpierw jeden, potem drugi – a one z głuchym stukotem uderzyły o podłogę.

– No idź – powiedziała, zamykając oczy i podpierając dłonią głowę.

Gdy Henri znalazł się na zewnątrz, przenikliwe zimno i jasne słońce otrzeźwiły mu umysł. Pomyślał, że pójdzie do Leonie, ale tak naprawdę chciał zobaczyć Aimée, spojrzeć w jej niespokojne szare oczy i posłuchać, jak mówi w jasny i zdecydowany sposób. Mógł sobie wmawiać, że nie chce, by ktoś go znalazł, a jednak to on podszedł do Aimée tego wieczoru, gdy zobaczył ją przez okno kawiarni. Wpuścił ją do swojego mieszkania. Pozwolił, by malowała razem z nim. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo może mu jej brakować, dopóki nie

zniknęła. Gdy odszedł cztery lata temu, walka o przetrwanie sprawiła, że szybko zapomniał. Teraz myślał o niej cały czas i nie mógł znów jej stracić.

Tylko że nie może iść do Aimée, gdy Colette rozłożyła się na jego łóżku, nieprzyzwoicie odsłaniając kostki. Wiedział, że nie wyjdzie, dopóki on nie wróci, i musiał się jej pozbyć, zanim sam zrobi coś bezmyślnego i nieodwracalnego.

Udał się do piekarni. Dłonie mu się ogrzewały od zapakowanego w papier chleba, gdy przemierzał drogę powrotną do domu, nad nim niebieskie, bezchmurne niebo, wokół światło słoneczne odbijające się od ulic miasta. Wszystko przy doskonałej pogodzie wzbudza zachwyt i zadowolenie. Henri jednak przyglądał się temu wszystkiemu z dystansu, z miejsca tak głęboko ukrytego w nim samym, że nie był pewien, czy kiedykolwiek będzie się mógł cieszyć takim pięknem.

Colette nie spała. Siedziała na łóżku ze skrawkiem papieru w ręce. Początkowo Henri nie wiedział, co trzyma. Gdy ujrzał otwarte blaszane pudełko, rozgniewał się.

– Co robisz?

Rzucił chleb na stół i podszedł do łóżka.

– Szukam nowego miejsca, gdzie mogłabym ukryć pieniądze. – Zamachała mu przed oczami kawałkiem papieru. – Kto to napisał?

Henri chciał wyrwać jej kartkę, ale Colette cofnęła rękę i nie mógł jej dosięgnąć.

– Nie masz prawa tego czytać. – Zrobił krok w tył, chociaż miał wielką ochotę się na nią rzucić. Nawiedziły go wspomnienia z dzieciństwa, wściekłość, którą czuł do ojca, matki, do bezsilnego, potulnego chłopca, którym był. Czuł pulsowanie w okolicy skroni, w głowie mu dudniło i w tym momencie nienawidził Colette.

Wstała.

– To wiersz miłosny. – Spojrzała na kartkę, jakby zamierzała go przeczytać na głos. – Jest dość wymowny. I z postrzępionych krawędzi wnioskuje, że nosisz go ze sobą już jakiś czas.

Oślepiające światło słoneczne wypełniło pokój. Henri wyciągnął dłoń.

– Oddaj mi to.

Colette upuściła skrawek na łóżko i podeszła do niego – zapach jej perfum był przytłaczający.

– Nie umiesz się bawić. – Chwyliła jego wyciągniętą rękę i przycisnęła ją do szyi, jego dłoń stała się wilgotna, gdy dotknął jej skóry. – Powiedz mi, że opuściłeś nas dla kobiety, która napisała ten wiersz. Powiedz mi, że nigdy nie byłeś zakochany w Aimée. Powiedz mi, że nie odszedłeś przeze mnie. Powiedz, że miałeś inne powody. – Colette stanęła na palcach. – Nie mogłam znieść myśli, że to przeze mnie.

Wyciągnęła szyję i pocałowała go. Henri poczuł pod palcami cienkie,

napięte ścięgną szyi. Chwycił ją mocniej, zdeglustowany swoim podnieceniem i tym, jak bardzo chciał poczuć smak jej twardego języka, włożyć rękę pod sukienkę i dotknąć tego ciepłego, wilgotnego miejsca między jej nogami.

Colette powinna pierwsza się wycofać, rozumiejąc kruchość i chwilowość tego, co się dzieje. Przysunęła się jednak bliżej, przesuując ręką po jego spodniach, wkładając palce za pasek.

Henri odepchnął ją mocno, oburącz. Potknęła się, musiała się złapać krawędzi łóżka. Twarz jej pociemniała z upokorzenia. Pociągał ją łagodny charakter Henriego, jego czułość. Gniew natomiast знаła doskonale. Wyprostowała się, ciężko dysząc, jej pierś falowała pod gorsetem aksamitnej sukni, gdy rozpiniała guziki.

Henri obserwował ją, coraz bardziej upokorzony, gdy Colette zrzucała kolejną warstwę ubrań. Pragnął jej szaleńczo, jak wygłodniałe zwierzę, pełen żalu i tęsknoty, które nagromadziły się w ciągu całego jego życia. Pragnął być dotykany, kochany, zapewniany, że jest dobrym człowiekiem.

Wybiegł z pokoju.

Było w pół do trzeciej, kiedy stanął przed frontowymi drzwiami domu Savarayów. Gdyby Auguste'a nie było, Henri odszedłby i nigdy nie wrócił. Ale Auguste wrócił do domu pół godziny wcześniej.

Siedział przy biurku, jego niesforne brwi unosiły się i opadały, gdy powtarzał pod nosem sumy, które obliczał w głowie. Marie była poza domem, a młoda pomoc domowa powiedziała mu, że przy drzwiach stoi mężczyzna, ale nie podała imienia. Auguste nakazał go wpuścić, zakładając, że to posłaniec albo młody księgowy, którego zatrudnił w zeszłym tygodniu, by mu pomógł uporządkować finanse. Okazało się, że Auguste zbyt ochoczo inwestował i teraz odczuwał tego skutki.

Henri obserwował go przez otwarte drzwi gabinetu, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Stał jak zahipnotyzowany z powodu tego, co miał zamiar zrobić. Wiedział, że nie musi przez to przechodzić. Mógł po prostu odwrócić się i odejść. Ale to niczego by nie zmieniło i nie sprawiłoby, że o wszystkim zapomni.

Z ogromnym wysiłkiem, ze śliną w koniuszkach ust, z mieszanką gniewu, strachu i zażenowania Henri wymówił imię Auguste'a.

Przez moment, zanim tamten na niego spojrział, poczuł niemy strach, słysząc swoje imię wypowiedane szeptem.

Potem ostrożnie podniósł głowę i wpatrywał się w oblicze młodego człowieka. Minęło sporo czasu, zanim zorientował się, że to Henri. Wreszcie z trudem wstał zza biurka.

Mężczyźni stali w milczeniu naprzeciwko siebie. Auguste poczuł, że opuszczają go siły, jego ramiona stają się wiotkie, ręce ciężko opadają na boki. Dostrzegł w postawie Henriego powściągliwość i strach.

– Henri, mój chłopcze, proszę, wejdź. Siadaj.

– Nie, dziękuję. – Henri pokręcił głową. Jego oczy wędrowały po pokoju: ogromne biurko, otwarta oprawiona w skórę księga, pusty kieliszek, kałamarz, cygaro na stoliku, jasne płomienie skaczące w kominku i Colette spoglądająca z obrazu na ścianie. – Muszę powiedzieć, dlaczego odszedłem.

Auguste splótł ręce za plecami.

– To bardzo pragmatyczne z twojej strony. Po co męczyć się ceremoniami? Dużo lepiej przejść od razu do rzeczy.

Uznał, że Henri przybył wyznać miłość do Aimée. Być może przyznać się do niestosownych relacji z jego córką. W ciągu ostatnich lat Auguste doszedł do przekonania, że taki właśnie był powód odejścia Henriego.

– Tuż przed moim odejściem Colette i ja spędziłyśmy razem noc. Ona przyszła do mojego pokoju, a ja wpuściłem ją do swojego łóżka.

Powiedzenie tego na głos okazało się druzgocące. Henri czuł, jakby ktoś ścisnął jego wnętrzości. Obnażył się, wiedząc, że nie ma argumentów na swoją obronę.

Chciał wyjaśnić, że tego nie planował, że nawet o tym nie pomyślał, zanim do tego doszło. Chciał powiedzieć, jak rozgniewany i zdezorientowany był na początku, ile przyjemności mu to sprawiło, jak zimny był dom, a jak ciepłe jej ciało. Chciał powiedzieć: „Zawsze byłeś dla mnie dobry, ale nie byłeś moim prawdziwym ojcem i zawsze czułem się samotny, głęboko samotny. I przez chwilę, tamtej nocy, ta samotność zniknęła”.

Jednak z wyrazu twarzy Auguste’a mógł wyczytać, że to nie ma znaczenia. To była zdrada. Auguste został zaatakowany ze wszystkich stron. Zamiast rzucić się na Henriego, tak jak chciał to początkowo zrobić, odsunął się i zapadł w fotelu, czując się nagle stary i bardzo, bardzo zmęczony.

Cicho, obco brzmiącym głosem, powiedział:

– Opuść mój dom. – Myśl, że Henri odejdzie po tej ich krótkiej, żalostnej chwili była równie druzgocąca jak jego wyznanie.

Auguste pragnął, by ten chłopiec, którego tak kochał, padł mu do kolan i błagał o wybaczenie, by czołgał się do niego z płaczem. Chciał usłyszeć, jak się usprawiedliwia, chociaż nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Chciał usłyszeć, że Henri to zrobił, bo za bardzo ich kochał.

Gdy Henri wyszedł, gdy jego syn zniknął, Auguste nie mógł się podnieść. Siedział, myśląc, że kiedy ktoś znika, bez żadnego wyjaśnienia, pozostaje przynajmniej nadzieja. Natomiast gdy ktoś się odwraca i odchodzi, nie pozostaje już nic.

## Rozdział 17

Początkowo Colette nie wiedziała, że to Auguste się na nią rzucił. Zakrył jej usta dłonią i wykręcił do tyłu ręce, mocno łapiąc za nadgarstki. Usłyszała, jak zamykają się kopnięte drzwi sypialni. W końcu Auguste ją puścił, odwrócił i popchnął tak mocno, że utraciwszy równowagę, upadła na łóżko.

– Dobry Boże, co ty wyprawiasz? – próbowała się podnieść, ale Auguste pchnął ją z powrotem na łóżko, ręce położył na jej piersiach, aż przeszły ją ciarki. Gdyby nie przerażający wyraz twarzy męża, mogłaby pomyśleć, że to jakiś nowa, wyzdana gra.

Przez ostatnie dwie godziny Auguste wpatrywał się w pusty pokój, wyobrażając sobie żonę z Henrim, a teraz cała wściekłość, którą Colette wylewała na niego latami, cała wściekłość, którą przyjmował rozumem i sercem, wezbrała w nim jak ogromna, oślepiająca fala.

Jego własna żona wpuściła do łóżka ich syna, jak jakaś pospolita dziwka. Słowo „dziwka” nie oddawało nawet tego, co zrobiła, ale tak ją nazwał, podchodząc do niej z podniesioną ręką. Cały się trząsł, oczy miał zamglone, a od narastającego gniewu dzwoniło mu w uszach. Miał zamiar dać jej nauczkę.

Colette leżała nadal na łóżku. Jedną rękę trzymała nad głową, drugą na brzuchu. Nie próbowała nawet wstać. Na jej twarzy i szyi pojawiły się wypieki, oddech miała szybki i płytki.

Auguste opuścił rękę. Nie mógł tego zrobić. Nie mógł jej uderzyć, a kiedy spojrział na nią, serce mu pękło. Wiedział, że nie może już jej kochać. Czuł się, jakby stracił wszystko.

Jego gniew stopniał, zmieniając się w pożądanie, ale taka reakcja była już mu doskonale znana. Intensywne pragnienie. Zamiast ją uderzyć, skierował wzrok na kolana, włożył dłonie pod jej suknię i ściągnął jej reformy.

To stało się wyjątkowo szybko. Jedną ręką trzymał ją za włosy, drugą chwycił podbródek, jego palce zgniatały jej szczękę. Gdy skończył, puścił ją i przewrócił się na plecy.

Colette zamknęła oczy. Bolała ją głowa, a na twarzy pojawiły się siniaki. Opuściła suknię. Jej turniura była zmiażdżona, a ona była w stanie myśleć tylko o tym, jak bardzo jest zniszczona i czy będzie musiała ją wymienić, czy wystarczy ukształtować na nowo stalową ramę.

Przypomniała sobie swój pierwszy raz, gdy znalazła się w łóżku z mężczyzną. Odbyło się to w podobny sposób, i tak samo potem leżała, myśląc o najzwyklejszych rzeczach. Tamten człowiek stał nad nią, wciągając spodnie, mówiąc, że nie mógł się powstrzymać, bo była po prostu zbyt piękna. Czy to nie uprzejme z jego strony, że pokazał jej, jaka jest wyjątkowa?

Zdała sobie teraz sprawę, że w ten sam pokrętny sposób starała się pokazać Henriemu, jaki jest wyjątkowy, jak bardzo go kocha. To wszystko. Nie chciała go skrzywdzić, nikogo nie chciała skrzywdzić.

Auguste leżał obok niej, oddychając ciężko, jego furia minęła, pot zebrał się w zagłębieniu szyi. Przyglądał się wzorowi na baldachimie, niebieskim kwiatom otaczającym białego zająca atakowanego przez trzy białe psy. Ten groteskowy, absurdalny wręcz wzór znajdował się również na kołdrze, tapicerowanym tapczanie i dwóch tapicerowanych krzesłach. Na ten widok Auguste'a ogarnął śmiech, ostre ujadanie przecinające ciszę.

Poczuł, jakby kły tych psów wbijały się w jego ciało. Wziął głęboki oddech i zapytał:

– Jacques nie jest moim synem, prawda?

Żadne z nich się nie poruszyło. Nie paliło się w kominku, w pokoju zrobiło się chłodno. Colette rozważała, czy dotknąć Auguste'a, ale nie mogła tego zrobić.

– Nie – powiedziała. – Nie jest.

Leżeli, aż w pokoju zrobiło się na tyle ciemno, że nie widzieli już nawet niebieskiego płóciennego baldachimu. W końcu Auguste usiadł, wdzięczny, że Colette jawiła się tylko jako połyskujący kawał białej tkaniny. Nie mógł spojrzeć jej w oczy.

– Gdzie mieszka Henri? – Wstał, wciągnął kalesony i spodnie i poprawił surdut, którego nawet nie zdążył zdjąć.

– Zrobisz mu krzywdę? – spytała.

– Oczywiście, że nie.

Rozmawiali ze sobą wyjątkowo uprzejmie, jakby zdawali sobie sprawę, jakie smutki na nich czekają, jakby im obojgu, każdemu na swój sposób, było przykro.

– Rue de Calais, numer osiemnaście – szepnęła.

Auguste włożył buty i stanął nad łóżkiem. Oddychanie sprawiało mu ból, jakby prawda połamała mu żebra. Colette się nie ruszyła, opuściła jedynie suknię w dół. Wyglądała na spokojną, leżąc nieruchomo z włosami rozrzuconymi wokół twarzy, ciemnymi jak wkradająca się noc.

– Marie przygotowała pokój dla ciebie – oznajmił Auguste.

Colette nie odpowiedziała, ale słyszał jej oddech w ciemności, dźwięk tak łagodny i znajomy, jakby wydobywał się z jego własnego ciała.

Odwrócił się i wyszedł w przekonaniu, że mógłby spędzić resztę swojego życia, słuchając tego dźwięku.

Henri usiadł przy stole z pustą butelką wina i wierszem, który znalazła Colette. Nie czytał go, odkąd był małym chłopcem, i zaskoczyło go, że słowa matki mogą być mu bliskie i pocieszające, a nie bolesne, jak się spodziewał. To przypomniało mu, że rzeczy nie zawsze są takie, jakie się wydają, a miłość jest zmienna i nieobliczalna.

Pukanie do drzwi zaskoczyło Henriego. Było późno, a on nie miał ochoty z nikim się widzieć, nawet z Leonie. Lampy jednak się świeciły, i ktokolwiek to był, doskonale wiedział, że on jest w domu, otworzył więc drzwi.

Najpierw zwrócił uwagę na chłopca. Krótkie, tłuściutkie nogi i jasne włoski opadające na czoło; spał kamiennym snem na ramieniu Auguste'a.

Jacques zasnął w powozie, a Auguste bardzo uważał, by nie głaskać go po głowie, nie łąpać za rękę. Tego by było za wiele. Trzymanie ciepłego ciała chłopca, który obejmował go nogami w pasie, było wystarczająco bolesne.

– Weź go – powiedział Auguste. Głowa chłopca opadła bezwładnie, gdy niezdarnie podawał go Henriemu. – To jest Jacques. Twój syn.

Miękkie skórzane buty Jacques'a dotknęły ud Henriego, gdy ten z zakłopotaniem podniósł chłopca w górę. Patrzył na Auguste'a z mieszaniną szoku i dezorientacji, które szybko zmieniły się w panikę, gdy poczuł ciężar dziecka.

Auguste odchrząknął, puste ramiona wywołały wręcz fizyczny ból.

– Musisz dać mu swoje nazwisko, swoje prawdziwe nazwisko. Człowiek musi wiedzieć, kim jest. Inaczej nie znajdzie swego miejsca w świecie.

Nie mógł patrzeć na Henriego i Jacques'a. Po prostu włożył powoli ręce do kieszeni, pochylił głowę i zbiegł z powrotem schodami.

Gdy stangret uderzył lejcami w grzbiet konia, Auguste wbił pięści w siedzenie. Był kretyńcem. W taką mroźną pogodę nie wziął nawet ze sobą płaszcz chłopca. Spojrzył w okno mieszkania, mając nadzieję, że Henri będzie pamiętał, by opatulić śpiące dziecko. Z samego rana przyśle rzeczy Jacques'a... i dżem porzeczkowy; Henri nie wie, że ulubionym smakołykiem chłopca jest dżem porzeczkowy.

Auguste pamiętał, jak opuszczał cmentarz, na którym pochowano jego syna, Léona. Colette siedziała w powozie naprzeciwko niego, na jej twarzy malował się ból wywołany tą niepowetowaną stratą. Pamiętał krzyki Aimée, musiał trzymać ją na kolanach z obawy, że wyskoczy przez okno powozu.

Zastanawiał się, ile dzieci człowiek musi stracić, zanim zgaśnie w nim chęć do życia. Gdy oddalał się od mieszkania Henriego, rzeka smutku, która latami płynęła pod powierzchnią, wydostała się wreszcie, zmieniając się w powódź żalu, której nie dało się już powstrzymać. Żalu, którego nigdy, nawet gdy będzie już bardzo stary, nie zdoła uciszyć.



## Rozdział 18

Nikt nie wiedział, że Auguste zabrał chłopca.

Marie sądziła, że Jacques leży wygodnie w ciepłym łóżku, w którym go wcześniej położyła. Była zbyt zajęta porządkowaniem pokoju gościnnego, aby opowiedzieć mu bajkę na dobranoc.

– Powinnaś znać prawdę – powiedziała jej Colette. – Nie mogę wchodzić do pokoju mojego męża. Przygotuj łóżko w pokoju gościnnym, rozłóż lniane prześcieradło, to, które lubię. Możesz je zdjąć z łóżka Auguste’a. Nie zauważy różnicy.

Colette pragnęła jedynie się położyć i zamknąć oczy. Zazwyczaj szła do pokoju Jacques’a i całowała go na dobranoc, ale po wydarzeniach tego dnia chciała po prostu zasnąć. W związku z tym nieobecność chłopca odkryto dopiero następnego poranka.

Podczas śniadania wszyscy wyglądali na zmęczonych. Nikt nie spał dobrze i nikt nie miał ochoty na jedzenie czy rozmowę. Słychać było tylko stukot łyżeczki o filiżankę, zgrzytnięcie noża o talerz czy chrupanie przeżuwanych tostów.

Aimée nie czuła się dobrze. Ostrożnie ugryzła kawałek tosta, rozważając wysłanie wiadomości do Édouarda o przełożeniu ich sesji na następny dzień. Nie zauważyła cieni pod oczami papy ani małego siniaka w okolicy szczęki *maman*.

Madame Savaray nie był w stanie nic przełknąć. Popijając czarną herbatę, przenosiła swój wzrok ze zmarszczonego czoła Auguste’a na kamienną twarz Colette, napięcie między nimi stało się tak gęste, że można by ciąć je nożem.

Poprzedniej nocy madame Savaray usłyszała trzaśnięcie drzwi sypialni. Potem, kiedy nikt nie zszedł na kolację, zrobiło jej się niedobrze i zwróciła to, co zjadła. Wcześniej tego dnia widziała Henriego przed frontowymi drzwiami, co napełniło ją lękiem. Auguste nie był gwałtownym człowiekiem, ale wiedziała, że każdego można pchnąć do przemocy. Nie lubiła się wtrącać, a jednak musiała wyteńczyć całą siłę woli, by nie wparować do sypialni syna. Pomógł też kieliszek brandy, który zdecydowała się wypić w salonie przy uchylonych drzwiach, żeby mogła słuchać dochodzących z góry odgłosów.

Teraz, przyglądając się jego wyczerpanej twarzy, obawiała się najgorszego.

Ktoś lekko zapukał do drzwi.

– Wejść – rozkazał ostro Auguste.

Marie weszła do pokoju, spod rudej grzywki widać było wielkie, rozbiegane oczy.

– Przepraszam, że przeszkadzam podczas śniadania – powiedziała drżącym głosem – ale nie mogę znaleźć Jacques’a.

Colette zerwała się od stołu, jej serwetka upadła na podłogę jak ranny ptak.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie ma go w pokoju dzieciennym, sprawdzałam.

Marie wpadła w panikę. Pomimo że rodzina dobrze ją traktowała, straci posadę, gdy się okaże, że chłopiec się zgubił i wałęsa po ulicach.

Madame Savaray odstawiła filiżankę na spodeczek.

– Sprawdzałaś pod łózkami? – warknęła, wypierając prawdę, wmawiając sobie, że to nie pierwszy raz, gdy Jacques się schował. Gdyby Marie była choć odrobinę rozsądna, znalazłaby chłopca i przemilczała całą sprawę.

– Pewnie jest w spiżarni. – Aimée odstawiła tosty i strzepnęła okruchy z palców. – Kucharka znalazła go tam kilka dni temu. Wyjadał resztki dżemu pigwowego ze słoika.

Marie potaknęła, załamując ręce.

– To było pierwsze miejsce, które sprawdziłam. Szukałam w szafach, pod każdym łóżkiem. Wołałam go. – Łzy spływały jej po opuchniętych policzkach. – Sprawdziłam na schodach, w salonie i w ogrodzie.

– Chłopcu nic się nie stało. – Auguste oderwał oczy od talerza, łokcie oparł o stół, trzymając nóż i widelec w rękach. – Jest ze swoim papą.

Aimée spojrzała na swojego ojca, pewna, że się przesłyszała. Madame Savaray pochyliła się do przodu, kładąc dłoń na piersi. Colette chwyciła się oparcia krzesła, póki zaczął pulsować w nienaturalnym świetle, zrobiło jej się ciemno przed oczami.

Odłożywszy sztucce, Auguste odsunął krzesło i wstał.

– Odwiozłem go do Henriego – dodał, unikając wzroku wszystkich osób w pokoju.

Colette nie mogła złapać oddechu. Pętla zaciskała się na jej szyi.

Auguste zwrócił się do Marie, która zamarła, stojąc w drzwiach:

– Spakuj rzeczy Jacques'a – powiedział. – Stangret je zabierze.

Coraz bardziej rozhisteryzowana Colette wrzasnęła:

– Nie możesz tego zrobić! – I rzuciła się na Auguste'a.

Usunął się z jej drogi, przewracając krzesło na podłogę. Colette potknęła się o nie i upadła na kolana.

– Nie możesz tego zrobić! – krzyknęła, odsuwając przeszkodę i czołgając się do Auguste'a, jej protest był dziki i straszny, twarz wykrzywiona z bólu.

Madame Savaray wstała od stołu.

– Colette, podnieś się.

Ale Colette nadal klęczała, kołyszając gwałtownie głową, jakby chciała, by spadła jej z karku.

Aimée nie mogła się ruszyć. Czuła, że wszystko się od niej oddaliło, została tylko informacja, którą usłyszała. To był powód jego odejścia. Nie dlatego, że pocałował ją tamtej nocy na korytarzu czy że wyznał jej miłość. To nie ma z nią nic

wspólnego. Żołądek podskoczył jej do gardła. Ukryła twarz w dłoniach, zamykając oczy, by chronić się przed światłem słonecznym, które kpiąc z jej tragedii, wpadało przez okno. Przypomniała sobie ten smutny, zimowy dzień, gdy z okna sypialni widziała w oddali krwawiącego żołnierza, kiedy jej cierpienie było ogromne jak bezkresne morze, gdy sądziła, że Henri odszedł z jej winy.

Ciężar grzechu matki, szokująca prawda o tym, co zrobiła, co zabrała jej i Henriemu, im wszystkim, wypaliły ją od środka, pozostawiając pustkę w sercu.

Colette nadal klęczała, jej twarz wyrażała mękę i wściekłość.

Madame Savaray stanęła przy niej.

– Colette, musisz wstać, moja droga – powiedziała, pochylając się nad nią. W okolicy kolana poczuła ostry, promieniujący ból. Jej głos był kojący. – Musisz wstać, nic innego nie możesz zrobić. – Chwyliła synową za ramiona i postawiła na nogi.

Auguste się wycofał, stanął pod ścianą niczym osaczone zwierzę. Chciał wyjść z pokoju, z samego siebie. Nie mógł patrzeć na Colette. To była jej wina. Musiał obarczyć ją winą, co innego mógł zrobić? Już nigdy nie dotknie miękkiego policzka Jacques'a, nie usłyszy jego dziecięcego głosu, nie zobaczy radości zamkniętej w jego pełnym, niewinnym uśmiechu. Po śmierci synów Auguste czuł rezygnację, bolesną stratę. Dzisiaj, tuż po przebudzeniu, poczuł ból będący pokutą, torturą. Tym razem to Bóg odebrał mu syna, on sam go sobie odebrał. Świadomość tego faktu działała na niego wyniszczająco.

Wolał, by Colette rzuciła w niego czymś, rozbiła talerz o podłogę, krzyczała, ale jej oburzenie zmieniło się prędko w głęboką rozpacz. Jedyne, co mogła zrobić, to zamknąć oczy i kołysać się w przód i w tył, ze zwieszoną głową.

Madame Savaray spojrzała na Marie, która stała oniemiała w drzwiach.

– Pomóż mi – powiedziała. Pokojówka podbiegła i wzięła Colette pod ramię.

We dwie wyprowadziły ją z pokoju i położyły do łóżka w sypialni na piętrze. Leżała tak, zakrywając ramieniem oczy.

Colette słyszała szuranie i dźwięk drewnianych przelotek przesuwających się po karniszu. Ktoś ściągnął jej pantofle, przykrył nogi kocem, przyłożył ciepłą dłoń do czoła. Poczowała chłód na skórze, gdy ją zabrał. W końcu drzwi sypialni się zamknęły, a w pokoju zapanowała cisza.

Odsunęła od twarzy rękę, która opadła bezwładnie na łóżko. Czowała się oderwana od swojego ciała, zimna i ciężka jak kamień, wyobrażała sobie, że jest częścią łóżka, stałym, nieruchomym elementem. Odważniejsza kobieta szukałaby syna, uciekła z nim, ryzykując wszystko dla dziecka. Colette myślała, że należy do tego rodzaju kobiet. Tak sobie siebie wyobrażała, a tymczasem leżała tu, nigdzie nie uciekając, czując tę samą pogłębiającą się pustkę, której doświadczyła po narodzinach dziecka. Gdy dzieci opuszczały jej ciało, nie należały już do niej. Świat je zabierał, gdzie wdychały pełne zarazków powietrze, i oddawał z powrotem

Bogu, zanim zdążyła pocałować je na pożegnanie.

Samotna smuga słońca przedostała się przez szparę w zasłonie i padła na łóżko, trafiając w Colette jak piorun. „To zemsta Boga”, pomyślała, wyciągając ramię do światła, którego promień przeciął jej rękę w nadgarstku.

Po raz pierwszy w życiu nie pozostało w niej żadnej chęci do walki, a tak bardzo jej teraz potrzebowała. To nie była wina Auguste'a. Jacques był jej grzechem i Bóg, odbierając go, wymierzył jej karę.

Aimée musiała się przejść, wyjść na zewnątrz, przypomnieć sobie o istnieniu nieba i powietrza, o tym, co wyraźne, zimne i prawdziwe.

Prawda była wstrząsająca. Jacques jest zarazem jej bratem i synem Henriego. Myśl, że Collette i Henri spędzili razem noc, wywołała w niej palący gniew, w jej sercu powstała rana na wylot.

Ledwo widziała drogę, gdy szła do Édouarda. Jego pracownia była zbyt słoneczna, zbyt przestronna, okna zbyt duże, a ściany i sufit zbyt wysokie. Normalnie rozebrałaby się przed Édouardem podekscytowana, że się jej przygląda. Dzisiaj ściągnęła ubrania za parawanem, a gdy się zza niego wyłaniała, cała się trzęsła.

Czuła się brudna, jej nagość była uwłaczająca, stanowiła potwierdzenie grzesznej natury.

Przeszedł ją dreszcz, kiedy usiadła na skraju kanapy.

– Zimno ci? – zapytał Édouard.

– Nie – odparła, ale i tak odwrócił się i przykucnął przy otwartych drzwiczkach piecyka, by dołożyć węgla. Odniosła wrażenie, że jest strapiony.

– Uwierzysz, że Lemercier<sup>1</sup> zużył siedem kamieni<sup>2</sup>, żeby wykonać odbitkę *Polichinelle*? Przyniosłem im trzydzieści arkuszy japońskiego papieru najlepszej jakości, by wykonać tę litografię. Nigdy nie kazałem im zużywać tylu kamieni. Oczywiście dowiedziałem się o tym dopiero, gdy znalazłem nabywcę. Irytujące. – Na dźwięk wrzucanego do wiaderka węgielka Aimée aż podskoczyła.

Gdy podchodził do płótna, Aimée przybrała już odpowiednią pozę, rękę trzymając nad głową. Doskwierał jej upał, przez co dostała wypieków na twarzy i odczuwała nudności. Jedyne, co mogła zrobić, to siedzieć bez ruchu.

Édouard podniósł pędzel. W oczy rzucił mu się tylko różowy rumieniec na bladej skórze Aimée.

Ktoś lekko zapukał do drzwi.

– Proszę wejść – powiedział Édouard. Aimée obróciła się tyłem, gdy do mieszkania weszła tęga dziewczyna o brązowych włosach upiętych w niski kok. Popatrzyła na Aimée, a następnie spuściła wzrok.

Édouard spojrzał na nią poirytowany.

– Co tu robisz? – spytał.

– Czy nie miałam przyjść na jedenastą, monsieur?

– W przyszłym tygodniu – Édouard pokręcił głową, a zapal zniknął z jej twarzy. – Idź zatem.

Odwrócił się od niej i zanurzył pędzel w farbie.

– Dobry Boże, nie wiem, jak mogłam się tak pomylić! Bardzo mi przykro. – Głos dziewczyny stał się jeszcze bardziej piskliwy. Édouard podniósł dłoń.

– Idź. Odejdź. – Skinął lekceważąco. – Pracuję.

– Oczywiście, monsieur Manet, moje najszczerze przeprosiny. Przyjdę zatem w przyszłym tygodniu.

Opuściła głowę i wychodząc, prawie się potknęła.

– Nowe modelki – skrzywił się Édouard. – Równie gorliwe, co denerwujące.

Spojrzał na Aimée, która nie przybrała ponownie swojej pozy.

– Czy możemy przełożyć naszą sesję na inny dzień? – spytał Édouard.

– Dlaczego? – Aimée podniosła rękę.

– Nie wyglądasz dobrze. Musimy przerwać.

Ramię opadło bezwładnie.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie ma co przepraszać. – Édouard wziął ją za rękę i pomógł podnieść się z kanapy.

– Idź się przebrać. Prawie skończyłem. Jeszcze kilka dni i twoje ciało będzie znowu należeć wyłącznie do ciebie – dodał, uśmiechając się do niej. Aimée weszła za parawan. Czuła się słaba i bezbronna, bardzo pragnęła znów oddać się Édouardowi.

Gdy poczuła tę potrzebę, od razu przewróciło się jej w żołądku. Ubrała się szybko i życząc Édouardowi dobrego dnia, pospieszenie wyszła z pracowni.

Do domu wracała pieszo, nudności wzmagaly się z każdym krokiem. W pewnym momencie poczuła się chora i oszołomiona, nie mogła iść dalej. Stała na chodniku, wzięła głęboki oddech i zatrzymała wzrok na najdalszym punkcie na horyzoncie. Chmury przesuwaly się w zawrotnym tempie. Pobliskie okiennice były otwarte, ze środka dobiegał głos rozgniewanej, zmęczonej kobiety. Aimée się zatoczyła. Poczula zapach gotowanego w pobliskim mieszkaniu mięsa, pochyliła się i wymiotowała na chodnik.

## Rozdział 19

Następnego dnia w domu Savarayów panowała zupełna cisza. Colette nie opuściła swojego pokoju, Marie przyniosła jej tacę z jedzeniem, ale zabrała je później nietknięte. Tylko Auguste i madame Savaray zjedli w jadalni. Nie zamienili ze sobą ani słowa. Aimée obiad zaniesiono do pracowni, gdzie malowała martwą naturę, próbując drobiazgowo przedstawić stos książek, leżącą na stole otwartą księgę, kałamarz i gęsie pióro. Obraz był wyjątkowo szczegółowy, ale malowanie z precyzją wymagało sporej koncentracji. Dzięki temu, niewzruszona jak skała, mogła odizolować się od świata na kilka godzin. Zastanawiała się, czy nie odwiedzić Jacques'a – nikt jej tego nie zabronił, co zresztą i tak by jej nie powstrzymało, ale nie mogłaby znieść teraz widoku Henriego. Nawet dla Jacques'a. Skoncentrowała się więc na barwach, cieniach i kreskach, próbując zapomnieć o nocy, którą Henri spędził z jej *maman*, i pustym pokoju Jacques'a piętro niżej.

Nieustannie jednak szumiało i buczało jej w uszach, i ogarniały ją mdłości. To wszystko zaczęło się, gdy stała na chodniku i poczuła zapach gotującego się mięsa. W tamtej chwili, gdy chmury przesuwały się po niebie, a ziemia osunęła się spod jej stóp, zrozumiała, że jest w ciąży.

Starszy pan pomógł jej wstać z chodnika, nie wspominając nic o wymiocinach. Wsadził ją do dorożki i nakazał stangretowi zawieźć do domu. Ale gdy tylko powóz skręcił w rue l'Ampère, Aimée powiedziała woźnicy, by jechał po prostu przed siebie.

Pięć dni później siedziała na kanapie Édouarda, słuchając głośnego tykania ogromnego ściennego zegara, czekając, aż będzie mogła się w końcu poruszyć. Zastanawiała się w ciszy, jak powiedzieć mu prawdę. Co dokładnie powinna powiedzieć. Będzie musiał jej pomóc. Będzie musiał. Nie miała do kogo się zwrócić. Nie mogła powiedzieć nikomu z rodziny.

Édouardowi nie dopisywał humor. Obraz był prawie ukończony, ten etap pracy zawsze wywoływał w nim niepokój. Rzadko był zadowolony i nie miał litości dla Aimée, pomimo jej bladej skóry i drżącego ramienia. Swoim wyglądem niweczyła jego pracę. Ale wyglądała tak przez ostatnie kilka dni i nie oczekiwał już, że nagle nabierze kolorów.

Spojrzał na zegar, myśląc, że mógłby skończyć wcześniej. Nagle drzwi do pracowni się otworzyły. Zaskoczony Édouard upuścił pędzel, brudząc przód spodni farbą.

Aimée odwróciła się tak gwałtownie, że aż ją zamroczyło. Zdezorientowana zakryła nagie piersi ramieniem. W jej kierunku szedł papa.

Gdy stanął nad nią, w jego zmrużonych oczach widziała wściekłość.

Zaciśniętymi w pięści dłońmi uderzał o uda.

– Ubierz się – powiedział zdławionym głosem.

Aimée podniosła się raptownie. Auguste oblał się rumieńcem, gdy zobaczył córkę w negliżu. Rozdygotana odwróciła się i weszła za parawan, suche powietrze wręcz kaleczyło jej skórę.

W czasie gdy zakładała pantalon, halkę, gorset i turniurę, naciągała spódnicę i doprowadzała się do porządku, w pokoju panowała kompletna cisza, słysząc było tylko nieznośne tykanie zegara.

Gdy wyłoniła się zza parawanu, Édouard w milczeniu zanurzał pędzel w słoiku z mydłem, a jej papa stał ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, patrząc na obraz.

Auguste musiał przyznać, że obraz jest dobry, cechowała go naturalność i autentyczność. Mógłby wzbudzić w nim ekscytację, gdyby przedstawiał kobietę pracującą, dla której pozowanie do aktów nie jest uchybieniem, a nie dziewczynę z klasy wyższej. Dlaczego nie namalował jego córki w okazałej sukni, z nieśmiałym spojrzeniem? Wystarczyło uchwycić jej kremową cerę, odsłonić palec u nogi. Auguste odwrócił się zde gustowany. Żadna kobieta z burżuazji nie pokazałaby nagiej szyi czy krągłości poniżej pleców, a już na pewno nie kusiłaby, dotykając palcami własnej skóry.

– Ty – Auguste pogroził Édouardowi ręką. – Jak śmiesz? – Wskazał na obraz. – Masz natychmiast się pozbyć tego plugastwa. I nikomu go nie pokażesz. Słyszysz mnie?

Początkowo zszokowany Édouard stał teraz spokojnie, czyszcząc końcówkę pędzla skrawkiem muślinu.

– Mam wielki szacunek dla pańskiej rodziny, monsieur Savaray – powiedział spokojnie Édouard. – Nigdy nie ujawnię tożsamości pana córki. – Odłożył pędzel i wskazał na obraz. – Nie widać jej twarzy.

– To nie jej twarz mnie martwi! – krzyknął Auguste, chwytając Aimée za ramię, jego palce wbijały się w jej miękkie ciało, gdy zmierzali w stronę drzwi.

– Monsieur – dodał malarz. – Pańska córka chętnie mi pozowała. To ona była inicjatorką tego pomysłu.

Aimée patrzyła na Édouarda. To był jej pomysł, ale mówiąc to, uczynił ją całkowicie odpowiedzialną, siebie oczyszczając z wszelkiej winy. Nagle zdała sobie sprawę, jaki jest stary. Jak jej papa. Była tą naiwną, tą, na którą zrzucano odpowiedzialność.

Jak widać jedynie kobiety muszą płacić za swoje grzechy.

Aimée poczuła gorzki smak w ustach. Dotarła do niej przytłaczająca prawda – ciąża będzie również postrzegana jako jej grzech. Édouard nigdy nie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Nie przyjdzie jej na ratunek, nie będzie chciał jej bronić. Musiał dbać o swoją reputację i miał pewne zobowiązania. Z uśmiechem

na twarzy pozwolił Aimée odejść, z powrotem do jej papy, gdzie było jej miejsce.

Jechali do domu w milczeniu. Gdy powóz się zatrzymał, chwycił ją za ramię w obawie, że mogłaby uciec, i zatargał ją do domu. Ciągnął ją po schodach na górę i cisnął do pracowni niczym brudną szmatę.

Potknąwszy się, Aimée chwyciła się oparcia kanapy i podciągnęła w górę. Odwróciła się w stronę ojca z pogardliwym spojrzeniem, które znał doskonale z czasów jej dzieciństwa. Zawsze zaskakiwało go, że córka ma czelność mu się sprzeciwić.

– Przekroczyłaś wszelkie granice! – krzyknął.

Aimée zrobiła śmiały krok w jego stronę. Cichy szum, subtelne buczenie, zmieniło się w bzyczenie chmary komarów. Poczowała przypływ adrenaliny.

– To był tylko obraz – stwierdziła.

Auguste przeszedł na drugą stronę pokoju. Aimée mogłaby przynajmniej udawać pokorną. Najmniejszy przejaw wyrzutów sumienia sprawiłby, że poczułby się lepiej. Oburzające, jak niegodziwie postępowały mieszkające w tym domu kobiety. Był dla nich dobry, dał im wolność, a one tylko go upokarzały i zdradzały.

– Koniec z tym! – Wykonał zamaszysty ruch ramieniem. – Nie będę dłużej płacił za twoje zajęcia z malarstwa. Mogłem to przewidzieć. To nie jest zawód dla kobiety.

Włosy mu się uniosły, gdy przecesał je dłonią. Zdawał sobie sprawę, że działa pochopnie, bez rozsądnego planu, ale stracił kontrolę nad swoim życiem i nie widział prostego rozwiązania. Nie był okrutnym człowiekiem. Kochał swoje dzieci. Odesłał Jacques'a właśnie dlatego, że go kochał. To jedyne, co mógł zrobić. Z Aimée było inaczej. Miał wybór i doskonale zdawał sobie sprawę, że może postępować niewłaściwie.

– Słyszałaś mnie? – krzyknął, podchodząc bliżej z zaciśniętymi w pięści dłońmi, ale jego córka tylko stała bez słowa i prowokująco patrzyła na niego nieprzeniknionym spojrzeniem. – To dla twojego dobra. – Auguste oddychał ciężko. – Nie masz pojęcia, jakie są prawdziwe intencje mężczyzn. Ta z pozoru niegroźna sprawa z Édouardem mogła się skończyć bardzo źle.

Założył ręce do tyłu, a jego oczy wędrowały po pokoju – wiszących na ścianach obrazach i półkach z książkami. Dlaczego Aimée nie widzi, że kobiecie nie przystoi zamykać się w pracowni i zajmować wyłącznie malowaniem? To życie dla mężczyzn, którzy są jak stado zwierząt, drwią z siebie i chronią się nawzajem, zamknięci w tym chaotycznym i szalonym świecie.

Artyści nie wspierają kobiet wykonujących tę profesję. Są pozostawione same sobie i dlatego to nie jest życie dla nich.

Skinął szybko głową.

– Wyjdiesz za mąż – dodał, teraz już spokojniej. – Za człowieka, który może nie będzie idealnym dżentelmenem, za to będzie na tyle zamożny, by



zapewnić ci godziwe życie.

Rozwścieczyła ją bezczelność ojca. Zachowywał się, jakby nie miała nic do powiedzenia w tej sprawie.

– Nie wyjdę za mąż – powiedziała stanowczo.

Podszedł bliżej.

– Zrobisz, co mówię! Słyszysz?

Podniósł pięść, jakby chciał ją uderzyć, ale Aimée ani drgnęła. Wściekły chwycił leżący na stole kozik, doskoczył do sztalugi i wbił nóż w oparty na niej obraz.

– Masz za swoje – warknął, ale od razu jego irytacja wydała mu się nedorzeczna. To, co właśnie zrobił, zdenerwowało Aimée najbardziej. Wyraz jej twarzy mówił, że wołałaby, żeby ją uderzył.

Patrzenie na pocięty fragment płótna, gdzie widniał namalowany z dbałością o szczegóły stos książek, wywołało w Aimée palące uczucie przebiegające od środka ciała aż po czubek głowy. Kiedy odwróciła wzrok, przygasający ogień w kominku, regały, stoły i krzesła nabrały ostrości, stały się wyraźne, jakby sama je naszkicowała.

Spojrzała na papę. Oddychał ciężko. Jego twarz przybrała barwę jasnoczerwoną, a włosy zjeżyły się, ale nie wyglądał na wściekłego. Uspokoili się, obydwie strony czuły, że poniosły porażkę. Aimée spojrzała na pocięte płótno i pomyślała, że życie jest jak malowanie obrazu. Są pewne zasady, zgodnie z którymi trzeba postępować, ale przede wszystkim trzeba dokonywać wyborów – gdzie narysować kreskę, gdzie odrobinę przyciemnić, a gdzie odrobinę rozjaśnić. I bez względu na to, czy przestrzegasz zasad, czy nie, czy twoje dzieło jest piękne, czy odrażające, w pewnym momencie trzeba się mu przyjrzeć i zaakceptować to, co się stworzyło.

Auguste upuścił nóż, który upadł z brzękiem na stół.

– Wyjdiesz za mąż – powiedział, a w jego głosie nie było słychać zuchwalstwa. – Nie masz wyboru.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Madame Savaray była świadkiem tej sceny. Siedziała właśnie w salonie, czytając ostatni rozdział *Ojca Goriot* Balzaca, gdy trzasnęły frontowe drzwi. Odłożyła książkę, podniosła się z krzesła – zwykły ruch nogą stawał się coraz bardziej kłopotliwy – i wyszła na korytarz akurat w momencie, gdy Auguste ciągnął za sobą Aimée na górę.

Nie ufała już swojemu synowi, tak jak nie ufała Colette, i nie czuła się ani trochę winna, podsłuchując pod drzwiami pracowni, zwłaszcza że była świadkiem jego skandalicznego zachowania. Zniszczenie przyzwoitego dzieła sztuki w furii było radykalnym posunięciem, którego spodziewałaby się bardziej po Colette niż po własnym synu, i miała ochotę mu to powiedzieć.

Stała na szczycie schodów, gdy Auguste trzasnął drzwiami. Zastanawiała się, czy wszystkie najgorsze cechy Colette przeszły na niego.

– Zachowujesz się dziecinnie, tak trzaskając drzwiami – powiedziała, stając przed nim. – Nie wspominając o tym, że stawiasz w stan gotowości całą służbę i dajesz im powody do plotek. A ośmielę się zauważyć, że mają ich już dość.

– Czego chcesz? – Auguste nie był w nastroju na burę od matki.

– To było okropne. – Wskazała ruchem głowy na drzwi pracowni.

– A ty czemu się zakradasz? – próbował wyminąć matkę, ale stanęła mu na drodze.

– Nie rzucałabym oskarżeń, gdybym nie miała podstaw. I nie zakradam się. Być może jestem jedyną kobietą w tym domu, która ma jeszcze ochotę z tobą rozmawiać. W twoim interesie jest zatem mnie wysłuchać.

Auguste skrzyżował ręce na piersi, niemal zgiął się wpół. Odczuwał ból w różnych częściach ciała i nie chciał się do tego przyznać. Jego matka przyglądała się mu z uporem i rozważą w oczach. Zaprzagnął ukryć twarz w dłoniach.

– O co zatem chodzi? – zapytał.

Madame Savaray dostrzegła wyczerpanie i ból na twarzy syna, i ten bezgraniczny smutek, do którego sama się przyczyniła, teraz dorosłego mężczyzny o siwiejących włosach.

– Lepiej uznać, że to koniec. – Jej głos był stanowczy, ale starała się łagodzić ton wypowiedzi. – Wszyscy cierpimy po stracie Jacques'a. Mam jednak świadomość, że nie mogłeś postąpić inaczej. Chłopiec nie był twoim synem i nikt nie oczekiwał, że będziesz temu zaprzeczał.

Auguste przyłożył rękę do czoła. Nie chciał, by ktoś przypominał mu o Jacques'u. Chciał udać się do swojego pokoju.

– A ta sprawa z Aimée. Nie mogę się z tobą zgodzić. Jej obrazy stanowią wartość dla nas wszystkich. – Madame Savaray położyła dłoń na ramieniu syna. – Mój drogi chłopcze, wydanie jej za mąż nie rozwiąże niczego. Ona nie ma duszy, która zniosłaby małżeństwo bez miłości. To ją zniszczy.

Auguste przetarł oczy i policzki ręką, podrapał się po szorstkim, zarośniętym podbródku.

– Pozowała nago dla Édouarda. Co twoim zdaniem powinienem zrobić?

Prawdę zdradziła Auguste'owi podkuchenna. Powiedziała, że z całym szacunkiem, ale powinien wiedzieć, że jej siostra miała pozować dla Édouarda, ale gdy tam przyszła, zastała pozującą nago Aimée. Podkuchenna zapewniła Auguste'a, że jej siostra się nie rozbierze, więc nie powinien się martwić, że wydarzy się coś niestosownego.

Z jakiegoś powodu madame Savaray nie była zaskoczona. Fakt, zachowanie Aimée było niedopuszczalne, ale to błąd, o którym trzeba zapomnieć. Na pewno niewart szumu, którego narobił Auguste.

– Przypuszczam, że to nie Édouard zawinił – kontynuował Auguste. – Taka jest rola kobiety w sztuce. Nie wiem, dlaczego kiedykolwiek sądziłem inaczej.

Madame Savaray pokręciła głową.

– Są również artystki, które się szanuje.

– Aimée nie jest jedną z nich. – Położył dłoń na ramieniu matki i delikatnie ją odsunął. – Podjąłem już decyzję – powiedział i powoli zszedł po schodach.

Gdy madame Savaray weszła do pracowni, zastała Aimée klęczącą na podłodze, materiał sukni utworzył wokół niej okrąg. „W tej pozycji wygląda jak dziecko”, pomyślała madame Savaray, z głębokim westchnieniem sadowiac się w fotelu. Tragiczne wydarzenia na długo zostaną im w pamięci, przez co czuła się jeszcze bardziej bezsilna.

– Twój papa tego nie zrobi – powiedziała – nie zabroni ci malować, nie może.

Aimée obracała pędzel, trzymając go kciukiem i palcem wskazującym.

– Oczywiście, że może – powiedziała. – I zabroni.

Kiedy ojciec zniszczył obraz, zdała sobie sprawę, że nie jest to pusta groźba, jak te, które wykrzykiwał do jej matki. Coś w jego głosie się zmieniło. Tej obietnicy zamierzał dotrzymać. – Chce, żebym się nudziła i nic nie robiła, jak *maman*. Pewnie sądzi, że wtedy będę go błagać, by wydał mnie za mąż.

Madame Savaray nie spodobał się ton Aimée. Jej wnuczka mogłaby okazać odrobinę pokory.

– Małżeństwo nie jest najgorszym rozwiązaniem – powiedziała. – Opuszczenie tego domu może być twoją jedyną szansą na normalne życie. Porządny mąż, nawet jeśli go nie pokochasz, może pracować poza domem. Ja nie kochałam twojego dziadka i on z całą pewnością nigdy nie kochał mnie. Nie miłością, którą mąż powinien obdarzyć żonę, ale okazywaliśmy sobie szacunek.

Włosie trzymanego przez Aimée pędzla było miękkie i wilgotne niczym psi nos.

– Nie mogę wyjść za mąż – powiedziała cienkim głosem. – Jestem w ciąży.

Madame Savaray złożyła dłonie jak do modlitwy, jej puls przyspieszył, jakby serce szybciej niż umysł pojęło, że nadchodzi kryzys. Emocje, które pozostawały w letargu od chwili utraty Jacques'a, rozbudziły się teraz z przygniatającym smutkiem.

Patrzyła na swoją wnuczkę, jej delikatne, zaokrąglone plecy i długą, białą szyję. Powinna uznać jej postępek za haniebnym, ale czuła się tylko rozpaczliwie rozczarowana. Nie ma sensu wstawiać się za tą dziewczyną. Może wcześniej istniała szansa, że Auguste zmieni zdanie, ale teraz przepadła. Tego on nigdy jej nie wybaczy.

– Wstań z podłogi – powiedziała cicho, ale stanowczo. – Usiądź porządnie i powiedz mi, jak dokładnie do tego doszło.

Aimée zwolniła uścisk i pędzel upadł na dywan. Wstała, oszołomiona i bardzo spragniona. Podeszła niepewnie do stojącego przy przeciwległej ścianie stołu i nalała sobie szklankę wody z dzbanka. Zimna i czysta woda spłynęła jej do gardła, Aimée poczuła przyjemny chłód w klatce piersiowej. Wyobraziła sobie, że przenika do jej łona i ochładza małą istotkę w jej wnętrzu, która tak nagle zmieniła jej siłę w niemoc – siłę, w której istnienie wątpiła od samego początku. Podeszła do kanapy, czując, jakby wlokła za sobą część siebie niczym nic. Może, gdyby tak szła dalej, poprułaby się i znikła.

Aimée obojętnym, bezbarwnym głosem opowiedziała swojej babci, jak odnalazła Henriego, jak malowali wspólnie akt przedstawiający Leonie. Wydawało się, że to wszystko miało miejsce dawno temu. Powiedziała jej, co się stało tego dnia, gdy niezapowiedziana udała się do jego mieszkania. Madame Savaray słuchała ze splecionymi dłońmi, zbielałymi kłykciami i wyrażającymi dezaprobatę zaciśniętymi wargami.

Dopiero gdy Aimée zaczęła opowiadać o Édouardzie, madame Savaray wstała. Nie usiadła z powrotem. Wcześniej była przekonana, że ojcem dziecka jest Henri. Trzymając się oparcia krzesła, spojrzała w podkrążone oczy Aimée, sińce pod oczami w kształcie półksiężyców. Dziewczyna zasługiwała na ostrą naganę, ale jedyne, co madame Savaray mogła z siebie wykrzesać, to: „Jeszcze do tego żonaty mężczyzna!”

Pętla na szyi Aimée coraz bardziej się zaciskała. Wcześniej nie czuła się ani trochę winna. Madame Savaray puściła oparcie krzesła, przesuając wzrok po obrazach wiszących na ścianie: szeroka, brudna rzeka, zgarbiony, stary człowiek, kamienny budynek, niebieskie niebo, chmury, woda. Nie miało teraz znaczenia, który obraz został wystawiony w Salonie Paryskim, czy Aimée dostanie nowe zlecenie, czy kupcy uregulowali płatności. Żadna z tych rzeczy nie miała teraz znaczenia.

Widok babci przygryzającej usta i wykręcającej sobie ręce z wyrazem prawdziwej paniki na twarzy wytrącił Aimée z równowagi. Zawsze sądziła, że babcia jest wyjątkowo spokojną i odporną osobą.

Podeszła do niej i ujęła ją za rękę. Była miękka i pomarszczona, żyły przebijały się przez skórę.

– Usiądź – powiedziała, gładząc palce jej wiotkiej dłoni.

– Nie, nie. Muszę się ruszyć. Jestem podenerwowana – odparła madame Savaray, uwalniając się z uścisku wnuczki. Zaczęła spacerować po pokoju.

Do tej pory Aimée obwiniała Henriego za pchnięcie jej w ramiona Édouarda, jego z kolei za porzucenie jej, a potem papę za zrujnowanie jej życia. Ale obserwując swoją babcię, tę twardą, honorową kobietę, Aimée zdała sobie sprawę, że sama jest sobie winna. Nie jest w ogóle do niej podobna; bardziej do grzesznej, pobłażającej sobie Colette.

Zatrzymawszy się przy ścianie, madame Savaray wybiegła myślami w przyszłość. „To się źle skończy”, pomyślała. „Nie ma dobrego wyjścia z tej sytuacji”. Zebrała się w sobie i odwróciła gwałtownie, podobnie robiła, gdy musiała omówić z mężem sprawy wielkiej wagi.

– Od jak dawna jesteś w takim stanie?

Aimée złapała ją za ramię, wbijając palce w napięte, sztywne mięśnie.

– Od dwóch miesięcy.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Zatem mamy jeszcze trochę czasu.

– Czasu na co?

– Aby zdecydować, co dokładnie zrobimy.

– Nie wiem, co mogłybyśmy zrobić.

– Zawsze coś można zrobić. Na pewno nikomu o tym nie powiemy.

– Nie powiemy rodzicom?

– Oczywiście, że nie. – Madame Savaray wykonała zamaszysty ruch rękoma, jakby otaczające ją powietrze jej zawadzało. – Zejdziemy do jadalni na obiad – zarządziła, jakby znalazła rozwiązanie. – Musimy koniecznie utrzymywać pozory normalności. Zasiądziemy do posiłku jak gdyby nigdy nic.

Otworzyła drzwi i ostrzegawczo spoglądała na wnuczkę, gdy ta posłusznie opuszczała pokój.

Żadna nie podejrzewała, że miną lata, zanim Aimée ponownie znajdzie się w swojej pracowni.

## Rozdział 20

Colette przestała organizować czwartkowe wieczorki. Ludzie mówili, że rodziny Savarayów i Manetów coś poróżniło, ale nieporozumienia między rodzinami zdarzały się przecież często. To nie powód, by zamykać swój dom dla gości. Uznano zatem, że prawdziwa przyczyna musi tkwić w tajemniczym zniknięciu Jacques'a. Colette notorycznie kokietowała mężczyzn. Nie byłoby zaskoczeniem, gdyby ojcem dziecka nie okazał się Auguste. Ostatecznie większość ludzi wyciągnęła taki właśnie wniosek.

Moralność rodziny podawano w wątpliwość. Znajomi Auguste'a i Colette widywali się regularnie, życie towarzyskie nie kręciło się już jednak wokół samej rodziny Savarayów, której członkowie odrzucali większość zaproszeń.

Auguste dotrzymał słowa. Nakazał służbie opróżnić pracownię Aimée. Wyniesiono farby, sztalugi, palety, noże i pędzle. Obrazy zostały sprzedane handlarzowi, chudemu mężczyźnie o surowej twarzy, który zapłacił za nie tysiąc franków. Dopiero kiedy jegomość zacisnął brudne palce na złoconej ramie, w którą oprawiony był wyjątkowo piękny pejzaż, Auguste poczuł odrobinę skruchy. To on będzie odpowiedzialny za zmarnowanie talentu córki, ale nie miał zamiaru cofnąć swojej decyzji. Ze spokojem przyglądał się, jak kupiec ładuje obrazy do powozu, a potem z nimi odjeżdża.

Aimée tego nie widziała, nie weszła też do pustej pracowni. Nie tęskniła za swoimi obrazami, ale za możliwością malowania i odgroźenia się od wszystkiego, trzymania emocji na wodzy, udawania, że Henri znajduje się tuż obok, uradowany Jacques bawi się w sypialni, Leonie czeka, by wziąć ją za rękę i pocałować w policzek, Édouard jest tylko przyjacielem rodziny, a jej brzuch jest nadal płaski i nie rośnie w nim dziecko.

Nuda wywołała niepokój, którego Aimée wcześniej nie znała. Zaczęła się obawiać własnego ciała. Nocą kładła się na plecach i naciskała palcami kości biodrowe, w okolicach których brzuch już nie był miękki i płaski, ale twardy i delikatnie zaokrąglony. Czuła, że się rozrasta, jej talia stawała się coraz szersza. Mając nadzieję, że zyska trochę na czasie, zanim wszyscy poznają prawdę, związywała gorset mocniej niż zwykle, wyobrażając sobie, że dzięki temu brzuch staje się mniejszy.

Przed końcem listopada madame Savaray obmyśliła plan. Trzeba będzie się sporo nakłamać, ale była w stanie to zrobić. Czasami kobieta musi skłamać. Z Bogiem rozmówi się później.

Pewnego popołudnia weszła do pokoju Aimée. Dziewczyna siedziała przy biurku, gapiąc się na gromadzące się chmury.

– Włóż płaszcz – poleciła madame Savaray. – Wychodzimy.

Bez zbędnych pytań Aimée opuściła pokój w ślad za babcią.

Na niebie zbierały się ciemne jak węgiel chmury. Gdy wysiadły z powozu na rue de Calais, uderzenie pioruna oświetliło budynki. Kropla deszczu spadła na chodnik tuż u stóp Aimée, potem z nieba lunął strumień przenikliwie zimnego deszczu. By nie zmoknąć, ruszyły biegiem z głowami pochylonymi w dół, woda spadała na ich kapelusze.

Gdy wchodziły po schodach do mieszkania Henriego, madame Savaray trzymała się kurczowo poręczy. Aimée na myśl o ponownym spotkaniu z Henrim coraz bardziej się denerwowała. Zanim otworzył drzwi, była już kłębkim nerwów.

Madame Savaray zabrakło tchu, by odpowiedzieć na „dzień dobry” Henriego, kiwnęła więc głową i weszła do mieszkania, pozostawiając go z Aimée.

Henri nie spuścił wzroku, powitał ją, patrząc jej prosto w oczy. Jego sekret wyszedł na jaw. Nie miał już nic do ukrycia. To była krótka wymiana spojrzeń, niepozorna dla postronnego widza, ale im przyniosła nieoczekiwaną ulgę.

Biorąc płaszcz Aimée, Henri ustąpił miejsca Leonie, która mocno ją przytuliła i pocałowała w mokry policzek, jakby nic się między nimi nie zmieniło.

– Paskudna pogoda, lepiej nie wychodzić – powiedziała, otrzepując ich przemoczone płaszcze dłonią.

Madame Savaray usiadła w fotelu, który Henri jej przysunął. Poczula się gruba, gdy próbowała się zmieścić na wąskim siedzisku.

Aimée była spięta, miała mdłości. Podeszła do kanapy i usiadła, rozglądając się za oznakami obecności Jacques’a. Wszystko wyglądało inaczej. Pojedyncze łóżko zastąpiono dwuosobowym. Czarny wypolerowany piec wręcz błyszczał na czerwono, uprzątnięto kupkę popiołu. Na półce równo stały niebieskie naczynia z motywem kwiatowym. Materiałów malarskich, które wcześniej zajmowały sporo miejsca, nigdzie nie było widać.

Na ścianie nadal wisiały obrazy. *Popołudnie z dziewczyną*, duży akt Leonie i kilkanaście innych malunków, każdy eksponujący inną część jej ciała: rękę, biust, łopatkę, łuk stopy. Henri w precyzyjny sposób rozłożył ją na części. Aimée wyobrażała sobie, że w nocy, pod jego dotykiem, Leonie staje się ponownie całością.

Zauważyła starannie posłane łóżeczko stojące w rogu, z zabawką królikiem opartą o poduszkę. Obok królika siedziała, należąca niegdyś do Aimée, zardzewiała zabawkowa małpka, trzymająca w rękach sztywny drut. Jako dziecko Aimée mogła godzinami się nią bawić. Nakręcała kluczyk na plecach małpki i obserwowała, gdy ta nagle zaczynała wspinać się po drucie, a dotarwszy do jego końca, robiła fikołka i prędko schodziła na dół. Aimée zamarzyła, by pobawić się nią jeszcze raz.

Stojąc nad piecem, Leonie nalewała kawę. Henri usiadł naprzeciwko madame Savaray, ale ustawił krzesło pod takim kątem, by nie musieć patrzeć jej prosto w twarz.

Odgłosy burzy i blask pioruna oświetlający pokój sprawiały, że sytuacja wydawała się jeszcze dziwniejsza. Nikt się nie odzywał. Tylko rozlegające się od czasu do czasu grzmoty przerywały ciszę. Leonie postawiła na stole kawę, przygotowany wcześniej talerz z serem i chlebem, i usiadła obok przyjaciółki. Chciała, by Aimée zobaczyła, że nie ma do niej pretensji. Henri powiedział jej prawdę o dorastaniu w domu Savarayów, o Jacques'u, a ona ani przez chwilę go nie obwiniała. W opinii Leonie za wszystko odpowiedzialna była Colette. Ta podła kobieta wślizgnęła się do jego łóżka w środku nocy, w ciemności. Co mógł zrobić? Leonie może dorastała w biedzie, ale otrzymała odpowiednie wychowanie. Można tylko współczuć osobie mającej taką matkę jak Colette.

Madame Savaray poruszyła się na krześle. Dół sukni był mokry, bolały ją kolana, burza irytowała i wydawało się, że nikogo nie interesuje, po co tu przyszły. To oczywiste, że ona musi wszystko załatwić.

– Zgodzili się przyjąć dziecko – powiedziała, patrząc wprost na Aimée, która nie była pewna, czy powinna czuć wdzięczność, czy oburzenie.

Kolejna błyskawica zmieniła niebo w kawałek białej płachty i pokój, w tym jednym ułamku sekundy, wyglądał naprawdę wspaniale.

Aimée poczuła, że kanapa się ugina, gdy Leonie usiadła bliżej. Twarda, praktyczna Leonie – nic z tego, co się wydarzyło, nie wyprowadziło jej z równowagi. Aimée spojrzała na Henriego, który obejmował rękami filiżankę, nie patrząc na nikogo. To upokarzające, że wiedział o jej stanie. Patrząc na jego profil, krzywiznę wąskich warg i zadarty mały nos, czuła ten sam pociąg i tęsknotę co zawsze, ale świadomość, co zrobił z jej *maman*, zmieniła te uczucia w coś niepokojącego, odrażającego.

Zrozumiała wtedy, że jej wyobrażenia na temat rodziny, miejsca w społeczeństwie oraz zasad, których nakazano jej przestrzegać, to kłamstwa. Granice były rozmyte, role niejasne, zasady łamane, a to starannie tuszowane. Nawet jej dzielna babcia – która w wyobrażeniach Aimée nigdy w życiu nie skłamała – siedziała tu, aranżując intrygę, która zaważy na całym ich życiu.

Madame Savaray podniosła filiżankę z kawą, była ciepła, ale to dawało tylko niewielkie pocieszenie. Nic dziwnego, że nikt się nie odzywał. Jak można w jednym zdaniu mówić o uldze i smutku, o dziecku, które się pojawi i zniknie, i nikt o nim nie wspomni. Odstawiła filiżankę i sięgnęła po kawałek sera, mając nadzieję, że jedzenie ukoi jej rozszalały żołądek.

– Gdzie jest Jacques? – zapytała Aimée, a to nagłe pytanie zaskoczyło wszystkich.

– Zostawiliśmy go u znajomego na całe popołudnie – powiedziała Leonie. – Pomyśleliśmy, że zdenerwuje się, jeśli zobaczy ciebie i madame Savaray. Dopiero co przestał wołać mamę.

To oburzające, że jej własne dziecko i dziecko jej matki będą dorastać obok



siebie, jak rodzeństwo. Patrząc na zaciśnięte usta babci, Aimée wiedziała, że i ona tak sądzi. Straszne, a jednak idealne rozwiązanie.

Leonie uścisnęła dłoń przyjaciółki, chcąc dodać jej otuchy. Aimée spojrzała jej w oczy. Nic nie powiedziała, ale coś ważnego zaszło między nimi – głębokie i intymne zrozumienie, chwila pełna wdzięczności i akceptacji. Nigdy tego nie powiedzą, ale w tym momencie pogodziły się z przeszłością. I później, kiedy Leonie będzie starsza, gdy będą ją zadręczać wspomnienia, powróci do tej chwili, by uświadomić sobie, że postąpiła słusznie, bez względu na to, jak bolesna była to decyzja.

– Jak to zorganizujemy? – zapytała Aimée.

– Możesz mieszkać z nami – powiedziała Leonie. – Dopóki dziecko się nie urodzi. Nie tutaj, oczywiście. Mieszkanie jest na to za małe.

– Co powiemy rodzicom?

Na to pytanie odpowiedziała madame Savaray, sięgając po kolejny kawałek sera:

– Mam przyjaciółkę w Anglii, lady Arrington. Wdowa, bez dzieci. Zapytałam w liście, czy możesz się u niej zatrzymać. Odpisała, że będzie wdzięczna za towarzystwo. Poinformowałam ją, że przybędziesz późną wiosną. Teraz wystarczy przekonać twojego papę, by wysłał cię za granicę.

– Ale ja nie wyjadę za granicę.

– Wyjedziesz po urodzeniu dziecka, więc to nie jest do końca kłamstwo.

Henri nie powiedział ani słowa. Jego uwagę całkowicie pochłaniała filiżanka z kawą.

– I tak chcemy się przeprowadzić – powiedziała Leonie. – Moja babcia zmarła i zostawiła mi trochę pieniędzy.

Madame Fiavre była jedyną rodziną, jaką miała Leonie, i wiadomość o jej śmierci wywołała w Aimée współczucie.

Leonie spojrzała na Henriego, próbując dojrzeć jego wzrok. Nie wyraził dezaprobaty, więc kontynuowała.

– Twój papa również będzie wysyłał pieniądze – dodała. – Pisał, że będzie to robić każdego miesiąca, dla Jacques'a.

– Nie chcę jego pieniędzy – odrzekł Henri. Nie zniósłby, gdyby Aimée pomyślała, że chętnie je przyjmie.

– Więc jesteś głupcem. – Madame Savaray uderzyła ręką w stół. Chciała, by Henri siadł prosto i przestał błądzić gdzieś wzrokiem. – Nie macie środków, by zapewnić chłopcu warunki, na jakie zasługuje. Może nie jest dzieckiem Auguste'a, ale ty też nim nie jesteś. Twoja duma to przejaw egoizmu. Leonie to rozsądna kobieta, z głową na karku. Masz jej słuchać. Ona wie, co dla chłopca najlepsze. Spodziewam się, że ją poślubisz, szczególnie ze względu na dzieci. Uczyni z niej uczciwą kobietę.

Henri lekko się uśmiechnął, co dla madame Savaray było przejawem bierności i zubożenia.

– Zatem? – zapytała ostro.

Kiwnął głową.

– Wszystko po kolei.

Madame Savaray się skrzywiła.

– Minie kolejny miesiąc i trudno będzie ukryć stan Aimée. Wasza trójka nie może zostać w tym mieszkaniu. Byłoby to wysoce niewłaściwe, nie wspominając już o tym, że Colette może tu nieoczekiwanie przyjść. Im szybciej opuścicie to miejsce, tym lepiej.

– Wiem, że w Thoméry jest domek do wynajęcia – powiedział Henri. – Mam zamiar tam iść jutro i go obejrzeć.

– Świetnie. – Madame Savaray wstała i wyjrzała przez okno. – Burza zelżała. Powinnyśmy jechać.

Henri przyniósł ich płaszcze. Najpierw pomógł ubrać się madame Savaray, a następnie przytrzymał płaszcz Aimée, by mogła wsunąć ręce w rękawy. Stojąc za nią, poprawił gruby materiał na ramionach. Zanim zdążyła się odsunąć, przesunął dłońmi wzdłuż jej ramion, a potem ścisnął je w niedwuznaczny sposób.

Długo po tym, gdy ona i jej babcia wyszły z mieszkania w zimne, mokre popołudnie, Aimée czuła uścisk rąk Henriego na swoich ramionach. Bez względu na to, czy jego gest wyrażał współczucie, czy ciche przeprosiny, Aimée przyjęła go, chcąc mu wybaczyć, a jednocześnie wiedząc, że nigdy nie wybaczy swojej matce.

## Rozdział 21

Kiedy wróciły wieczorem do domu, madame Savaray udała się prosto do Auguste'a. Wyraźnie zaniepokojona tłumaczyła synowi, że zanim wydadzą Aimée za mąż, trzeba nauczyć ją dyscypliny.

– Po ślubie kobieta nie zmienia nagle swojego zachowania – powiedziała, unosząc brwi. – Ale tobie akurat nie trzeba tego mówić. Aimée przyda się zmiana otoczenia – nalegała. – Proponuję wysłać ją do lady Arrington. Wiesz, jacy są Anglicy. – Ponownie uniosła brew. – Dużo bardziej powściągliwi w sprawach cielesnych od nas.

Ubrana w czarną suknię ze stójką madame Savaray stała nad synem, mając nadzieję, że sprawia wrażenie osoby stanowczej i nieprzejednanej. Musiała przecież zrealizować swój plan.

Auguste skrzyżował ręce na piersi.

– Po prostu robisz wszystko, żebym nie wydał jej za mąż.

– Tak – przyznała. – Właśnie to robię. Nie sądzę, by małżeństwo w czymkolwiek pomogło. Chyba oboje się zgodzimy, że trzeba odsunąć od niej wszelkie pokusy. Twoim wyjściem z sytuacji jest wydanie jej za mąż, moim wyjazd do Anglii. Moje rozwiązanie nie zaważy przynajmniej na całym jej życiu.

Auguste podszedł do biurka, odsunął krzesło i usiadł na nim, pokazując tym ostentacyjnie, że wraca do pracy.

– Przemyślę to – powiedział.

Madame Savaray zacisnęła usta. Bez jego zgody jej plan się nie powiedzie.

– Auguste... – zaczęła ponownie, ale przerwał jej, podnosząc dłoń.

– Powiedziałem, że to przemyślę. – Wziął do ręki pióro. – Jeśli to wszystko, mam dużo pracy.

Madame Savaray przyglądała się synowi, gdy ten bazgrolił coś na kartce papieru, odłożył ją na bok i sięgnął po kolejną. Kiedyś był racjonalnie myślącym, życzliwym człowiekiem. Z czasem stał się coraz bardziej zirytowany i zgorzkniały. Każdego da się pokonać, a on sprawiał wrażenie pokonanego. Oczy miał napuchnięte, cerę ziemistą, plecy, niegdyś szerokie i wyprostowane, teraz były przygarbione jak u zrezygnowanego, bezbronego człowieka. „Potrzebował czułości”, pomyślała madame Savaray, ale w ich relacji nigdy nie było dla niej miejsca. Nigdy.

– Muszę wkrótce poznać twoją decyzję – dodała tonem osoby, której należy się szacunek ze względu na wiek i pozycję. – Lady Arrington już wyraziła zgodę, czeka na moją odpowiedź.

– Powinnaś była najpierw skonsultować się ze mną – Auguste nie patrzył na nią. – Niech czeka.

Nie mógł jej przecież powiedzieć, że w tym momencie nie chce podejmować żadnych decyzji dotyczących córki. Żałował już tych powziętych i nie potrzebował matki z tym oskarżycielskim spojrzeniem, gdy skołowany rozważał podjęcie kolejnej.

Minęły dwa tygodnie, a Auguste nie udzielił im żadnej odpowiedzi.

Z każdym dniem w Aimée i madame Savaray rósł niepokój. Ta pierwsza nie jadła tyle, ile powinna, ta druga jadła więcej, niż było wskazane. Obydwie natomiast miały problemy ze snem.

Colette, nadal pogrążona w żalu po stracie Jacques'a, nawet nie zauważyła, co się dzieje. Rzadko spędzała z nimi czas w salonie, a ponieważ czwartkowe wieczorki już się nie odbywały, poświęcała niewiele uwagi sprawom domowym. Służbie pozostawiano wolną rękę, madame Savaray zaś od razu zauważyła, że korzystają z tego, jak mogą.

To nie był jednak czas, by martwić się służbą. Brzuch Aimée rósł. Jeszcze się nie zaokrąglił, niemniej wkrótce nie da się ukryć jej stanu. Madame Savaray martwiła się, że noszenie obcisłego gorsetu może zagrozić dziecku. Należałoby kupić porządny gorset z rozciągliwego materiału, ale wtedy wszystko wyjdzie na jaw.

W końcu zdecydowała się pójść do fabryki, do biura Auguste'a, by uzmysłowić mu, że sprawa jest poważna. Nie ośmieli się jej odesłać, nie pozostawi bez odpowiedzi.

Usiadła na twardym, drewnianym krześle naprzeciwko biurka. Od lat nie była w fabryce, a rytmiczny brzęk, który wydawały cienkie metalowe tarcze tiularki, przypomniawszy jej przyjemność, jaką wywoływał dotyk najlepszej jakości materiałów. Tęskniła za tym życiem.

– Zorganizowałam wyjazd Aimée. – Ryzykowała, ale nie miała innego wyjścia. Aimée musi wyjechać. – Dzięki nowym napędem kołowym statki pokonują dystans z Calais do Dover w mniej niż dwie godziny.

Na chwilę równowaga sił między matką a synem została zachwiana. Auguste odchylił się do tyłu z rękami splecionymi na brzuchu. Jego *maman* przybrała niewzruszoną minę, którą znał z dzieciństwa. Z takim właśnie wyrazem twarzy, głosem nieznanym sprzeciwu informowała go, jak będzie. Spojrzał w okno, na którego parapecie przysiadł gołąb. Podniósł głowę, jakby przysłuchiwał się ich rozmowie. Tak naprawdę Auguste był wdzięczny, że powzięła decyzję za niego. Wyjazd Aimée był sensownym rozwiązaniem. On po prostu nie może być tym, który tę decyzję podjął.

– Świetnie – rzekł wreszcie. – Powiedziałaś Colette?

– Oczywiście, że nie. Ty się tym zajmij.

Z uczuciem wielkiej ulgi madame Savaray wstała z krzesła i zacisnęła mocno ręce na torebce, powstrzymując się w ten sposób, by nie podejść do syna

i nie pocałować go w policzek.

Auguste obserwował uśmiechniętą matkę, której głowa lekko kołysała się w rytm pracy maszyn. Gdy był dzieckiem, wydawała mu się ogromna, a jej głęboki głos brzmiał wręcz nieludzko. Odnajdywał ukojenie w jej sile. Myślał wtedy, że jego wielka *maman* potrafi wszystko.

Usiadł prosto, zastanawiając się, czy przez wszystkie te lata nie zapomniał aby, jakim skarbem jest dla niego matka.

– Sam napiszę do lady Arrington – powiedział. – I chcę być informowany, jak miewa się Aimée.

– Oczywiście. – Madame Savaray wyciągnęła dłoń nad biurkiem. – Podaj mi pióro. Zanotuję ci adres.

Rozwiązała ten problem z pomocą Henriego. To był jego pomysł. Powiedział, że zna kobietę w Anglii, która może im pomóc.

– Jak dobrze ją znasz? – zapytała madame Savaray, a on odparł, że wystarczająco dobrze. – I dlaczego sądzisz, że będzie dla nas kłamać? – dodała ostro.

– Bo jest w tym dobra – odparł Henri i na tym sprawa się zakończyła.

Madame Savaray napisała adres na kartce papieru i przesunęła ją w stronę Auguste'a.

Aimée musiała wyjechać w piątek. Madame Savaray o to zadbała. Auguste miał być wtedy w fabryce, dokonując cotygodniowego przeglądu gotowych wyrobów. Wychodząc rano, szybkim skinieniem głowy pożegnał się z Aimée, radząc córce, by była posłuszna lady Arrington. Colette przeszkadzało, że nikt z nią nie omówił tej decyzji, ale nie na tyle, by zaprotestować, a już na pewno nie na tyle, aby wspomnieć o tym Auguste'owi. Jej córka nie różniła się od reszty kobiet, to mężczyźni decydowali o jej życiu.

W przedsionku stały już spakowane kufry, Colette wyrzała zza ramienia córki na ulicę. Zaskoczyło ją, jak trudno jej się pożegnać.

– Anglicy nigdy mnie nie interesowali – powiedziała. – W mojej opinii są zbyt sztywni. Mimo to jestem pewna, że sobie z nimi poradzisz.

Stojąca za nimi madame Savaray westchnęła głośno.

– W najgorszym wypadku przynajmniej zmienię otoczenie – powiedziała Aimée, wyglądając wydarzeń tego jasnego, chłodnego i obiecującego dnia.

– Na ponure, ale zawsze to jakaś zmiana. – Colette podeszła do córki. To nie w jej stylu, ale należy przecież uściskać dziecko, gdy wyjeżdża za granicę i nie wiadomo, kiedy wróci.

Zaskoczona Aimée nachyliła się i nieporadnie uściskała matkę. To właśnie wtedy Colette zauważyła, że jej córka odrobinę przytyła, a jej piersi stały się pełniejsze. Odsunęła się od niej. Cera Aimée była gładsza i bardziej zaróżowiona.

– Zaokrągliłaś się. – Poklepała córkę po brzuchu. Na twarzy dziewczyny

pojawił się grymas niezadowolenia. – Może wyjdiesz za jakiegoś Anglika.

– Na pewno nie – Aimée zauważyła żyłki na skroniach Colette i cienie pod oczami. Zdumiało ją, jak marnie wygląda *maman*, i przez chwilę miała ochotę zostać.

Madame Savaray wcisnęła się między nie, uścisnęła mocno wnuczkę i odwróciła ją w stronę drzwi.

– Ruszaj już.

Nim Aimée wsiadła do powozu, obejrzała się za siebie. Jej babcia i matka stały obok siebie na progu. Wspaniałe czarne włosy madame Savaray w blasku słońca przybrały ciemnogrnatowy kolor. Aimée spojrzała z wdzięcznością, na co babcia szybko skinęła głową. Dzięki wspólnej tajemnicy zrodziła się między nimi więź zaufania. Tkwiły w tym razem, tego miały świadomość. Żadna z nich nie wiedziała natomiast, że doświadczą niezwykle przykrych emocji i nieznośnego bólu, wobec którego okazały się bezsilne. Pozostanie im tylko nadzieja, że to wszystko udźwigną.

Po odjeździe powozu madame Savaray pospiesznie weszła do środka, ale Colette stała nadal na progu, obserwując zamieszanie na ulicy. Siwowłosy mężczyzna z dużym psem wyszedł na drogę, zmuszając powóz do zatrzymania się, koń zarzucił gęstą grzywę do tyłu, ogonem uderzył o zad. „Ludzie przychodzą i odchodzą, a życie toczy się dalej”, pomyślała. Krzyk poniósł się echem. Krępe kobiety pchały załadowane ostatnimi warzywami korzeniowymi wózki, których stukot rozbrzmiewał dookoła. Colette miała wrażenie, że te kobiety znoszą trudy życia z taką samą niesłabnącą siłą, z jaką pchają swoje wózki. „Wystarczy rzucić się w wir pracy”, pomyślała. Ciągnąć coś ciężkiego. Kopać ziemniaki. Przetrwać.

Odwróciła się, promienie słoneczne nie padały już na jej twarz. Weszła do domu, ale przez długi czas stała w ciemnym, chłodnym holu, wsłuchując się w ciszę. Chciałaby być znowu młoda, móc wyglądać przyszłości, wyjechać gdzieś daleko.

Zamiast udać się do swojego pokoju, weszła do salonu, w którym siedziała madame Savaray, wyglądając przez okno. Colette widziała zwiotczałe mięśnie szyi i cienką jak papier skórę podbródka. „Starość to nieszczęście”, pomyślała i siadła wyprostowana na kanapie.

– Może nas pocieszy filiżanka gęstej, ciepłej czekolady – zaproponowała teściowa.

– Tak – uśmiechnęła się Colette. – Może.

Przez chwilę patrzyły na siebie, potem odwróciły wzrok. Miały świadomość, że Aimée stanowiła bufor między nimi. Bez niej istniało ryzyko, że zbliżą się do siebie, czego niekoniecznie chciały.

Zdały sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy, bardziej oczywistej, ale istotnej. Ich życie stało się teraz przyziemne i nudne. Żadna z nich nie miała absolutnie nic

ważnego do zrobienia.

## Rozdział 22

Aimée nie wsiadła do pociągu zmierzającego na północ do Calais, gdzie miałyby przesiąść się na prom płynący przez kanał La Manche do Anglii. Wsiadła do pociągu, który dowiózł ją na stację w Fontainebleau. Dziwne, pokonać tak krótką odległość i rozpocząć całkiem nowe życie. Gdyby chociaż przemierzyła morze, zmiana wydawałaby się bardziej realna, donioślejsza.

Aimée nakazała stangretowi zawieźć kufry do domu, a sama wysiadła z powozu i resztę drogi przebyła pieszo. Przechadzała się brzegiem Sekwany, wzdłuż którego rosły potężne dęby, stojące w rzędach niczym wartownicy. Od wody wiał przejmujący wiatr, ale słońce przygrzewało, więc chłód był mniej dokuczliwy. Aimée studiowała szarozieloną barwę rzeki, białe światło słoneczne odbijające się od jej powierzchni i chłodny błękit nieba. Tu będzie przychodzić i malować każdego dnia, dopóki pogoda i jej stan na to pozwolą.

Przecięła łąkę, która utraciła już kolory lata, minęła rząd domów z suszonej cegły porośniętych grubymi pędami winorośli i wyszła na drogę, o której wspominał bagażowy na stacji.

Przeszedłszy kilka kilometrów, dotarła do kamiennego domku porośniętego winobluszczem. Kiedy zbliżała się do drzwi, ogromny czarny pies wyskoczył na drogę, ujadając jak szalony. Leonie stanęła tuż za nim, chwyciła go za fałd skóry na karku i zbesztła głębokim ostrzegawczym głosem. Potem objęła Aimée ramieniem i zaprowadziła do środka.

– To Laertes. – Pies się uspokoił i Leonie podrapała go po głowie. – Pewnego dnia po prostu przyszedł ze wsi za mną i Jakiem. Nie chciał odejść, a gdy przejeżdżający obok nas rzeźnik rzucił mu kość, ten głupi pies uznał, że my dajemy mu jeść. Od tamtej pory jest z nami. – Leonie mówiła nerwowo. – Nie wiem, dokąd poszli Henri i Jacques. Muszą być na dworze. Chodź, pokażę ci dom.

Aimée wraz z obwąchującym ją psem podążyła za Leonie do bawialni. Gospodyni wydawała się zdenerwowana, niemal przestraszona, i Aimée zdała sobie sprawę, że czuje się podobnie.

– Dom nie jest duży – przeprosiła Leonie, rozglądając się, jakby dopiero teraz się w tym zorientowała. – Ale w porównaniu z poprzednim mieszkaniem nie wymaga dużo pracy, a z górnego piętra rozciąga się widok na rzekę.

Aimée uśmiechnęła się i powiedziała Leonie, że jest piękny, bo tak w istocie było. „Skromny”, pomyślała, ale to jej nie przeszkadzało.

Dom miał jeszcze kuchnię i jadalnię, która znajdowała się naprzeciwko bawialni, i dwie sypialnie na piętrze z przylegającą do nich garderobą. Większy pokój należał do Henriego i Leonie, w rogu stało łóżko Jacques'a. Akt przedstawiający Leonie – śmiały i uwodzicielski – wisiał naprzeciwko łoża



małżeńskiego.

Mniejszy pokój z krzesłem, biurkiem, umywalką i szafą przeznaczono dla Aimée. Jej kufry już tu wniesiono. Zastanawiała się, czy zrobił to Henri, czy stangret.

Podeszła do okna, spojrzawszy wcześniej na wiszący naprzeciwko łóżka malowniczy pejzaż. Z okna rozciągał się widok na rzekę, jak wspominała Leonie, i zachwaszczony ogród, w którym rosła stara sękata śliwa, a ziemię wciąż zaściewały zgnile owoce.

Gdy znalazła się w pociągu, opuściwszy dom i rodziców, poczuła się cudownie niezależna. Co za ironia, że to przez swój grzech wreszcie mogła wyjechać. Ale teraz, kiedy dotarła do tego małego domku, nie mogła się dłużej oszukiwać. Nie jest ani trochę niezależna i nie będzie miała chwili dla siebie. Jeśli zima nie okaże się zbyt surowa, zawsze może przebywać poza domem, ale jej stan wyklucza pójście do wioski. Z pewnością nie może pokazać się w kościele. A stojąca w drzwiach kobieta nie była już jej przyjaciółką. Aimée czuła się zobowiązana wobec Leonie, która będzie wychowywać przeciw jej dziecko. Życie obydwóch zmieni się diametralnie.

– Wszystko dobrze? – zapytała Leonie, wyczuwając wahanie Aimée. Pragnęła, by poczuła się jak w domu.

Aimée kiwnęła głową, ale nie odwróciła się od okna. Dostrzegła właśnie idących ścieżką Henriego i Jacques'a. Obydwaj mieli na sobie brązowe spodnie i białe koszule, ubranie Jacques'a było pomięte i ubrudzone trawą. Chłopiec ciągnął za sobą kij po ziemi, trzymając mocno ojca za rękę. Rozmawiali z ożywieniem, obie twarze rozświetlał uśmiech.

Aimée była zaskoczona, że Jacques jest tak szczęśliwy. Wyobrażała sobie, że będzie rozłuszczony i płaczliwy. Minęło zaledwie kilka miesięcy, odkąd zabrano go z domu. Dzieci szybko akceptują zmiany.

– Słyszę Henriego – powiedziała Leonie. – Chodź, pójdziemy na dół. Jacques tak się ucieszy z twojego przyjazdu.

Zbiegła po schodach, a Aimée zatrzymała się, by przyjrzeć się sobie w lustrze. Wygładziła włosy, świadoma zmian zachodzących w jej ciele – pełniejszych piersi i okrągłej twarzy. Po raz pierwszy poczuła się niemal ładna.

Z korytarza obserwowała Leonie, gdy przytrzymała drzwi Jacques'owi. Chłopiec w podskokach wszedł do domu. Tuż za nim pojawił się Henri ze skaczącym i merdającym ogonem Laertesem. Gdy Aimée zrobiła krok do przodu, Jacques zatrzymał się na jej widok. Potem obrócił się i ukrył głowę w nogach ojca.

– Podejdz – powiedział Henri cicho. – To twoja ciocia.

Zdecydowali, że przy Jacques'u tak ją będą nazywać. Może na początku będzie zdezorientowany, ale miał zaledwie trzy lata; szybko zapomni, że kiedyś była jego siostrą.

Aimée przykucnęła.

– Jacques – powiedziała to łagodnie, jak wcześniej Henri. – Tak bardzo za tobą tęskniłam.

Chłopiec podniósł głowę, bacznie przyjrzał się Aimée i ponownie ukrył się w nogach Henriego. Leonie odciągnęła go i podniosła. Jacques owinał nogi wokół jej talii i oplótł ramionami szyję. Aimée przypomniała sobie pierwszy raz, gdy trzymała go w ten sposób, i poczuła się odrobinę zazdrosna.

– To potrwa chwilę – powiedziała Leonie, głaszcząc chłopca po blond włosach. – Dostaniesz coś do jedzenia – szepnęła małemu do ucha i udała się z nim do kuchni.

Głupotą było sądzić, że Jacques wpadnie w jej ramiona, ale odrzucenie zabolowało. Kucnęła, dopóki nie poczuła na ramieniu ręki Henriego, drugą chwycił jej dłoń i pomógł wstać.

Stał dość blisko i Aimée zauważyła, że plamka pod jego okiem już nie drży jak kiedyś. Jego twarz była spokojna, co jej wydało się osobliwe i krępujące. Krępująca była jednak przede wszystkim subtelna czułość, z jaką trzymał ją za rękę.

W kuchni rozległ się hałas, pewnie garnek upadł na podłogę. Leonie delikatnie upomniała Jacques'a, z zewnątrz dobiegało szczekanie psa.

– Henri? – zawołała Leonie, a on puścił rękę Aimée.

– Cieszę się, że przyjechałaś – powiedział.

Aimée zacisnęła dłoń na materiale spódnicy.

– Ja jeszcze nie zdecydowałam, czy jestem z tego zadowolona. – W tonie jej głosu dominowała lekkość, która nie pasowała do szybkości, z jaką biło jej serce. – Ale oczywiście, jestem wdzięczna.

Henri uśmiechnął się i zdjął płaszcz. Szczerłość Aimée nigdy nie przestawała go zaskakiwać. Taka była, gdy spotkali się po raz pierwszy, jednocześnie zabawna i do bólu szczerą.

– Jacques w końcu się do ciebie przekona – powiedział. – Leonie jest zachwycona, że będziesz z nami mieszkać. Ja natomiast, jak wiesz, nie zawsze jestem odpowiednim towarzystwem. Rzadko nawet znośnym. – Uprzejmy i nazbyt skromny wzruszył ramionami.

– Ani ja – odparła lekkim tonem Aimée.

Henri miał ochotę ją przytulić. Powiesił jednak tylko płaszcz na wieszaku przy drzwiach.

Gdy szli korytarzem, napięcie między nimi zniknęło. Wchodząc do kuchni, wyglądali jak starzy przyjaciele.

Stojącą przy piecu Leonie uradował ten widok. Uśmiechnęła się, jedną ręką mieszając cebulę na żeliwnej patelni, a drugą nalewając mleko z dzbanka. Jej jasnoróżowe policzki przypomniały Aimée czasy, gdy w domu swojej ciotki

Leonie stała przy piecu i mieszała czekoladę.

– Aimée, moja droga, pewnie umierasz z głodu – powiedziała dziewczyna. – Usiądź, proszę. Kolacja już prawie gotowa. Nigdy nie jemy w jadalni. Nie widzę powodu, żeby to wszystko tam nosić. Poza tym rozważaliśmy przerobienie tego pokoju na pracownię.

Aimée się uśmiechnęła.

– Wspaniały pomysł. Chociaż chciałabym jak najczęściej wychodzić na zewnątrz, zanim pogoda się pogorszy.

Pogładziła się po brzuchu. Instynktowny odruch, który niedawno się u niej pojawił.

– Dokładnie to samo powiedział Henri – roześmiała się Leonie i postawiła dzbanek na blacie.

Aimée zauważyła, że nawet tutaj, na tyłach domu, dzięki wpadającemu przez okno światłu jest miło i przyjemnie. Zapach cebuli podduszanej na patelni i Jacques, który tak uroczo prosił, czy może ją pomieszać, przynosiły ukojenie.

– Nie teraz – powiedziała Leonie. – Usiądź obok cioci albo rozłóż łyżki.

Trzymając sztucę mocno przy piersi, Jacques obchodził stół dookoła i kładł je w odpowiednim miejscu. Z nieukrywaną dumą położył również łyżkę obok miski Aimée. Sprawilo mu to tyle radości, że zapomniał o nieśmiałości i zakłopotaniu.

Zebrali się wokół stołu. Leonie naląła chochlą parującą jeszcze zupę, a Jacques nakazał papie zgadywać jej składniki. Henri ze stoickim spokojem wymienił ropuchy i kijanki, Leonie – ptasie szpony i kocie oczy. Jacques zanosił się co chwilę śmiechem, błagając, by nie przestawali.

Aimée była oszołomiona tym rodzinnym spokojem i intymnością. Miała ochotę śmiać się razem z nimi, wbrew powściągliwości, której nauczono ją w domu Savarayów. „Więc tak wygląda rodzina”, pomyślała... „Tylko nie moja”.

Kiedy sięgnęła po łyżkę, poczuła delikatne kopnięcie w brzuchu. Dopiero wtedy zrozumiała coś, z czym jeszcze się nie zmierzyła – że ta mała noga też nie należy do niej.

## Rozdział 23

Nigdy wcześniej Aimée nie mieszkała w tak małym domu, gdzie nie miała w ogóle prywatności, a mimo to czuła się dobrze i bezpiecznie. Panowała w nim ciepła atmosfera, o którą dbała Leonie. Jacques'a wszędzie było pełno, każdy kąt tego domostwa wypełniał śmiech.

Przez chwilę Aimée miała wrażenie, że dzieli słodycz ich intymności.

Zaczęła znowu malować. Czasem chodziła w tym celu nad rzekę, czasem w pobliże domów z suszonej cegły, ale przede wszystkim malowała w jadalni przekształconej przez Henriego w pracownię. Teraz bardziej niż kiedykolwiek dostrzegała w swoich pracach wpływ Édouarda. Dzięki temu myślała o nim z mniejszym rozgoryczeniem, gdy przypominała sobie skutki fatalnego popołudnia. Zastanawiała się, czy Manet kiedykolwiek się dowie o dziecku. Ona nigdy mu nie powie.

Próbowała namalować Jacques'a, ale ciągle się wiercił, nie umiał usiedzieć w miejscu przez dłuższy czas, więc dała za wygraną. Nadal lubiła malować Leonie i odkryła, że obrazy są jeszcze lepsze, gdy maluje ją w domowych pieleszach. Uchwyciła dziewczynę, gdy pochylała się nad piecem, gdy formowała bochenki chleba i wylegiwała się na kanapie, z Laertesem u swych stóp, gdy jej jasne oczy mieniły się w blasku ognia.

Henri również malował, ale głównie pejzaże, a gdy musieli siedzieć w domu – martwą naturę. Z układami panującymi w domu radził sobie równie kiepsko, co z kobietami. To wszystko mąciło mu w głowie, ta wszechobecna wesołość, mieszkanie z Aimée, Leonie w jego łóżku każdej nocy. I przyjaźń między tymi dwoma kobietami, spojrzenia, wybuchy śmiechu, trajkotanie, czuł się jednocześnie włączony do tego wszystkiego, jak i wyłączony.

Czego nie był w pełni świadomy, albo czego nie był jeszcze gotów przyznać, to że sytuacja stawała się dla niego groźna. Troszczył się głęboko o Leonie. Nie chciał jej skrzywdzić, ale malowanie w towarzystwie Aimée, spotkania o poranku, słuchanie odgłosów dochodzących w nocy z jej pokoju, sprawiały, że ich relacja stawała się coraz bardziej zażyła. Gdy Aimée spoglądała na niego swoimi podejrzliwymi szaroniebieskimi oczami, robiąc śmiało uwagi czy uśmiechając się bezwiednie po opowiedzianym dowcipie, powracały uczucia, które Henri odsuwał już od siebie wielokrotnie. Kiedy byli dziećmi, ich bliskość wydawała się naturalna. Kiedy był nastolatkiem, wprawiała go w zakłopotanie, ale i pokrzepiała w sposób, który często wywoływał wstyd. Kochał Aimée, ale nie wiązał z nią przyszłości. To byłoby niemożliwe. Utknęli tu jednak razem, ich losy zostały związane ze sobą na zawsze. Nie wyobrażał sobie swojego życia bez niej.

W męczące zimowe dni życie w domu stawało się coraz trudniejsze.

Atmosfera uległa zmianie, napięcie subtelnie wkraadało się w codzienność.

Niemalym utrapieniem była kąpiel. Balię trzeba było przynosić do kuchni, wodę podgrzewać, wylewać i znowu podgrzewać. No i oczywiście trzeba było rozbierać się tuż za kuchennymi drzwiami. Ponadto w wychodku, znajdującym się na zewnątrz, było przeraźliwie zimno. Aimée musiała w nocy wstawać co najmniej dwa razy, a skrzypienie schodów zazwyczaj budziło wszystkich domowników.

Do tego dochodziły cotygodniowe listy do papy, w których opisywała zmyślane historie o tym, jak spędza czas za granicą. Korespondencja ta była wysyłana do przyjaciółki Henriego mieszkającej w Londynie, ona zaś przesyłała je z powrotem do Paryża. Zmuszona do ciągłego kłamania Aimée czuła się przytłoczona. Niewiele wiedziała o stolicy Anglii, a opisy musiały być na tyle szczegółowe, by uwiarygodnić historie. Ich pisanie stawało się trudniejsze również dlatego, że z powodu ciąży czuła się coraz bardziej wyczerpana. Bolały ją nogi i plecy, a stopy miała tak opuchnięte, że nie mogła nosić kapci. Żołądek podchodził jej do gardła i wszystko, co zjadła, paliło w przełyku.

Leonie starała się pomagać, ale jednocześnie rosła jej nieufność wobec tego, co się działo wokół niej, a zwłaszcza wobec Henriego. Nie zabiegał o nią w nocy, unikał jej pocałunków o poranku, a kiedy trzymała go za rękę, jego palce zwisały bezwładnie niczym szmata. Pewnego razu, przy śniadaniu, dla żartu usiadła na jego kolanach, ale szybko ją odepchnął i wstał pod byle pretekstem. Leonie wiedziała, że Henri potrafi być kapryśny – uznała, że to minie. Nie ma potrzeby, by nastrój mężczyzny wpływał na nią negatywnie, zwłaszcza że niedługo pojawi się dziecko, o czym wszyscy bali się mówić.

Leonie nie była przekonana, czy chce wychowywać cudze dziecko, ale oddawała się Henriemu na tyle często, by podejrzewać, że to może być jej jedyna szansa na zostanie matką. Ani ona, ani Aimée nie poruszały tego tematu, nawet na osobności, i to nie dawało jej spokoju. Leonie uważała, że nie powinno się ignorować tej sprawy, o wiele lepiej byłoby się z tym zmierzyć.

Aimée nie była jednak w stanie stawić czoła czemukolwiek. Jej samopoczucie się zmieniło. Sytuacja stała się zawiła i pogmatwana. Od samego początku starała się unikać widoku całujących się Henriego i Leonie, nie zauważać, gdy trzymali się za ręce lub wymieniali żarliwe, jednoznaczne spojrzenia. Nie mogła ignorować jednak jęków dochodzących z ich sypialni nocą, a później przyciszonych odgłosów kłótni.

Sytuacja była nieznośnie skomplikowana również dlatego, że ona i Henri także wymieniali między sobą spojrzenia. Aimée udawała obojętną, w duszy była jednak wściekła z powodu rodzących się w niej uczuć. Zaczęła wyładowywać swoją frustrację na Henrim, udając, że uderza go pędzlem i sycząc na niego, by przestał ją rozpraszać.

– Nic nie zdoła cię rozproszyć – powiedział kiedyś. – Nawet ja nie

zdołałbym tego zrobić. – Gdy stali w pracowni, otoczeni chłodnym światłem, Henri przypomniał jej chwilę, gdy zmusił go do ściągnięcia koszuli. – Nawet moja naga klatka piersiowa nie zdołała rozproszyć twojej uwagi – dodał ze śmiechem.

Tego było zbyt wiele. Aimée odłożyła pędzel, powiedziała, że nie czuje się dobrze, i udała do swojego pokoju.

Po tym wydarzeniu próbowała tłumić niewypowiedziane emocje i przestawała malować w momencie, gdy brakowało jej tchu. Kładła się w łóżku, na boku, uwięziona we własnym wielkim ciele, starając się myśleć o przyszłości. Ale tu, z dala od świata, w tym domku narodziny dziecka i wyjazd do Anglii wydawały się takie odległe. Tak naprawdę myślała tylko o Henrim i o tym, że w bardzo krótkim czasie znów zostaną rozdzieleni.

## Rozdział 24

Wraz z kwietniem przyszedł pierwszy ciepły dzień. Aimée i Henri wzięli farby i przenośne sztalugi i udali się nad rzekę, zostawiając Leonie i Jacques'a samych, tarzających się po ziemi w ogrodzie. Laertes poszedł z nimi. Ułożył się na ogrzanej słońcem trawie z głową między łapami. Tej zimy śnieg padał obficie, wezbrana rzeka płynęła wartkim nurtem. Jej szum pobudzał zmysły, podobnie jak zapach rozmrożonej promieniami słońca ziemi.

Henri zdecydował się uwiecznić na płótnie wezbraną, mieniącą się w słońcu rzekę, niski brzeg i błotniste pola. Aimée natomiast malowała stojącego przy sztaludze Henriego i znajdującą się po jego lewej stronie dużą topolę, której delikatne ciemnozielone pączki były jeszcze zamknięte.

Podczas pobytu tutaj jej styl się zmienił. Malowała z lekkością, zapałem i ożywieniem. Znowu się tym ekscytowała. Znalazła harmonię kolorów, kreśliła grube linie, autentyczne dzięki swoim nieregularnościom.

Lubiła malować Henriego. Mogła go obserwować bez konieczności odwracania wzroku. Uchwyciła zimny ton jego skóry, oczy odbijające mieniącą się wodę, długą szyję i wąskie, lekko przygarbione plecy.

– Pamiętasz, gdy moi rodzice zabrali nas do Samois-sur-Seine? – spytała, przerywając ciszę, w której malowali dobre kilka godzin.

Henri uśmiechnął się.

– Ukradliśmy łódź.

– Nie chciałeś tego zrobić.

Wyjrzał ponad sztalugę.

– Ciebie nic nie mogło powstrzymać.

– Nie – uśmiechnęła się. – Nie mogło.

Wrócili do malowania, oboje myśląc o tamtym dniu, pełnym zabawy i swobody. Biegli roześmiani wąwozem, otoczeni wysokimi sosnami, nieraz się potykając, skacząc z kamienia na kamień. Aimée pierwsza dostrzegła łódź i wskoczyła do niej pomimo protestów Henriego. Podążył za nią, w duchu podziwiając jej odwagę. Rzucili cumę, odepchnęli się wiosłami od błotnistej dna i położyli w łodzi, obok siebie, patrząc na prawie bezchmurne niebo.

– Wiesz – powiedziała Aimée, patrząc na paletę i zanurzając pędzel w farbie – zaczęłam malować tylko dlatego, że ty to robiłeś.

– Nie wierzę ci. – Henri musnął płótno pędzlem, który wcześniej zamoczył w zielonej farbie. – Ty zawsze zaciągałaś mnie do pracowni, chociaż ja wolałem przebywać poza domem i szwendać się godzinami. Nigdy nie nauczyłem się dyscypliny, gdyby nie ty. Zawsze byłaś zdeterminowana i przekonana, że wiesz wszystko.

Aimée w skupieniu malowała jego brew.

– Nie wiedziałam nic. Po prostu robiłam to, by spędzać z tobą czas.

– Ale malowałaś dalej?

– Po tym, jak odszedłeś?

– Tak.

Henri oderwał się na chwilę od malowania, Aimée spojrzała na niego, w jego niesamowicie błękitne oczy.

– Byłam w tym dobra, a chciałam być w czymś dobra. – Spojrzała z powrotem na płótno. Nie namalowała jeszcze źrenic oczu Henriego, ale teraz nie chciała tego robić. Ten błękit wywoływał w niej ból. – Malowałam, bo nie miałam nic innego – dodała cicho.

Okoliczności przyrody: rwąca rzeka i przygrzewające słońce sprawiły, że Henri poczuł się wolny. Chciał kochać się z nią, tu na trawie. Chciał jej pokazać, że istnieje o wiele więcej.

– Zastanawiałem się, czy ktoś cię zapytał, czy chcesz oddać dziecko – powiedział.

Aimée poczuła przeszywający jej kończyny dreszcz. Czułość w głosie Henriego, jego troska niczego nie zmienia.

– Nie ma znaczenia, czego chcę – odparła.

Henri odstawił paletę i podszedł do niej.

– Nie chcę, byś podjęła decyzję, której będziesz żałować. – Wyciągnął pędzel z jej dłoni.

Głos uwiązał jej w gardle, poklepała się po wydatnym brzuchu.

– Trochę na to za późno.

Henri wziął ją za rękę, a ona zastanawiała się, czy mógłby jej dotknąć tak, jak zrobił to kiedyś Édouard.

– Mogłabyś zostać z nami – powiedział.

– To śmieszne. – Aimée wyrwała rękę, wściekła na Henriego równie mocno jak wtedy, gdy ujrzała *Popołudnie z dziewczyną* w Salonie Paryskim. Nie miał prawa wciągać jej do swojego życia, kiedy mu to odpowiada. – To niemożliwe. Wyszłoby na jaw, że nie przebywam w Anglii. A gdyby papa się dowiedział, nie wysłałby więcej pieniędzy. Co byśmy wtedy zrobili?

– Coś byśmy wymyślili. – Podszedł bliżej.

– To nie ma sensu.

– Nie musi mieć.

– Musi! – Gwałtownie podniosła głos. – To wszystko nie ma sensu. Poza tym nie możemy mieszkać wszyscy razem.

– Poradzimy sobie.

Brzuch Aimée bardzo jej ciążył. Przycisnęła rękę do ogromnej wypukłości, która miażdżyła ją od wewnątrz.



– Chodzi o ciebie, Henri. Nie mogę mieszkać z tobą pod jednym dachem.

– Ach. – Spuścił wzrok, jego włosy opadały lekko do przodu. – Rozumiem.

Ale nie rozumiał. Aimée przypomniała sobie ich pocałunek w korytarzu wiele lat temu. Była wtedy taka podekscytowana, niewinna i zdecydowana.

– Jestem w tobie zakochana. – Powiedziała to głośno i pewnie, i od razu poczuła się zła na siebie. – Zawsze byłam. Bez względu na to, co robisz, nie przestanę cię kochać. Jak mogłabym tu mieszkać?

Nie planowała wyznawać mu miłości w ten sposób, krzykiem, ale to nie miało już znaczenia. To nie była romantyczna, sentymentalna miłość, tylko niszczące i nikomu niepotrzebne uczucie.

Henri pochylił się i ujął jej twarz w dłonie, ale Aimée się odsunęła. Czują palący wstyd, łzy napłynęły jej do oczu.

– Proszę cię, zanieś moje farby i sztalugi do domu – powiedziała i gwizdnęła na Laertesę.

– Aimée? – Henri położył rękę na jej ramieniu, ale ona gwałtownie się odsunęła.

– Nie dotykaj mnie – powiedziała, podnosząc w desperacji głos, co rozwścieczyło ją jeszcze bardziej.

Odeszła pospiesznie, Laertes podążył za nią. Henri prawie ją pocałował, przez co jej serce szybciej zabiło. Kiedy znalazł się poza zasięgiem jej wzroku, zatrzymała się pod ogromnym dębem i przytrzymując się go, osunęła się na chłodną, wilgotną trawę. Nie nosiła gorsetu od miesięcy, więc jej piersi, ciężkie i duże, spoczywały na twardym brzuchu. Laertes położył się obok niej i wsunął głowę pod jej rękę, skomląc cicho.

Świadomość, jak bardzo pragnęła tego pocałunku, wywoływała ból, ale to nie miało sensu. To, co chciał zrobić, niezaprzeczalnie świadczyło o jego charakterze. Próbowwała zapomnieć o jego odpychającym postępcu, o tym, że spędził noc z jej matką. Chciała wierzyć, że w głębi duszy jest człowiekiem honoru. Ale nie był. Tak naprawdę Henri brał to, na co w danej chwili miał ochotę.

Aimée przypomniała sobie pierwszy dzień pobytu tutaj, kiedy Leonie wręczyła jej w kuchni fartuch.

– Dobrze, żebyś czuła się użyteczna – powiedziała uprzejmie i bez ogródek, jak zawsze.

Nauczyła ją wyrabiać chleb, ugniatać dłońmi miękkie ciasto tak długo, aż stanie się sprężyste.

Aimée spojrzała w górę, na jasnozielone liście dębu, przez które przebijało się światło, wywołując mroczki przed oczami. Pamiętała swoje zadowolenie, gdy domownicy jedli chleb upieczony przez nią. Pieczenie bochenka chleba było najbardziej użytecznym zajęciem w jej życiu.

Po drugiej stronie wzgórza Henri przykucnął nad brzegiem rzeki i ciskał

kamienie do wody. Myślał o Anglii, o tym, gdy jako dziecko poszedł popływać w czasie sztormu. Zdumiało go, że deszcz i wiatr nagle zniknęły, gdy zanurzył się pod wodę. Cały świat stał się spokojny i cichy. Chciałby poczuć ten spokój teraz, choć wiedział, że po wyjściu z wody byłby mokry i przemarznięty, i nic by się nie zmieniło. Rzucił ostatni raz kamień do wody, wziął farby i sztalugi i ruszył z powrotem do domku, próbując stłumić lęk przed spotkaniem z Aimée i Leonie.

W tym czasie siedząca na trawie Aimée poczuła nacisk na żebra, a następnie trzepotanie w brzuchu. To był ruch rączki – wiedziała to od razu – maleńkie palce sprawdzały jej wytrzymałość.

## Rozdział 25

Dom wypełniły przeraźliwe krzyki. Jacques nie przestawał płakać, a Laertes, którego wyrzucono na dwór, usiadł na progu i wył. Akuszerka przyszła i wyszła. Miała inne porody do odebrania. I jak to ujęła: „Nie jestem od wycierania czoła. Przyjdę, kiedy będę potrzebna”.

Ale nie było jej, kiedy była potrzebna.

Jacques, głodny i opuszczony, spał na łóżku, zwinięty obok Laertes, którego w końcu wpuszczono do środka. Leonie wysłała Henriego do kuchni. Gotował wodę, podgrzewał ręczniki, i tak bez ustanku. Czuł się bezużyteczny i wyczerpany, nalał więc sobie kieliszek brandy i miał właśnie spocząć, gdy usłyszał wołanie o pomoc Leonie.

Widok był straszny. Aimée leżała na łóżku z szeroko rozłożonymi nogami, niczym niezastonięta. Całe łóżko było we krwi, a na pokrytych śluzem prześcieradłach leżało nowo narodzone dziecko. Leonie nadal trzymała Aimée za rękę, krzycząc głośno i rozpaczliwie:

– Oddycha? Henri, czy dziecko oddycha? Nie wydało z siebie żadnego odgłosu!

Henri poderwał dziecko, jakby wyciągał je z ognia. Było nieruchome i bez życia, pępowina jak pełzający wąż ciągnęła się od fioletowego brzuszka do rozpostartych nóg Aimée.

– Weź narzutę. Ogrzej je. – Leonie nie puściła dłoni przyjaciółki.

Henri nie mógł się ruszyć. Patrzył na Aimée ze ściśniętym sercem. Głowa dziewczyny opadła na bok pod nienaturalnym kątem. Oczy miała zamknięte, twarz była przeraźliwie blada.

A potem śliska, ledwo przypominająca człowieka istota, którą trzymał w rękach, bardzo nieznacznie się poruszyła.

– Nie zasypiaj. – Leonie potrząsnęła Aimée, która otworzyła oczy, dzikim wzrokiem rozejrzała się po pokoju i zamknęła je ponownie. Rozluźniła uścisk, więc Leonie sięgnęła po dziecko, zawinęła mu nóżki i przytuliła do piersi. Gdy wydało z siebie przeraźliwy krzyk, Leonie wybuchła płaczem.

– Och, chwała Bogu – szepnęła. – Podaj mi pled. Leży na komodzie.

Henri znalazł bawełnianą, ozdobioną motywami kwiatowymi narzutę, którą Leonie uszyła i skrupulatnie wypełniła bawełnianą ociepliną. Obok leżały czapeczka do chrztu i butki do kompletu. Żwawo i z czułością, jakby robiła to już wielokrotnie, owinęła dziecko i położyła w jedynej suchej części łóżka.

– Podaj mi nożyczki. – Ręce się jej trzęsły, gdy związywała pępowinę kawałkiem sznurka.

– Trzymaj. – Henri wręczył jej narzędzie.

– Idź po pomoc. Szybko. – Nie było już słychać rozpaczki w jej głosie, ale stanowczość i zdecydowanie.

Henri przyglądał się Aimée.

– Co się z nią dzieje?

– Nie wiem. – Leonie przecięła pępowinę. – Sprawdź jej puls.

Henri przytknął palce do wewnętrznej strony ciepłego nadgarstka Aimée.

– Niczego nie wyczuwam! – zawołał, odsuwając rękę. – Dlaczego nie otwiera oczu? Gdzie jest akuszerka? Zanim wrócę z miasta, minie godzina. To za długo! – Chodził w kółko, od łóżka do drzwi.

Łzy płynęły po twarzy Leonie. Otarła je rękawem i podniosła dziecko. Trzymała je jedną ręką, drugą przycisnęła wilgotną szmatkę do czoła Aimée.

– Weź lampę i idź. To jedyne, co możemy zrobić.

W połowie drogi do drzwi Henri obrócił się i spojrzał na Leonie, która tuląc dziecko, kołysała się w przód i tył, jednocześnie wycierając dłonią pot i łzy z bladych, martwych policzków Aimée. W tym momencie poczuł szacunek dla Leonie, silniejszy niż jakiegokolwiek inne uczucia, które do niej żywił. Zadziwiła go jej przyzwoitość, troska o Aimée, o to dziecko, o Jacques'a i o niego, zważywszy, jak niewiele dawał w zamian.

Opuścił pospiesznie pokój, zszedł po schodach i wybiegł z domu. Niebo rozświetlały gwiazdy i księżyc w nowiu, gdy biegł wzdłuż drogi, bez tchu, czując mocne bicie serca i strużkę potu na czole.

Biegł coraz szybciej, ubita ziemia pod jego stopami wydawała głuchy odgłos, a powietrze drażniło płuca. Wtedy właśnie przyrzekł sobie, że jeśli Aimée przeżyje, jeśli dziecko przeżyje, on pojedzie do Anglii. Nie chciał tego, ale nie dawały mu spokoju słowa Auguste'a: „Człowiek musi wiedzieć, kim jest. Inaczej nie znajdzie swego miejsca w świecie”. Jeśli ma zaopiekować się swoją rodziną, musi stawić czoło przeszłości, ojcu, odważyć się wejść do domu, w którym niegdyś mieszkał. Musi się dowiedzieć, co się stało z jego matką, odzyskać swoje prawowite nazwisko, by mogli je nosić Jacques, Leonie i nowo narodzone dziecko. Nagle zdał sobie sprawę, że w całym zamieszaniu nie dowiedział się, czy to chłopiec, czy dziewczynka.

Akuszerka była już w drodze, ciemna, mroczna postać szła pospiesznie poboczem. Krzyknęła, gdy zobaczyła biegnącego w jej stronę Henriego.

– Dziecko... już jest – wysapał. – Z Aimée niedobrze.

Akuszerka wepchnęła mu swoją torbę, zakasała spódnicę i pognęła tak szybko, na ile ciemność i wyboje jej pozwoliły.

Pognęła na górę po schodach, Henri tuż za nią. Jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że nie ma czasu wzywać lekarza.

Akuszerka nie była potężna, ale smukła i niezwykle urodziwa. Henri inaczej sobie wyobrażał kobiety tej profesji. Zręcznie wyjęła potrzebne rzeczy z torby,

przytknęła sole trzeźwiące do nosa położnicy, a gdy to nie pomogło, czysty ocet.

Wreszcie Aimée odzyskała przytomność. Akuszerka nakazała jej przeć, a Henriemu rzuciła wymowne spojrzenie.

– To nie jest miejsce dla mężczyzny. Niech pan stąd idzie i zrobi coś pożytecznego. W słoiku na blacie znajduje się suszony rumianek i wiązówka błotna. Proszę je zalać wrzątkiem, niech się parzą pięć minut, a następnie proszę je odcedzić i przynieść tutaj. – Spojrzała na trzymającą dziecko Leonie, która pochylała się nad Aimée. – Przyrządziłaś zupę z pokrzywy? – zapytała, i Leonie przytaknęła. Akuszerka odwróciła się do Henriego. – Niech ją pan podgrzeje.

W kuchni Henri zalał zioła wrzącą wodą i wyszedł na zewnątrz, gdy te się zaparzały. Było na tyle ciemno, że nie widział nawet własnej ręki, gdy zbliżył ją do twarzy. Schylił się i dotknął fiołków, które rosły w skupiskach wokół domu, a potem chwycił za miękkie łodygi i zerwał. W domu włożył delikatne, niebieskie kwiaty do szklanego słoja i ustawił je na tacy. Przelał zupę do miski, następnie ziołową herbatę do filiżanki – rozniósł się słodki i mocny zapach rumianku – i postawił je na tacy razem z kwiatami. Zostawił tacę na podłodze przed drzwiami sypialni z nadzieją, że Leonie domyśli się, że fiołki są zarówno dla niej, jak Aimée i że zrozumie.

Opierając się plecami o ścianę, osunął się na podłogę, usiadł i czekał. Z sypialni dochodził przenikliwy płacz niemowlęcia, gwałtowne szepty i szelest pościeli.

Minęła godzina, a taca nadal stała w tym samym miejscu. Zupa i herbata wystygły, ale kwiaty nie zwiędły, jakby czegoś wyczekiwały. Henri wstał, cisza go denerwowała. Chodził tam i z powrotem, aż poczuł się senny, udał się do swojego pokoju, wszedł do łóżka obok Jacques'a i Laertesa i zamknął oczy.

Aimée rodziła łożysko przez dwadzieścia długich minut. Potem od razu straciła przytomność, a krew płynęła nieprzerwanie pomiędzy jej nóg.

Henriego obudził skaczący po łóżku Jacques i Laertes próbujący ściągnąć koc na podłogę.

Czuł się słabo, żołądek miał ściśnięty ze strachu. Może to dlatego, że nic nie jadł, a może dlatego, że Aimée leżała martwa w sąsiednim pokoju. Zakrył ręką twarz, chroniąc się przed światłem słonecznym, ale Jacques'a i Laertesa nie dało się zignorować. Usiadł więc, pozwolił chłopcu chwycić się za rękę i wyciągnąć z pokoju. Laertes dał susa, zatrzymał się dopiero na korytarzu, gdzie obwąchał nietkniętą tacę.

Gdy Henri nakarmił psa i dał jeść synowi, wrócił na górę i podniósł tacę. Nie obchodzi go, co te kobiety robią. Wchodzi.

Aimée leżała na plecach, gładka biała szyja była nieosłonięta, zamknięte powieki pokryte wyraźnymi niebieskimi żyłkami. Zakrwawione prześcieradło zastąpiono już czystym.

– Akuszerka wyszła kilka godzin temu – powiedziała Leonie, zabierając tacę od Henriego i rzucając przelotne spojrzenie na kwiaty. Najbardziej wstrząsnął nim widok opartego o poduszkę dziecka ssącego nabrzmiałą pierś Aimée.

Leonie postawiła tacę. Mimo że Henri nie spuszczał oka z Aimée, nie przykryła jej. Po tym, co widział wczoraj, nie miało to już sensu.

Poza tym czuł niepokój nie z powodu obnażonej piersi, ale zamkniętych oczu Aimée – jej ciało bez życia, nienaturalnie blada twarz, wyglądała dokładnie tak samo jak wczoraj. Zerknął na Leonie z przerażeniem, a ona spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Martwa kobieta nie mogłaby karmić piersią – powiedziała, podkładając poduszkę pod główkę noworodka. – Akuszerka powiedziała, że to dobrze robi Aimée. Gdy jej ciało poczuje, że jest potrzebne, powinna odzyskać przytomność. A dziecko musi jeść.

Tym sposobem z pomocą Leonie, która trzymała niemowlę przy piersi Aimée, dziecko było karmione co dwie godziny. Aimée z czasem odzyskała przytomność, choć nadal była otumaniona i miała wrażenie, że znajduje się pod wodą. Czasami budziła się, słysząc rozdzierający płacz. Myślała, że to kot. Innym razem czuła przy brzuchu dziecko, jego miękką, pomarszczoną skórę i że coś ciągnie ją za sutki. Kiedy indziej docierało do niej, że ktoś przykrywa ją narzutą albo karmi ciepłym rosołem. Usłyszała przyciszone głosy, kroki, poczuła rękę na czole, wilgotną szmatkę na ustach.

W ciągu dwóch tygodni w pełni odzyskała przytomność, w tym czasie jednak dziecko zniknęło. To właśnie ten brak, pustka pod sercem i bolesny obrzęk piersi sprawiły, że pewnego ranka zaniepokojona Aimée usiadła na łóżku, nie do końca świadoma tego, co zaszło, nie znając przyczyny swojego niepokoj.

Madame Savaray, która nie ruszyła się z krzesła od prawie trzech godzin, zerwała się na nogi na tyle szybko, na ile pozwalało jej starzejące się ciało.

– Spokojnie – powiedziała, podkładając wnuczce poduszkę pod głowę.

– Co się stało? – Aimée przypomniała sobie intensywny i ostry ból, jakby przejechał po niej pociąg, a jednak czuła się zupełnie oderwana od tego, co się wydarzyło, jakby to nie ona była tą krzyczącą, wijącą się kobietą, a jedynie przyglądała się jej z bezpiecznej odległości.

Materac się ugiął, gdy madame Savaray usiadła na brzegu.

– Urodziłaś dziecko – powiedziała. – Prawie straciłaś przy tym życie.

Aimée opuściły siły, których niedawno nabrała. Z trudem trzymała głowę podniesioną.

– Nie wiem wszystkiego. Jestem tu dopiero od kilku dni. – Madame Savaray odsunęła kosmyk wilgotnych włosów z policzka Aimée i schowała go za ucho. – Dobrze, że nie przeniosłaś się na tamten świat, moja droga. Rodzice nigdy by mi tego nie wybaczyli. – Posłała jej szybki, czuły uśmiech. – Wiedziałam, że

wyzdrowiejesz. Powiedziałam Henriemu, że jesteś drobna i krucha, ale twarda. – Przyłożyła palec do piersi Aimée i lekko postukała. – W środku jesteś silniejsza niż większość z nas. Zirykowało mnie, że nie wezwano lekarza. Ta niekompetentna akuszerka stwierdziła, że coś pękło. C o ś? To niedorzeczne. A potem pozostawiła cię pod opieką Leonie, która, muszę przyznać, dobrze się spisała, biorąc pod uwagę okoliczności, a przecież nie ma do tego przygotowania. Wiesz, że tylko ona była przy tobie, gdy dziecko się rodziło?

Ku zmartwieniu madame Savaray Aimée wydawała się być nieobecna, oszołomiona. Otuliła nogi swojej wnuczki kołdrą, naciągnęła narzutę po kolana.

– Gdzie jest moje dziecko? – zapytała Aimée, mleko wyciekało z jej sutków, mocząc przód nocnej koszuli. Jedyne, co wyraźnie pamiętała, to uczucie mrowienia, ssania i ciągnięcia, mleko płynące z jej gruzelkowatych, twardych i nabrzmiątych piersi.

– Z mamką. – Madame Savaray podniosła szklanę z wodą. – Napij się.

Aimée wzięła łyk i oddała szklanę.

– To dziewczynka? – Aimée zamknęła oczy.

– Tak.

– Jak ma na imię?

– Jeanne. – Madame Savaray odstawiła gwałtownie szklanę. – Otwórz oczy – nakazała, Aimée zaś wykonała jej polecenie. – Teraz, moja droga, nie myśl o dziecku. – Ujęła podbródek wnuczki, opuszki jej palców były miękkie i pomarszczone, jakby je długo moczyła w wodzie. – Nie powinnaś była karmić jej piersią. Wątpię, że to trzymało cię przy życiu, choć Leonie tak twierdzi. – Madame Savaray wstała i podeszła do okna. – Duszno tu jak w stodole – powiedziała, otwierając je.

Aimée odrzuciła głowę do tyłu i zamknęła oczy.

Lekko mżyło, a zapach wiosennego deszczu i obornika przypomniawszy madame Savaray jej dzieciństwo.

– Twój papa niczego nie podejrzewa. Pisałaś bardzo przekonujące listy. Myślę, że wyjechałam na tydzień i przebywam w gospodzie w Valvins. Powiedziałam, że potrzebuję trochę wiejskiego powietrza. Ale nie dbają o to, co robię. Auguste rzadko bywa w domu. Spędza większość czasu w fabryce albo przesiaduje w kawiarniach. Twoja *maman* rzadko opuszcza swój pokój.

Aimée pamiętała, jak mama leżała w łóżku przez kilka tygodni po śmierci swoich dzieci. Rozumiała teraz ten rodzaj nieznośnego bólu. To właśnie on ją wypełniał, jej macicę, piersi, biegł między nogami, przez brzuch i wybuchał w okolicy serca.

– Twojej *maman* nie interesują już błahostki, moda. – Madame Savaray zrzuciła małego, czarnego pajaka z parapetu. – I powiem ci, że tęsknię za dawną Colette. Wszystko jest tak żałośnie nudne. Rzadko wychodzi. Mało kogo odwiedza.

Cały dzień haftuje. Powinnaś zobaczyć, ile mamy poszewek na poduszki. Próbowałam ją zniechęcić do tego, nawet zasugerowałam, żeby zorganizowała jeden ze swoich wieczorków, a gardzę przecież takimi spotkaniami. Ale ona nie chce mnie słuchać. Nigdy nie czułyśmy się dobrze we własnym towarzystwie i obawiam się, że to się nie zmieni.

Trudno było wyjaśnić to dziwne, wzajemne zrozumienie, które zrodziło się między nią a Colette. Bez Jacques'a lub Aimée, bez wieczorów lub zobowiązań towarzyskich każdy dzień był walką z nudą, która zżerała obydwie kobiety.

Colette wyznała, że teraz rozumie, dlaczego madame Savaray myślała kuchenną podłogę lata temu, podczas wojny. Z kolei madame Savaray pojęła, ale wciąż nie wypowiedziała tego głośno, jaką przyjemność czerpała Colette z mody i organizowania wieczorków. Pragnęła po prostu być w czymś dobra, czuć się przydatna, wypełnić czymś czas. Nie inaczej było z madame Savaray, gdy pracowała w fabryce męża. Były tylko kobietami, które chcą czuć się potrzebne.

Madame Savaray spojrzała na wnuczkę, która zacisnęła mocno oczy, by nie widzieć świata.

– Moja droga – powiedziała cicho, żałując, że nie mogła zrobić więcej, by jej pomóc. – We właściwym czasie wszystko się ułoży.

Aimée otworzyła oczy.

– Nie mam na nic sił.

– To minie. Pisałam do lady Arrington, że jesteś chora. Zorganizujemy wyjazd, gdy poczujesz się lepiej.

Aimée przycisnęła narzutę do piersi. Mleko zaczęło spływać ciurkiem po brzuchu. Zbierało się jej na płacz.

Madame Savaray dostrzegła, że jej wnuczce łzy cisną się do oczu i za żadne skarby nie chciała być ich świadkiem. To by tylko pogorszyło sytuację.

– Przyślę Leonie z herbatą – powiedziała. – Jacques chce cię zobaczyć i zrobić cmok, cmok. – Madame Savaray uniosła brwi. – Najwyraźniej to właśnie mówi, gdy chce komuś dać całusa. W mojej opinii dzieci powinno się uczuć poprawnych nazw, a nie dziwacznych zdrobnień.

Łzy zaczęły spływać Aimée po policzkach w momencie, gdy jej babcia zamknęła za sobą drzwi. To był rozdierający szloch, nad którym nie mogła zapanować. Zacisnęła ręce na piersiach, jakby zatamowanie strugi mleka miało złagodzić poczucie niepowetowanej straty. Zastanawiała się, czy przywiązała się do dziecka, bo karmiła je piersią, czy połączyły je trudne przeżycia. To nie ma teraz znaczenia. Jeanne wkrótce zapomni zapach skóry Aimée i ciepło jej ciała. Będzie tworzyć nowe relacje. To Aimée nic nie zastąpi ciepła tego ciała. Obiecała sobie, że z czasem nauczy się znosić poczucie żalu, ale ból, który odczuwała, był dla niej nowy i nie rozumiała jeszcze w pełni jego istoty.



## LONDYN 1878

### *Rozdział 26*

Henri jadł mdły placek z mięsem w zatęchłym pubie, w którym unosił się zapach drożdży, żyta i whisky. Wypił już dwie szklanki ciemnego piwa. Spojrzał w stronę barmana i wskazał na pustą szklankę.

– Mógłbym prosić jeszcze jedno? – Słyszał swój nabyty lekki francuski akcent.

– Nie stąd, co? – odrzekł mężczyzna, Szkot czy Irlandczyk.

Henri potwierdził.

– Mój szwagier ma gospodę na tej ulicy – rzekł mężczyzna, nalewając Henriemu piwa z dużego dzbanka. – Zapytaj go pan o panią Gerty.

W gospodzie, dwupiętrowym ceglany budynku, było duszno, chłodno i wilgotno jak w pubie. Pani Gerty, kobieta z plamami na skórze i krzywymi zębami, zaprowadziła go na górę, napełniła miednicę wodą, postawiła niezapaloną świecę przy łóżku i zostawiła go samego.

Henri opadł na posłanie i przykrył nogi cienką kołdrą. Był przybity, nic nie było w stanie dodać mu otuchy, poza ponownym spotkaniem z Aimée.

Ostatni raz widział ją na dworcu trzy lata temu. Stała na peronie odziana w zielony żakiet, który rozszerzał się ku biodrom. Kapelusz się jej przekrzywił, wiatr rozwiewał włosy z jednej strony. Przez chwilę stał wystarczająco blisko, by jej dotknąć, ale gdy rozległ się gwizd lokomotywy, odsunęła się, pożegnała i wsiadła do wagonu. Henriego zdławił strach, wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię. Potrzebował czegoś więcej, pożegnania, które będzie coś znaczyć. Ale gdy spojrzała na niego, na jej twarzy malował się wyraz rozpacz, który mówił, że już za późno. Puścił jej rękę i pozwolił odejść bez słowa.

Przymknął oczy, by nie rozpamiętywać, nie patrzeć na brudny pokój i ponure światło, które wpadało przez okno. Obiecał sobie, że tu przyjedzie, przysięgał na życie Aimée w noc narodzin Jeanne. Ale nie chciał tego zrobić. Nie chciał szukać korzeni, grzebać w historii rodziny, odkrywać jej. Rodzinne korzenie obumierają, gdy je wykopiesz. Równie dobrze można ich nie ruszać. Henri nie widział sensu w niezłomnym poszukiwaniu prawdy.

Przewrócił się na bok. Przez cienkie deski podłogowe dobiegał śmiech, łóżko okrutnie śmierdziało. Henri zastanawiał się, czy nie poszukać innego pokoju albo gospody, ale ledwo mógł sobie pozwolić na pobyt w tym nieszczęsnym miejscu, a inne z pewnością nie są lepsze.

Tak naprawdę to chciał wrócić do domu, zapomnieć o wszystkim. Dwa tygodnie temu, piątego maja, świętowali trzecie urodziny Jeanne. Henri przypomniał sobie kandyzowane fiołki, które Leonie postawiła na stole, i bukiet

dzwonek, które zebrał Jacques. Na oparciu krzesła Jeanne powiesiła kapelusz słomkowy z niebieską satynową wstążką. Wcześniej Jacques udał się do miasta i odebrał kapelusz ze sklepu z tekstyliami. W paczce przyszła również, bez żadnego listu, porcelanowa lalka z prawdziwymi włosami; błyszczącymi, ciemnymi lokami podobnymi do tych, które miała Jeanne. Leonie położyła ją na stole, tak jak zrobiła z prezentami podarowanymi córce na jej pierwsze i drugie urodziny. Nie chciała jej przestawić, nawet kiedy Jacques ją o to poprosił. Był pewien, że lalka odwróci całą uwagę od kapelusza, jednak gdy Jeanne zbiegła ze schodów, od razu go włożyła i nie chciała ściągnąć do końca śniadania.

Wyobrażając sobie swoją rodzinę, Henri przewrócił się na plecy i zamknął oczy. Próbował zasnąć, co było niemożliwe przez ten cały rozgardiasz na dole. Nie był szczery wobec Leonie. Nie był szczery nawet wobec siebie. Aż do teraz. Mógł wiecznie odkładać tę podróż, szukać wymówek latami, bo nie musiał przecież spełniać przyrzeczenia danego dawno temu w środku nocy. Tak naprawdę pragnął zobaczyć Aimée i dlatego tu przyjechał.

Mimo hałasu na dole i śmierdzącego łóżka zaczął głębiej oddychać, a jego oczy znowu się zamknęły. Gdy zasypiał, poczuł, że coś niszczącego i nieuniknionego na niego czyha, on próbuje uciec, ale jest już za późno. Zapadał się coraz szybciej, aż w końcu usnął.

Adres zapisany na kartce ukrytej w kieszeni Henriego zaprowadził go do dużego domu usytuowanego w Sussex Place. Przebywał w Anglii od dwóch tygodni, a dopiero wczoraj otrzymał oficjalne zaproszenie od lady Arrington.

Bardzo zdenerwowany podązał za lokajem do bawialni. Stał w drzwiach, a kiedy zobaczył siedzącą na krawędzi krzesła Aimée, mizerną i przeraźliwie wychudzoną, wstrzymał oddech. Pomyślał o nocy, gdy narodziła się Jeanne. Wtedy i teraz Aimée była blada jak ściana, miała nieobecny wzrok i zbiegłe usta. Wyglądała jak dziecko, a jednocześnie strasznie się postarzała.

– Nie gryzę – powiedziała. Ulżyło mu. Coś pozostało z dawnej przyjaciółki.

Usiadł naprzeciwko niej, obracając w rękach kapelusz i uśmiechając się głupkowato.

– Co cię sprowadza do Londynu? – zapytała Aimée, uprzejma i zimna. Jej widmowa twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Przyjechałem zobaczyć się z ojcem.

– Rozumiem.

– Nieprzyjemna sprawa. Ale odkładałem to wystarczająco długo.

Wargi Aimée drgnęły, ale nic nie powiedziała.

– Dobrze się czujesz? – Henri przesunął się na krawędź krzesła. Strasznie chciał ująć jej dłoń.

– Doskonale, dziękuję.

– Jesteś za chuda.

Aimée zaśmiała się ostro.

– Anglicy nie czerpią tyle przyjemności z jedzenia, co Francuzi.

– Z pewnością nie. W gospodzie przez cały tydzień podawali placek nadziewany mięsem z gołębia.

– Prędeż umrę, niż przełknę kolejny placek z mięsem. Poza tym kucharka lady Arrington dodaje zbyt dużo goździków.

– Dlaczego tu zostałeś? – Henri rozejrzał się po pokoju.

W domu na pewno była służba, a jednak wszystko pokrywała cienka warstwa kurzu. Meble, tapeta w kwiaty i złoczone lustra były wyszukane, ale wzbudzały niepokój.

Patrzył na Aimée, która utkwiała wzrok w przestrzeni powyżej jego głowy. Nie spojrzała mu jeszcze prosto w oczy.

– W ubiegłym miesiącu – odparła, patrząc w ścianę – sprzedałam obraz za czterysta funtów, w tym samym tygodniu otrzymałam zlecenie warte dwieście gwinei, ale ostatecznie straciłam je na rzecz sir Millaisa, któremu zapłacono ponad tysiąc. Mężczyźni zawsze mają przewagę, co doprowadza mnie do wściekłości, ale nigdy nie zaskakuje.

W jej słowach nie było uczucia, jakby przestało ją już cokolwiek oburzać, jakby się ze wszystkim pogodziła.

– Jeśli to stanowi dla ciebie jakieś pocieszenie – powiedział Henri – ja od twojego wyjazdu nic nie sprzedałem. Gdyby nie pieniądze twojego papy, nie wiem, jak byśmy przeżyli. Nadal maluję, ale moje obrazy są przeciętne, jak zawsze.

Zawiesił swój kapelusz na kolanie.

– Dostaniesz więcej zleceń. Jesteś na najlepszej drodze, by odnieść sukces, a tego właśnie chcesz, prawda?

– Obraz Louise Jopling *Modern Cinderella* zostanie latem pokazany podczas Wystawy Światowej w Paryżu. Tego właśnie chcę. Odnieść spektakularny sukces – powiedziała, i Henri dostrzegł w niej jeszcze iskierkę życia, dzięki czemu przypominała swoją matkę. – Wiesz – spojrzała wreszcie na niego – gdy przybyłam do Thoméry, uświadomiłam sobie, że nie mam swojego miejsca. Równie dobrze mogę zostać tutaj. To miejsce nie gorsze niż wszystkie inne.

Drzwi salonu się otworzyły i do środka weszła z impetem lady Arrington. Krążyła wokół, skradała się niczym kot, aż stanęła przed Henrim, patrząc na niego jasnymi, zażawionymi oczyma, jakby przyłapała go na jakimś występku.

– Przyszedł pan wcześniej – powiedziała. – Zrobił pan to specjalnie? Miał pan nadzieję, że mnie nie zastanie?

Henri wstał. Ta konfrontacja go zaskoczyła.

– Składam najszczerze przeprosiny – rzekł. – Nigdy nie byłem punktualny.

Lady Arrington miała na głowie burzę niesfornych siwych włosów, która jak sądził Henri, musiała być trudna do okiełznanania.

– W Anglii – powiedziała zgrzytliwym głosem starszej osoby – mamy pewne nawyki, których przestrzega się w towarzystwie. Należy do nich przychodzenie o właściwej porze. – Uniosła podbródek, odsłaniając chudą szyję i silnie zarysowaną linię szczęki. Była elegancka jak ten dom i zimna jak żelazna brama, przez którą wszedł.

– Jest pan Anglikiem czy Francuzem? Aimée nie wyraziła się jasno w tym temacie.

– Anglikiem.

– A jednak ma pan francuskie nazwisko i okropny akcent?

– Przeprowadziłem się do Francji jeszcze jako dziecko.

– Tak, do Savarayów, słyszałam. – Lady Arrington spojrzała na Aimée. – Pokazałaś monsieur Savarayowi swoje prace?

– Nie – odrzekła Aimée z rezygnacją i odrobiną pogardy. – Czy chciałyby pani, bym to właśnie uczyniła?

– A po cóż tu przyszedł?

– Na herbatę. Zaprosiła go pani.

– Nie podam dziś herbaty. – Lady Arrington machnęła w ich stronę ręką, jej głowa podskakiwała na chudej szyi. – Pokaż mu prace, skoro po to przyjechał. Dlaczego tu siedzisz, marnując jego czas?

Aimée bez słowa opuściła pokój. Gdy Henri wyszedł na korytarz, była już na schodach, tren sukni z czarnego jedwabiu ciągnął się za nią po podłodze. Wspiał się na górę, pokonując po dwa stopnie naraz, a następnie podążył za nią do pokoju z wysokimi oknami, przez które wpadało czyste, naturalne światło.

Początkowo zauważył tylko jeden obraz, po swojej prawej stronie, nagie dziecko z tłuściutkimi udami i pomarszczoną różową skórą, siedzące na kolanach kobiety, której ramięczko halki zsunęło się z ramienia, odsłaniając pierś i brodawkę. Ale dopiero kiedy zauważył pozostałe obrazy, zdał sobie sprawę, czemu Aimée jest tak blada i wycieńczona, ma błędny wzrok, nie je i unika wszystkiego, co przeszkodziłoby jej w malowaniu. Ujrzał właśnie to, czego się obawiał.

Przed sobą miał płótna przedstawiające niemowlęta. Jadły, dreptały niepewnie, kapały się. Siedziały na kolanach i wspinały się na łóżka. Matki je trzymały, myły, odsuwały włosy z czoła, całowały w policzek, czytały im książki, zbierały dla nich kwiaty. Swoją tęsknotę, jej żar i siłę Aimée ukazała na obrazach. Henri chciał ją wziąć w ramiona i tulić, jak powinien był zrobić dawno temu, kiedy obawiał się skutków prawdziwej miłości.

Aimée zeszywniała, gdy spojrzał na nią, ostrzegła go beznamiętnym spojrzeniem, by się nie zbliżał.

– Przepraszam za ten incydent z herbatą – powiedziała pospiesznie. – Przepraszam, jeśli spodziewałeś się czegoś więcej.

– Nie – Henri pokręcił głową. – Jedyne, czego pragnąłem, to spotkać się z tobą. Dlatego tu przyszedłem. Tylko po to.

Skrzywiła się i odwróciła do ściany. Zdjęła z haczyka fartuch i założyła na siebie.

– Zastanawiałem się – Henri przesunął dłonią po włosach, jego myśl dopiero co się formowała – czy mogłabyś mi towarzyszyć podczas wizyty u mojego ojca. Mieszka w sporej odległości od Londynu, ale miałem nadzieję, że nie będę musiał się z nim zmierzyć w pojedynkę.

Tak naprawdę nie chciał zostawić Aimée samej w tym ponurym domu, w otoczeniu obrazów przypominających jej, co straciła.

– Nie wiem, jaki mógłby być ze mnie pożytek. – Aimée złapała za taśmy fartucha i zawiązała go mocno wokół talii, jakby chciała się przeciąć na pół. – Wybacz, ale muszę wrócić do pracy.

– Przynajmniej pozwól mi cię znów odwiedzić.

– Po co? – Stojąc do niego tyłem, podeszła do sztalugi, prostując lekko plecy. – Raczej nie odbudujemy naszej przyjaźni. Wrócisz do Francji, a ja zostanę tutaj. Jaki byłby z niej pożytek?

Henri nie spodziewał się, że Aimée jest w aż tak opłakanym stanie. Zawsze była nieugiętą osobą, miała w sobie siłę, na którą w każdej chwili mógł liczyć. Myślał, że gdy tu przyjdzie, ujrzy zadowoloną kobietę, pochłoniętą pracą, pogodzoną z losem. To było mu potrzebne, aby mógł wrócić do swojego życia z Leonie, do dzieci, i powiedzieć, że wszystko się udało.

Aimée podniosła pędzel.

– Zostaw mnie, proszę – powiedziała. Następnie drżącym ze wzruszenia głosem, którego Henri wcześniej nie słyszał, wyszeptała: – Proszę, Henri, musisz iść. Po prostu idź.

Nie widząc innego wyjścia, odszedł.

Niebo nad Londynem było szare. Przez wiele godzin błąkał się po ulicach, poczucie winy nie odstępowało go na krok.

W końcu skręcił w wąską uliczkę. Otoczyły go kobiety o pomalowanych na czerwono wykrzywionych ustach. Podwinęły spódnice, by pokazać nogi. Halki sływały swobodnie po białych łydkach, delikatne kostki wystawały z miękkich skórzanych butów. Zbliżył się do jednej z dziewczyn, zwabiony krągłymi ramionami i pełnym biustem. Jej usta były wilgotne, język smakował cynamonem. Po chwili odsunął się, wymamrotał przeprosiny i uciekł w zaułek.

Jakimś sposobem dotarł z powrotem do gospody. Gdy znalazł się w swoim pokoju, obmył twarz lodowatą wodą.

Odkąd poznał Aimée, jako wstydlivy młody chłopak, zawsze była przy nim, wrażliwa i oddana przyjaciółka. Pozwalała mu milczeć, zatrzymać tajemnicę dla siebie, ale zmuszała, by pogodził się z przeszłością. Dzięki niej ruszył z miejsca,

pokazała mu, jak to zrobić. W zamian nie dał jej nic. W zamian ją zdradził.

Otarł szorstkim ręcznikiem oczy, policzki i ręce. Nie był człowiekiem honoru. Człowiek honoru stawiałby czoło sytuacji po nocy spędzonej z Colette. A on uciekł. Porzucił Aimée bez słowa, ona zaś go odnalazła, wierna, kochająca, oddana przyjaciółka. I co zrobił? Wybrał Leonie, bo tak było prościej.

Rzucił ręcznik za siebie, podszedł do łóżka i położył się na plecach. Dopiero gdy Aimée była na wyciągnięcie ręki, w domku, a nie mógł jej mieć, okazał jej jakiegokolwiek uczucie. I to było najokrutniejsze – pokazanie jej, co mogłoby się między nimi wydarzyć, możliwości, które pojawiły się za późno. Teraz miał jej córkę. Co jeszcze mógł jej odebrać?

Obrócił się na bok, czując ogromny bezmiar smutku Aimée, jakby był jego własny.

Nie mógł tak po prostu zostawić jej tutaj samej.

## Rozdział 27

Dom w Burford był dokładnie taki, jakim zachował go w pamięci: złowieszczy, ale wytrzymały. W swoich murach znosił obecność ludzi wszelkiego typu.

Pas czarnych chmur kłębił się nad zachodnim horyzontem, zaczęło lekko padać. Deszcz szeptem przestrzegał Henriego, kiedy ten zbliżał się do drzwi frontowych Abbington Hall.

Powitał go wysoki lokaj o surowym spojrzeniu. Henri poprosił o spotkanie z panem domu, a lokaj uniósł krzaczastą brew, uśmiechnął się z niedowierzaniem i poprosił, by gość poczekał w bibliotece.

– Wolałbym w bawialni, jeżeli to nie kłopot – odrzekł Henri.

– Gości przyjmujemy w bibliotece. – Lokaj podszedł do drzwi.

Henri poczuł ucisk w klatce piersiowej i krople potu pod kapeluszem. Okna były zamknięte, śmierdziało stęchlizną, dookoła unosił się kurz.

– Proszę pana? – Za nim stał lokaj gotowy wziąć od niego kapelusz.

Gdy Henri go przekazał, mężczyzna wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Henri, wolno oddychając, zwrócił się twarzą w stronę pokoju, którego ściany z każdej strony zabudowano po sufit półkami, wypełnionymi szczelnie książkami. Na jednej z nich pewnie stały książki napisane przez jego ojca. Henri nagle odniósł wrażenie, że jego płuca się zapadają. W panice spojrzął w stronę okna i pomyślał o słodkim zapachu trawy, chłodnym deszczu i ziemi pod stopami. Przecież za potężnymi drzwiami tego domu wciąż istnieje świat.

Próbując się uspokoić, Henri przypatrywał się otaczającym go rzeczom, do których nie był w żaden sposób przywiązany: wytarty dywan z kwiatowym wzorem pod jego zabłoconymi butami, tapeta, również w kwiaty, i obraz przedstawiający myśliwych ze strzelbami i psami w jakimś typowym angielskim pejzażu.

Henri nienawdził tego pokoju. Gdy był dzieckiem, starał się do niego nie wchodzić. Jeśli jego ojciec był w dobrym nastroju, zmuszał Henriego, by z nim siedział i słuchał relacji o sukcesie jego pierwszej powieści i wspaniałych, błogich czasach, zanim się ożenił. Od siedzenia w skórzanym fotelu drętwiała mu pewna część ciała, a zaciśnięte na poręczy palce drżały ze zniecierpliwienia. Zegar wybijał godzinę kolacji, a jego ojciec mówił dalej bez ładu i składu. Henri zawsze miał wrażenie, że ojciec nie ma pojęcia, do kogo mówi. Wolał jednak te napady słowotoku niż ponure dni, kiedy ojciec zamykał się w swoim gabinecie. Wtedy nie wiedział, czego może się spodziewać, ale nauczył się, że trzeba uważać i ukryć gdzieś w odpowiednim momencie.

Zastanawiał się, dlaczego nie bał się bardziej o matkę. Może sądził, że jest

bezpieczna, zamknięta w swoim pokoju. Był pewien, że nigdy nie wychodziła z domu, aż któregoś ranka obudził się wcześniej i zobaczył, jak wchodzi na wzgórze. Szła szybko, z głową uniesioną wysoko, jej płaszcz trzepotał na wietrze. Miał ponure przecucie, że nie wróci, i nie odszedł od okna, dopóki nie stracił z oczu jej małej sylwetki. Po tym zdarzeniu po przebudzeniu każdego ranka wyczekiwał, aż wróci z przechadzki. Jak tylko słyszał, że drzwi frontowe się otwierają, zbiegał na dół jak szalony. „Dzień dobry, mamó” – mówił, stojąc bez ruchu, gdy przechodziła obok niego. Miał nadzieję, że poklepie go po głowie, sam opierał się pokusie, by ją przytulić.

Pewnego ranka mgła unosiła się nad wzgórzem. Nie było widać żywej duszy. Henri pomyślał, że może matka wyszła wcześniej niż zwykle, a on po prostu za nią tęsknił. Czuł jednak ucisk w żołądku. Przez wiele godzin stał ze złożonymi razem rękami, modląc się, by wróciła.

Rozglądając się po bibliotece, zatrzymał wzrok na tapicerowanym fotelu, w którym siadywała jego matka przed swoim zniknięciem, przypomniał sobie, jak pewnego dnia poprosił ją, by przeczytała mu na głos jedną z ksiązek ojca. Spojrzała na niego czule, ze skrucą, a on, stojąc obok fotela, ujął jej policzki w dłonie. Pomyślał wtedy, że może go kocha, bez względu na to, jak się czuje.

Ogromny zegar na kominku wybił godzinę pierwszą. Henri drgnął, podszedł szybko do okna. Krople deszczu spadały na ziemię, wiatr rozrzucał je w różnych kierunkach, nad wzgórzami, polami i ogrodami. Żonkile już rozkwitały, ale stokrotki dopiero wyrastały z ziemi, ich pąki były zamknięte i zielone.

– Henri?

Zza jego pleców dobiegł kobiecy głos, obrócił się i ujrzał kobietę, która dawno temu zabrała go do Francji. Miała na sobie granatową suknię, jak tamtego dnia, tylko jej włosy nie były już w odcieniu blond, ale posiwiałe i upięte wysoko. Zapamiętał ją jako delikatną, bladą piękność o niewzruszonym wyrazie twarzy. Pozostał jeszcze ślad po jej urodzie, a zaciętość zdradzały głębokie zmarszczki na czole. Mieszkała w tym domu, gdy Henri był dzieckiem, ale dopiero teraz przyszło mu do głowy, że najprawdopodobniej była kochanką jego ojca.

– Panna Marion Gray – powiedział z uśmiechem. Nie spodziewał się, że jej widok sprawi mu przyjemność, ale tak właśnie się stało.

– Masz nienaganne wycucie czasu. – Przeszła przez pokój, utykając. Zapomniał, że kulą na jedną nogę. Gdy był dzieckiem, wydawało mu się, że to jej jedyny czuły punkt.

Nie witała się tak, jak robiły to inne kobiety, ale zamknęła jego rękę w swoich dłoniach i mocno ścisnęła.

– Przykro mi, ale twój ojciec zmarł – powiedziała wprost. – Piątego grudnia. Spóźniłeś się.

Henri poczuł, jakby ktoś przeciął zadzierzgniętą na jego szyi pętlę, zwolnił



uścisk. Spojrzał w mokre od łez oczy Marion i poczuł ulgę, ale i wstyd, bo ta wiadomość go nie dotknęła, a przecież powinna. Syn innego człowieka pewnie byłby zdruzgotany, że przebył taką drogę i nie zdążył spotkać się z ojcem, którego nie widział od siedemnastu lat. Gdyby przyjechał pięć miesięcy wcześniej, zobaczyłby się z nim. Tymczasem on poczuł ulgę i nawet nie zdołał jej ukryć.

Marion się uśmiechnęła.

– Masz rację. – Skinęła głową, jakby czytała w jego myślach. – Na starość stał się jeszcze podlejszy, bardziej zacięty, smutniejszy.

Puściła rękę Henriego, ostatnie słowo wypowiadając z czułością.

– A moja matka? – zapytał, a w jego głosie od razu dało się usłyszeć wyczekiwanie, zniecierpliwienie i nadzieję.

Marion pokręciła głową.

– Nie, mój drogi. Nigdy nie wróciła do domu.

Henri pokiwał głową, patrząc na matczyny fotel. Owładnął nim głęboki, znajomy żal. Wiedział, że nie wróciła, gdy tylko wszedł do biblioteki. Świadczyły o tym pokrywający wszystko kurz, książki, których nikt nie dotykał, puste biurko, cisza i pustka, a jednak jakaś jego część wciąż chciała na nią czekać.

– To nie pora podwieczorku – powiedziała Marion – ale usiądźmy w jadalni. Tu nie znoszę przebywać. – Przeszły ją dreszcze, chwyciła Henriego za rękę i wyprowadziła z pokoju.

Gdy szli korytarzem, oddalając się na bezpieczną odległość od biblioteki, Marion powiedziała:

– Służba mnie nie szanuje, ale jestem jedyną osobą, przed którą teraz odpowiadają. Jeśli zażadam podwieczorku o nietypowej godzinie, muszą mi go podać.

Zasiedli w jadalni przy tym samym stole, przy którym siedział jako chłopiec. W pokoju znajdowały się też ten sam kredens i eleganckie krzesła, najprawdopodobniej te same filiżanki i srebra. I mimo że daleko mu było do swobody, poczuł się odrobinę spokojniejszy. W przeciwieństwie do biblioteki, jadalnia nie kojarzyła mu się z matką. Nigdy nie jadała tutaj z nimi. Tylko Marion, jego babcia, skromna, cicha, wiecznie zdziwiona kobieta i jego zmienny, nieprzewidywalny ojciec, który albo zapadał się w fotelu ze skwaszoną miną i milczał, albo krzyczał głośno, strzykając śliną.

Przez pewien czas pili herbatę w ciszy. W końcu Henri zapytał:

– Dlaczego mnie nie powiadomiłaś, że ojciec zmarł?

Kręcił filiżanką z białej porcelany, próbując rozpuścić cukier, który opadł na dno, resztki herbaty unosiły się do krawędzi naczynia i opadały.

Marion obserwowała go uważnie.

– Dlaczego miałam to zrobić? – odparła szczerze. – Odkąd zostawiłam cię w Paryżu, nie wiedziałam, co się z tobą dzieje. A kilkanaście lat później piszesz

z prośbą, bym dla ciebie oszukiwała. – Uśmiechnęła się z przekąsem. Chciała pokazać, że słusznie założył, że się zgodzi. – Nie spytałeś natomiast o rodziców. Pomyślałam, że nie chcesz wiedzieć, co się z nimi dzieje. – Sięgnęła po brzuchaty srebrny dzbanek z herbatą, odsłaniając delikatne nadgarstki, wcześniej ukryte pod koronkowymi mankietami.

Henri wrzucił dwie kostki cukru do filiżanki z gorącym naparem i przyglądał się, jak opadają na dno.

– Miałaś rację. Nie chciałem wiedzieć.

Marion przechyliła dzbanek nad filiżanką, przytrzymując pokrywkę palcem.

– Dlaczego teraz?

– Przypuszczam, że musiałem w końcu zmierzyć się z przeszłością. Odkładałem to w czasie, jak tylko mogłem. Jestem w tym bardzo dobry.

Odstawiła dzbanek, sięgnęła po widelczyk i odkroiła kawałek placaka cytrynowego.

– Można to odkładać w nieskończoność. To nic strasznego. Ja opuściłam dom i nigdy do niego nie wróciłam. Mój ojciec był pijakiem, mieszkałam nad sklepem z tekstyliami i śpiewałam w operze. Zostawiłam to wszystko za sobą, kiedy tu przyjechałam. Nie mam pojęcia, co się stało z moim żalonym ojcem. Zapewne spoczął na wieki w jakimś rowie. – Włożyła ciasto do ust.

Henri śledził wzrokiem złote zawijasy na kremowej tapecie.

– Chcę wiedzieć, co się stało z moją matką – powiedział. – Chcę poznać prawdę.

Marion przełknęła ciasto i z wdziękiem wytarła kącik ust.

– Jesteś dorosły. – Złożyła serwetkę i położyła ją obok talerza. – Nie ma sensu ukrywać tego przed tobą. – Wstała i wyszła z pokoju.

Gdy wróciła, położyła przed Henrim wycinek z gazety i zasiadła z powrotem do swojego ciasta.

– Nie wiem, czy to prawda – powiedziała. – Ale dlatego ojciec cię odesłał.

Henri poczuł ucisk w żołądku. Rozłożył wycinek i spróbował rozprostować zagniecenia palcami.

**„Examiner”, 25 listopada 1860 roku**

Od czasu opublikowania naszego ostatniego artykułu dotyczącego zniknięcia Pani Williamowej Aubrey, wydaje się, że londyńska policja znalazła dowody, które pozwalają podejrzewać cenionego autora, pana Williama Aubreya, o zamordowanie żony.

Chapman and Hall nie nadążają z drukiem kolejnych egzemplarzy najnowszej powieści pana Aubreya, *Przyptywy*. Mieszkańcy Londynu zachwycają się fikcyjną bohaterką, która na końcu powieści znika, ale ostatecznie okazuje się, że zginęła z rąk własnego męża. Policja prowadzi śledztwo, podejrzewając, że Pan

Aubrey popełnił zbrodnię, by stworzyć atmosferę sensacji wokół swojej powieści i zwiększyć jej popularność. Jak dotąd nie znaleziono żadnych zwłok.

Henriemu zrobiło się niedobrze, zwinął kawałek gazety, odsunął krzesło i podszedł do okna. Deszcz przestał padać, ale nadciągająca burza wynurzała się na horyzoncie niczym skaliste szczyty. Poczł falę mdłości. Ani przez chwilę, nawet gdy nieustannie przychodziła do nich policja, nie podejrzewał czegoś tak groteskowego.

– Nie wiem, czy ją zabił, czy nie – podjęła Marion bezbarwnym głosem. – Jeśli tak, to na pewno nie z podanych tu powodów. Tamtej nocy Evelyn opuściła dom żywa.

Henri obrócił się gwałtownie.

– Skąd wiesz?

– Bo ją znalazłam.

– Naprawdę? Gdzie?

Marion podeszła bliżej, bezwstydnie tęskniąc za uczuciem podekscytowania, którego źródłem była ta tragedia.

– W okolicach miasta Hartlepool, nad Morzem Północnym. Pomógł jej niejaki Peter Emsely. Kiedyś zerwała z nim zaręczyny, by poślubić twojego ojca.

Henri skrzyżował ręce, objął się nimi mocno, chwytając dłońmi za łokcie.

– Historia opisana w tym artykule jest zmyślona?

– Tak jak mówiłam, nie wiem. – Marion włożyła kolejny kęs ciasta do ust. Często zastanawiała się, czy Evelyn potajemnie cieszyła się ze skandalu. Gdyby oskarżono Williama o doprowadzenie do jej śmierci, byłaby to spektakularna zemsta. – Twój ojciec był gwałtownym człowiekiem – podjęła. – Z pewnością nie zapomniałeś o tym. – Nie zapomniał. Wciąż czuł razy, które wymierzał mu ojciec. – Ale nigdy nie tknął twojej matki. Wiedziałaś o tym? Mimo to bała się, że zmusi ją do powrotu, jeśli ją odnajdzie. Kazała mi przysiąc, że nigdy nie powiem, gdzie jest.

– Tak zrobiłaś?

– Tak.

Nadciągała burza, w pokoju robiło się coraz ciemniej. Henri przycisnął palce do skroni, napięta atmosfera wywoływała ból głowy.

– To wszystko? Nigdy więcej jej nie widziałaś?

Marion skończyła jeść ciasto i przejechała językiem po zębach, aby upewnić się, że nie zostały między nimi żadne resztki.

– Nigdy więcej jej nie widziałam.

Zastanawiała się, czy powinna powiedzieć więcej. Musiała ostrożnie to rozegrać. W końcu Henri był jednym z Aubreyów i spadkobiercą. Jeśli będzie miał najgorsze zdanie o swoim ojcu, ona może na tym skorzystać.

– Pewnego grudniowego dnia twój ojciec wyszedł. Od czasu zniknięcia

Evelyn nie opuszczał domu. Nie było go przez tydzień, a kiedy wrócił, wszedł do jej pokoju, wyniósł wszystkie rzeczy, notatki, ubrania, a nawet pościel, i spalił. To było okrutne i przerażające. Obserwowałam go, jak wrzucał każdą rzecz do ognia. Nie dbał o to, czy ktoś go widział: ja, kucharka, pokojówka. – Marion zawahała się, to, co miała powiedzieć, nadal ją poruszało. – Oznajmił, że odeszła, że nie żyje. Powiedział to ze spokojem, jakby był o tym przekonany.

– Nie pytałaś o nic więcej?

– Co miałam zrobić? Twój ojciec lubił dramatyzować. Może mu się to wydawało, może miał przeczucie. A może jej szukał, a kiedy nie znalazł, uznał, że dla niego jest martwa. Nie wiem.

Marion odwróciła wzrok od Henriego – miał bladą, poważną twarz, zupełnie jak jego matka – i przejechała dłonią po zagnieceniu na eleganckim białym obrusie. Co za ironia, że William trzymał ją tu, wśród tych wszystkich bogactw, tak jak sobie to zaplanowała. Pamiętała dzień, w którym przybyła do tego domu, młoda, piękna i zdeterminowana. Stanowił dla niej ucieczkę. Nie od ludzi, ale od życia w ubóstwie. Przez chwilę rozważała, czy opowiedzieć Henriemu całą prawdę o dzienniku jego matki i książkach ojca, skoro już zaczęła. Nie zrobiła tego jednak. Może dlatego, że czuła się rozżalona, po tym, co przeżyła, zesłaniem do Abbington Hall, samotnością, w której przyszło jej żyć. A może ze względu na głęboką gorczy, którą w sobie nosiła całe życie.

Niezależnie od powodu postanowiła zatrzymać sekret Evelyn Aubrey dla siebie, co było przejawem zarówno lojalności, jak i zdrady.

– Nic więcej nie wiem – powiedziała ostro. – Kilka miesięcy później William nakazał mi zawieźć cię do Paryża, do tamtej rodziny. – Spojrzała na Henriego. – Reputacja twojego ojca została zrujnowana.

– Ale nigdy nie został skazany.

– To nie ma znaczenia. Twojej matki nie odnaleziono, a ludzie założyli najgorsze. Trzeba oddać twojemu nieszczęsnemu ojcu, że nie chciał, abyś żył w atmosferze skandalu. Uważał, że jeśli zostaniesz w Anglii, nie uciekniesz przed tym. William poznał Savarayów podczas podróży zagranicznych. Byli bogaci, mieli dobrą reputację. Uznał, że to najlepsze rozwiązanie.

– Przypominałem mu matkę i to, co zrobił. Najlepiej było pozbyć się nas obojga – podsumował Henri gorzko.

Marion podeszła do niego, wydawało się, że utyka mocniej, jakby w ciągu kilku godzin jej się pogorszyło. Była niewysoka, więc Henri przyglądał się jej z góry, dostrzegając wyraźne zmarszczki w okolicy bystrych oczu, z których wcale nie biła wrogość, choć tak je zapamiętał. Widział w nich natomiast przeraźliwy smutek i odrobinę pokory, której nigdy nie przypisywał tej kobiecie.

– Wierzę, że chciał cię chronić – powiedziała. – Nie był dobrym człowiekiem, ale złym też nie. Pewnie cię kochał. To niewykluczone. Miłość jest

nieprzewidywalna i nie mamy na nią wpływu.

Henri pokręcił głową.

– Jestem pewien, że mnie nie kochał. – Zaśmiał się gorzko. – Wiesz, nigdy nie czytałem *Przypływów*. Raz próbowałem, ale nie mogłem się zmusić, nawet żeby otworzyć książkę. – Mówił niskim głosem, w którym było słycać zdenerwowanie. – Czy ją zabił? Jak można z tym żyć? Nawet jeżeli tylko to rozważał.

– Henri – ucięła Marion. – To były plotki, które nie mogą wpłynąć na twoje życie. Wyrzuć je z głowy. Musisz. – Odwróciła się i wykonała zamaszty, powolny gest ręką, jakby grała w teatrze. – Bo to wszystko jest twoje.

Podążył wzrokiem za jej ręką. Przyglądał się zimnemu, bezdusznemu pokojowi. Ten dom był osobliwy, jak jego ojciec, wystarczająco okazały, by odwrócić uwagę ludzi od tego, co się naprawdę w nim dzieje, by pewne rzeczy można było zataić. Henri skrzyżował ręce na piersi i pochylił głowę, jakby ochraniał się przed ostrym wiatrem. Nie chciał Abbington Hall. Nie chciał mieć nic wspólnego z tym domem.

– Jest późno – powiedział. – Powiniennem iść.

– Nie możesz podróżować w taką pogodę. Nalegam, abyś zatrzymał się tu na noc.

– Muszę wrócić do Londynu.

– Cokolwiek tam jest, na pewno może poczekać.

– Nie, nie może. – Henri podszedł pospiesznie do drzwi, a Marion podążyła za nim.

Wiał ciepły wiatr. Ciemne niebo wyczekiwało nadchodzącej burzy. Marion uwielbiała burzę. Zawsze miała wrażenie, że wydarzy się coś wielkiego i ekscytującego. Spojrzała na Henriego, wspominając czasy, kiedy jedno spojrzenie wystarczało, by mężczyzna dał jej wszystko, czego pragnęła. Teraz była na to za stara.

– Skontaktuj się z prawnikiem Williama w sprawie posiadłości. Ma kancelarię w Barlow Greeves, Coventry Street jedenaście – mówiła Marion, próbując przekrzyczeć wiatr. – Nie wiedział, gdzie cię szukać.

– Czemu mu nie powiedziałaś? – odkrzyknął Henri.

– Nie wiedział, że wiem. Pomyślałam, że wrócisz do domu, kiedy będziesz gotowy. – Spódnica Marion trzepotała na wietrze. – Wsiadaj do powozu. Niebo wygląda groźnie. Lepiej jak najszybciej schronić się pod dachem – dodała, wiedząc, że sama będzie stała przed domem jeszcze długo po jego odjeździe. Chciała po prostu poczuć ten dreszczyk, gdy porwie ją wiatr.

– Człowiek, który pomógł mamie, nazywał się Emsley, tak? Czy on jeszcze żyje? – spytał Henri.

– Nie wiem. – Marion spojrzała w niebo. Chmury przemieszczały się

szybko, jakby pchane podmuchem wiatru. – Miał kancelarię w Londynie. Jeśli żyje, to łatwo będzie go odnaleźć. – Henri wsiadał do powozu, gdy Marion złapała go za ramię. – Co się stanie ze mną? Nie mam dokąd pójść. Nie mam innego domu.

Henri odsunął jej rękę.

– Abbington Hall jest bardziej twoim domem niż moim. Nie musisz się o nic martwić. – Pospiesznie wsiadł do powozu. Z nieba spadły właśnie pierwsze krople deszczu.

## Rozdział 28

Nadal padało, gdy Henri wracał pociągiem do miasta. Myślał o swoich dzieciach. Wyobraził sobie Jacques'a jako dorosłego człowieka stojącego w salonie Savarayów przed Colette, swoją prawdziwą matką. Jeanne i Jacques będą chcieli poznać kiedyś prawdę. Będą jej szukać, tak jak on teraz.

Przyłożył rękę do szyby i śledził palcem strumyk wody. Nie mógł się doczekać, aż zobaczy Aimée. Chciał jej powiedzieć wszystko, czego nie zdołał przy pierwszym spotkaniu, kiedy siedziała w jego pokoju i czekała zaciekawiona, aż jej wszystko opowie.

Rytmiczne kołysanie pociągu i miarowy stukot kół sprawiły, że Henri poczuł senność. Odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. Tym razem nie chciał iść do Aimée z niczym. Najpierw wszystko wyjaśni. Zastanawiał się, jak zachowałaby się Lady Arrington, gdyby dowiedziała się, że on jest Henrym Aubreyem, gdyby знаła to nazwisko i całą historię. Będzie musiał się z tym zmierzyć. Po śmierci jego ojca sprawa nabrała nowego znaczenia. Teraz on i Jacques są jednymi żyjącymi członkami rodziny Aubreyów.

Z łatwością odnalazł kancelarię pana Emsleya. Tabliczka z jego nazwiskiem wisiała tu nieprzerwanie od trzydziestu siedmiu lat. Wystarczyło popytać ludzi.

Budynek, w którym mieściła się kancelaria, był niewielki i ciemny. W środku pachniało skórą i starym drewnem. Henri podszedł do skulonego za masywnym biurkiem mężczyzny.

– Proszę wybaczyć – powiedział. – Szukam pana Petera Emsleya.

Mężczyzna nie podniósł głowy. Powoli zanurzył gęsie pióro w atramencie, stara twarda skóra jego dłoni pachniała tak samo jak pomieszczenie.

– Kim pan jest? – zapytał głosem szorstkim niczym kora.

– Henri... Przepraszam, Henry William Aubrey.

Mężczyzna się nie poruszył, ale podniósł wzrok na gościa.

– Nie wiem, czego pan tu szuka – rzekł, jakby broniąc się przed oskarżeniami. – Nie mam dla pana żadnych informacji.

– Panna Marion Gray uważa inaczej – odparł Henri.

Mężczyzna przyłożył końcówkę pióra do kartki otwartej książki, ale nic nie napisał. W końcu odłożył pióro z powrotem do kałamarza. Podniósł głowę i spojrzał na Henriego przekrwionymi oczami zza cienkich, drucianych okularów. Był wysoki i brzuchaty, nosił gęstą białą brodę przechodzącą w faworyty i dalej w linię niechlujnych włosów, których na czubku głowy już nie było.

– Kiedyś zastanawiałem się, czy pan przyjdzie – powiedział w końcu mężczyzna, ściągając okulary, które zwisały na szyi na srebrnym łańcuszku. – Po pewnym czasie przestałem. Przypuszczam, że wraz ze śmiercią pańskiego ojca

powiniennem był się na to przygotować. Proszę wybaczyć nieuprzejmość z mojej strony. Usiądzie pan?

– Dziękuję. – Henri przysunął sobie krzesło. Biuro sprawiało przyjemne wrażenie, było skromne, ale ładnie umeblowane i czyste. – Przepraszam, panie Emsley, jeśli moja obecność jest w jakiś sposób dla pana kłopotliwa.

– Proszę zwracać się do mnie po imieniu. Peter. – W jego ciemnych, dociekliwych oczach nie brakowało życzliwości. – Ty, mój chłopcze, mnie nie niepokoisz. To twoja matka zawsze mnie niepokoiła. Ty mi ją tylko przypominasz.

Tykanie dużego zegara wypełniało ciszę, gdy pan Emsley siedział z założonymi rękami opartymi na sterczącym brzuchu, starając się wy badać Henriego. Otworzył szufladę biurka.

– Muszę zwilżyć gardło. Napijesz się, synu?

Postawił na biurku dwie szklaneczki i ciemnozieloną butelkę. Korek wyskoczył z charakterystycznym odgłosem i w pokoju rozniósł się ostry, dymny zapach. Pan Emsley nalał alkoholu do jednej szklanki i przesunął ją po biurku, po czym wypił jednym haustem zawartość drugiej.

– Ach... – Pokręcił głową, obracając pustą szklankę w dłoniach. – Przypuszczam, że przyszedłeś zapytać o swoją matkę, i masz do tego pełne prawo. Przyszła do mnie tej nocy, gdy zaginęła. Potrzebowała mojej pomocy. Ja ją jednak zawiodłem.

Henri napił się ostrożnie. Alkohol palił mu gardło, poczuł jego ostrą woń.

– Nie kochała mnie, ale to nieistotne. Ja zawsze kochałem ją. Zrobiłbym dla niej wszystko.

Henri nie mógł uwierzyć, że ten człowiek był kiedyś młody i kochał jego matkę.

Pan Emsley nalał kolejnego drinka. Znowu wypił go jednym haustem i przesunął językiem po górnej wardze.

– Ukryłem ją w mieście, w którym mieszkała moja matka. Trochę miała nie po kolei w głowie. Wręcz była szalona. Obiecałam Evelyn, że to tylko na chwilę, że po nią wrócę. – Ściemniło się na tyle, że kontury przedmiotów w pokoju przestały być widoczne. – Ale nigdy nie wróciłem. Mój ojciec znalazł list, który napisałem do Evelyn. To był wścibski, bezwzględny człowiek, którego nazwiska nie mógł splamić żaden skandal. Kiedy odkrył, że ukrywam Evelyn, zagroził, że umieści moją matkę w domu wariatów. Od lat chciał ją zamknąć i zrobiłby to, gdybym nadal utrzymywał kontakt z Evelyn. Napisał do niej list, podpisując się nazwiskiem mojego współnika, donosząc, że nie żyję.

Henri pociągnął kolejny łyk. Ta historia, ciemny pokój i nieświeże powietrze odbierały mu odwagę.

– Miałem zamiar po nią wrócić. – Z ust pana Emsleya wydobył się świst. – Przysięgam. Mój ojciec odpuścił po kilku miesiącach, ale do tego czasu już



zniknęła. – Podniósł dłoń i obracał nią w półmroku, jakby się upewniał, że nadal istnieje. – Moja matka była tak głęboko przekonana, że nie żyję, że kiedy przyjechałem, sądziła, że to mój duch. Uznała, że to miłe z mojej strony, że poświęcam jej trochę czasu, i zapytała, jak się miewam w niebie. Chciała wiedzieć, czy odszedłem z godnością, otoczony aniołami. – Śmiał się długo gardłowym głosem, a potem przetarł oczy. – O mój Boże! Właśnie to mi zostało. Stara kobieta z demencją, która przeżyła wszystkich oprócz mnie.

Henri postawił szklankę na biurku i pochylił się w jego stronę z rękami zaciśniętymi na kolanach.

– Wrócił pan i mojej matki po prostu nie było? Żadnego listu? Nikt nie widział, jak odchodziła?

Pan Emsley pokręcił głową.

– Nikt, mój chłopcze.

W pokoju zrobiło się cicho. Przez chwilę mężczyźni siedzieli w ciemności, pierwszy odezwał się pan Emsley.

– Nie wzięła swojego płaszcza – dodał łagodnie.

– Co?

– Jej płaszcz. Wyszła z domu w środku zimy bez płaszcza. Zawsze mnie to zastanawiało. – Pan Emsley wstał i podszedł do półki po zapalki. Gdy podnosił pudełko, kilka wysypało się na podłogę. – Szukałem jej. – Zapalił lampę, krąg ciepłego światła wypełnił pokój. – Przytułki, burdele, fabryki. Miejsca, co do których miałem pewność, że nigdy jej tam nie znajdę. Ale szukałem i tak. Przeszukałem całe miasto. – Mówił niewyraźnie. – Nadal szukam. Nie cały czas, jak kiedyś, ale okazjonalnie, aby mieć pewność.

Sięgnął do dolnej szuflady biurka i wyjął z niej sporej wielkości przedmiot.

– Jej płaszcz. Nigdy nie miałem serca się go pozbyć.

Henri dotknął miękkiej, brązowej wełny. To był ten sam płaszcz, który nosiła, spacerując po wzgórzach o poranku, kiedy wyglądał jej powrotu.

Pan Emsley opadł na krzesło, a jego załzawione oczy błyszczały w blasku lampy.

– Weź płaszcz – powiedział. – I bądź tak dobry, zostaw mnie samego. Nie mam nic więcej do dodania.

Henri chwycił płaszcz, ale przesunął go w stronę Emsleya.

– Jestem bardzo zobowiązany, ale należy do pana. – Z kieszeni na piersi Henri wyciągnął zmięty kawałek papieru. Pan Emsley się zawahał. – To sonet – wyjaśnił Henri. – Autorstwa mojej matki. Znalazłem go pod poduszką w dniu, kiedy zniknęła. Powinien go pan przeczytać.

Pan Emsley ciągnął za łańcuszek okularów, które podskakiwały na jego piersi.

– W tym świetle nie przeczytam tego nawet w okularach. – To nie była

prawda; po prostu wiedział, że to zadanie go przerasta.

Henri trzymał kartkę w świetle lampy. Przypomniawszy sobie, jak Colette znalazła go w jego mieszkaniu. Wyśmiała go wtedy, myślała, że to wiersz miłosny. Kiedy Henri ponownie go przeczytał, pojął, że słowa matki nie były pełne niepokoju, ale nadziei i gorliwości, jakie odczuwa zakochana kobieta. Właśnie zrozumiał dlaczego.

Odchrząknął.

**Drogie dziecko, drogi chłopcze**

*Drogie dziecko, drogi chłopcze, którego zwę moim*

*Ty pierwszy na okazanie mi uczucia się zdobyłeś*

*W czym mnie daleko w tyle zostawiłeś*

*Wciągam Cię w coś nieznanego*

*Nie będziesz się lękał, gdy prawda dojdzie do głosu*

*Kuszona dusza nie smutku pragnie, lecz siły*

*Zbudzone serca trud podejmują zawiły*

*By szukać miłości, którą niszczyliśmy w każdy sposób*

*Budzę się ze snu głębokiego i wznoszę ponad to*

*W popłochu uciekam, ledwo opierzona nadzieja jest tuż, tuż*

*Kiedy odejdę, kochany, nie oplakuj mnie już*

*Jak kolorów, co bledną, gdy ciemność zagarnia światło*

*Spróbuj odnaleźć słodycz w przemijaniu*

*Coś mi mówi, że miłość w wiecznym tkwi trwaniu*

– Nigdy w pełni nie rozumiałem jego sensu, aż do teraz – powiedział Henri cicho. – Drugą strofę napisała z całą pewnością dla pana.

Kiedy podniósł wzrok znad kartki, pan Emsley uśmiechał się, a w jego oczach pojawiły się łzy.

– Dziękuję ci. Dziękuję, mój chłopcze – powiedział.

Henri wiedział, że rzeczywiście jego wdzięczność jest ogromna i że te słowa wszystko zmieniły.

Tej nocy Henri spał głęboko, obudził się, nie pamiętając snów, wypoczęty i pewny siebie, gotów wyjść na ruchliwą ulicę i odnaleźć prawników ojca.

Było to prostsze, niż się spodziewał. Jego nazwisko nigdy nie zostało oficjalnie zmienione. Z prawnego punktu widzenia był, jest i będzie Henrym Aubreyem. Po uzyskaniu odpisu aktu urodzenia z Urzędu Stanu Cywilnego i podpisaniu licznych ważnych dokumentów angielskim nazwiskiem Abbington Hall przeszło w jego ręce. Pozostawiono mu również dużą kwotę pieniędzy, jej część pochodziła ze sprzedaży książek ojca, ale większość ze sprzedaży posiadłości w Essex przed laty.

Po opuszczeniu kancelarii Henri dziwnie oszołomiony szedł zatłoczonymi krętymi ulicami. Nie dbał o pieniądze ani posiadłości. Nie myślał o Leonie czy

dzieciach i co to dla nich oznacza. Jedyne, nad czym się teraz zastanawiał, to jak pomóc Aimée. Mógł zabrać ją z tego strasznego domu i przywieźć do Abbington Hall. Mógł ją wspierać. Mogłaby malować w spokoju. Nie byłaby uzależniona od lady Arrington czy swojego papy.

Kiedy jednak dotarł do Sussex Place i minął wysoką żelazną bramę, zobaczył, że w domu Lady Arrington panują ciemności, okna są zamknięte, a zasłony zaciągnięte. Dzwonił trzy razy, ale nikt nie otworzył. Czekał, chodził w kółko przed złowrogą czarną bramą ponad dwie godziny. W końcu zniechęcony wrócił do gospody.

Każdego dnia przez następne dwa tygodnie przychodził do domu w Sussex Place, ale nikt mu nie otworzył. Zastanawiał się, czy nie wyjechali na wieś lub nad morze. Wprawdzie lady Arrington nie sprawiała wrażenia osoby, która odważyłaby się zmienić klimat, ale gdyby faktycznie tak się stało, z pewnością ich nie odnajdzie.

Pił co wieczór w obskurnym pubie mieszczącym się przy tej samej ulicy, co gospoda, w której się zatrzymał. Zgarbieni nad stołami mężczyźni siedzieli sami, sporadycznie we dwóch, ale nigdy w wielkich, ożywionych grupach, jak w paryskich kawiarniach. Nie było przekomarzania się, salw śmiechu czy nagłych zarzutów, tylko melancholia i przemęczenie, jakby ci ludzie nie mieli nawet sił do prowadzenia nudnych rozmów.

Pewnej nocy gdy Henri siedział w swoim pokoju, całkowicie pijany, ale jeszcze dziwnie świadomy, mieszanka myśli z ostatnich kilku miesięcy utworzyła wyraźny obraz.

Widział jasną, mroczną postać Aimée przechadzającą się po pokojach jego monstrualnego, złowrogiego domu z czasów dzieciństwa. Myślał o jej obrazach i dzieciach na nich przedstawionych i zdał sobie sprawę, że ona byłaby tak samo nieszczęśliwa w Abbington Hall z Marion Gray, jak z lady Arrington. Aimée bowiem nie dbała o to, gdzie mieszka. To nie miało dla niej żadnego znaczenia.

Wtedy zdał sobie sprawę z tego, co powinien zrobić. Wiedział to już od dawna, ale nie chciał się nad tym rozwodzić i odsuwał te myśli od siebie od wielu miesięcy, mając świadomość, jakie będą skutki jego działań. A kiedy ponownie o tym pomyślał, miał wrażenie, że dopiero teraz przyszło mu to do głowy.

## PARYŻ 1878

### *Rozdział 29*

W domu Savarayów panowała ponura atmosfera. W rok po narodzinach Jeanne madame Savaray żywiła nadzieję, że Aimée wróci kolejnej wiosny, tak jak zaplanowały. Tak się jednak nie stało, a listy Aimée z czasem stały się krótkie i oschłe. Ostatni z nich brzmiał następująco: „Radzę sobie świetnie, Droga Babciu. Maluję i zajmuję się sobą. Pozdrowienia dla rodziny, Aimée”.

„Świetnie”? Madame Savaray ani trochę w to nie uwierzyła. Z kolei listy lady Arrington były niejasne, formalne i nie zawierały żadnych wiarygodnych informacji. Madame Savaray czuła, że stało się coś niedobrego, i gdyby nie jej bezużyteczne kolana, wsiadłaby na statek i przepłynęła kanał La Manche, by spotkać się z wnuczką.

Niestety, ledwo chodziła. Bez większych problemów mogła się poruszać w obrębie domu, ale wyjście z niego choćby na krótki spacer po parku wykańczało ją tak bardzo, że potem musiała spędzić wiele godzin w łóżku.

Gdy w maju wyruszyła, jak co roku od narodzin Jeanne, do Thoméry, jej prawe kolano spuchło i zrobiło się trzy razy większe niż normalnie. Przyjeżdżała tam w niedzielę rano, kiedy rodzina była w kościele. Na placu naprzeciwko świątyni znajdowała się drewniana ławka z doskonałym widokiem na schody prowadzące do budynku. Madame Savaray siadywała tam w czarnej sukni i kapeluszu z woalką. Nikt nie zwracał uwagi na starą kobietę napawającą się ładnym wiosennym porankiem. To była jedyna korzyść płynąca z podeszłego wieku. Na starców nikt nie zwracał uwagi.

Gdy Jeanne nie miała jeszcze roku, była tłuściutkim, szczęśliwym dzieckiem, które Leonie nosiła na biodrze. Jako dwulatka była uroczą dziewczynką dreptającą w białej sukience z błyszczącą bladożółtą wstążką zawiązaną w tali. W tym roku Jeanne wydawała się najpiękniejsza na świecie ze swoimi ciemnymi, sprężystymi lokami i pulchnymi, różowymi policzkami.

Siedząc na ławce, madame Savaray pochyliła się do przodu i odsunęła parasolkę sprzed twarzy, by móc swobodnie przyglądać się dziewczynce, gdy skakała ze schodów kościoła. Nieustannie dotykała wstążki z niebieskiej satyny na słomkowym kapeluszu, który przez to ciągle się przekrzywiał. Jacques, ubrany w spodnie w biało-różowe paski i niebieską koszulę, wyciągnął dłoń i poprawił siostrze kapelusz, a potem złapał ją za rękę i ostrożnie sprowadził ze schodów.

Miał teraz sześć lat i wyglądał na poważnego, rezolutnego chłopca. Madame Savaray dostrzegła w nim podobieństwo do matki, co stanowiło przeciwwagę dla delikatności, którą odziedziczył po Henrim. W sposobie chodzenia i wyrazie twarzy Jacques'a można było zauważyć determinację, co spodobałoby się Colette.

Jej cechy były o wiele bardziej akceptowalne u mężczyzn, bez względu na okoliczności. Przyda mu się to w życiu.

Wszystko to zaobserwowała, siedząc na ławce i przyglądając się, jak rodzina schodzi ze schodów kościoła, przystając, by porozmawiać z przyjaciółmi, zanim pomachają im na pożegnanie i udadzą się do domu.

Jeszcze długo po tym, jak odeszli, madame Savaray siedziała przed świątynią przepelniona bolesną tęsknotą, pewna, że wolałaby leżeć na cmentarzu, niż wrócić do domu.

Słońce było już wysoko na niebie, kiedy udawała się w długą drogę powrotną na stację, besztając się za pogrążanie się w melancholii i starając się ignorować ataki bólu kolana. Wolała iść, niż jechać. To było małe miasto, bardziej rzucałaby się w oczy w otwartym powozie. Nie chciała zwracać już uwagi na siebie, a na pewno nie chciała, by Leonie i Henri uznali, że ich kontroluje. Chociaż to właśnie robiła.

Colette była zaskoczona, że minęły trzy lata, a Aimée nie wraca do domu. Jacques'a nie było jeszcze dłużej.

Przez jakiś czas sądziła, że wszystko się unormuje. Wyobrażała sobie, że Henri nie będzie w stanie troszczyć się o dziecko i odda im chłopca. Wtedy Auguste by jej wybaczył i pozwolił wprowadzić do swojego pokoju. Urządzałyby znowu swoje wieczorki, a Aimée wróciłaby do domu.

Nic takiego się jednak nie stało. Po jakimś czasie Colette zrozumiała, że nigdy nie pogodzi się z utratą Jacques'a. Jego nieobecność przywoływała wspomnienia o dzieciach, które straciła. Teraz wszyscy czterej chłopcy – dwoje zmarłych niemowląt, ukochany maleńki Léon i Jacques – stali się jedną osobą i nie była w stanie odróżnić ich od siebie. Pamiętała rączki i stópki, główkę w swojej dłoni, czoło miękkie jak mlecz, żalosne jęki, gaworzenie i przeszywające krzyki.

Czasami próbowała wydobyć z siebie gniew, myśląc, że może w ten sposób powróci do żywych. Obiektem jej wściekłości była jednak ona sama, próbowała się potępić i zadręczyć. Dbała o to, by pamiętać wszystko, co uczyniła, i przez to zasłużyć na udrękę, a jednocześnie pozostać szorstką i kąśliwą.

Zrezygnowała z haftowania i zaczęła grać na pianinie. Zawsze grała, ale niezbyt dobrze. Wynajęła młodego, zapalonego nauczyciela, którego zaprosiła do swojego pokoju na drugiej lekcji. Trwało to kilka miesięcy, a potem zrezygnowała z jego usług równie łatwo, jak z haftowania. Od tego czasu nie pojawił się w jej życiu nikt nowy. Nie umiała czerpać już z tego nawet przyjemności. Po prostu to robiła.

Rozważała naukę rysunku, ale bała się, że to zajęcie będzie jej przypominać Aimée, której Colette brakowało bardziej, niż była skora przyznać. Porzuciła więc ten pomysł i kontynuowała grę na pianinie. Nie potrzebowała już nauczyciela, radziła sobie bardzo dobrze. O każdej porze dnia dom wypełniała muzyka.

Bolesna, wspaniała, szalona, kameralna. Dźwiękami opowiadała o miłości, której już nie czuła. Gdy kończyła grać, była rozpalona, pełna życia, radosna, podniecona, jakby pokój był wypełniony ludźmi skorymi do oklasków.

Czasami przyłapywała Auguste'a na słuchaniu jej gry. Stał w drzwiach z wyrazem ognistego pożądania, które kiedyś wywoływały w nim ich kłótnie. Teraz wymieniali kilka słów, formalnych, grzecznych, nic szczerego. Nic o mękach, które przechodził Auguste, żalu, nędzy, samotności. Nic o upadku Colette, gniewie, który kierowała do wewnątrz, a który ją zżerał do cna. Skinienie głową, niechętny uśmiech jednego czy drugiego, może pytanie o kolację, czy jak radzi sobie nowa pokojówka, trywialne rzeczy.

Potem rozchodzili się do swoich pokoi i chociaż mieli ochotę zawrócić, żadne z nich tego nie robiło.

Wiosną 1878 roku, kiedy Henri udał się do Anglii, a w Paryżu zorganizowano Wystawę Światową, stosunki między małżonkami uległy zmianie.

Colette nie miała zamiaru uczestniczyć w wystawie. Wszędzie odbywały się wielkie, eleganckie przyjęcia. Słyszała, że Manet planował zorganizować szczególnie okazały bankiet, co trochę ją ożywiło, nie otrzymała jednak zaproszenia. Savarayowie byli teraz rzadko zapraszani – po tylu odmowach ludzie się zniechęcili, a Colette nie chciała się pokazywać i być lekceważoną przez tych, którzy kiedyś rozkoszowali się jej towarzystwem.

Madame Savaray zganiała ją, mówiąc, że zachowuje się niemądrze.

– Nie pozwolę ci tu siedzieć i lamentować, że nie zostałeś zaproszona na jakieś odpustowe przyjęcie. – Klasnęła w dłonie. – Pójdziemy zobaczyć ekspozycję. To wydarzenie roku. – Odwróciła się do Auguste'a, który dla odmiany również znajdował się w pokoju. – A ty idziesz z nami. Pójdziemy wszyscy. Mimo wszystko nadal jesteśmy rodziną, a jeśli ja jestem gotowa rzucić się w tłum z moimi bolącymi kolanami, wy dwoje możecie znieść lekceważenie ludzi, na których nigdy wam nie zależało.

Poszli więc. Auguste wziął pod rękę Colette i prowadził przez zatłoczone ulice, pełne muzyków, tancerzy i akrobatów. Tysiące ludzi machało z okien flagami, nieznajomi przeciskali się i wpadali na nich ze wszystkich stron. To niemałe zamieszanie trochę ich przytłaczało, ale i ekscytowało.

Auguste i Colette dali się temu porwać, pozwolili sobie wrócić do czasów, gdy należeli do towarzystwa, kiedy takie rzeczy były dla nich istotne. Szli bardziej wyprostowani, uśmiechali się nieco szerzej i kiwali głową przechodniom, długie pióra kapelusza Colette dyndały jej przed twarzą, Auguste dotykał kapelusza w geście przywitania.

Wystawa sztuki przywołała wspomnienia. Colette pamiętała suknię z wąskim stanem, którą miała na sobie, gdy obraz Aimée wystawiono w Salonie Paryskim. Tamtego doniosłego dnia czuła się wspaniale.

Auguste także myślał o Aimée, nie opuszczały go jednak wyrzuty sumienia. Stał właśnie przed obrazem przedstawiającym spokojne morze i starał się z nimi uporać, powtarzając sobie, że wysłanie jej za granicę było dobrą decyzją.

Madame Savaray przyglądała się wyrazistemu obrazowi jakiegoś japońskiego artysty, wyobrażając sobie, jak potoczyłoby się ich życie, gdyby Aimée nie zobaczyła obrazu Henriego w Salonie Paryskim. Co by było, gdyby go po prostu go minęła, wyszła do ogrodu i nigdy na niego nie spojrziała? Może Henri nigdy by się nie odnalazł. Może odszedłby na zawsze i w ten sposób nie straciliby Aimée. A już na pewno nie straciliby Jacques'a.

Patrząc na swojego syna, wysokiego, szczuplejszego niż kiedyś, ale nadal silnego i opanowanego, madame Savaray poczuła dumę. Przyglądała się, gdy wziął Colette za rękę i szeptał coś do jej ucha. Pomimo kapryśnej natury był lojalny.

Odwróciła się w stronę obrazu, myśląc, jak bardzo lubi japońskich artystów. Ich prace były przejrzyste, proste i subtelne, z niezwykłą kreską, w jasnych, żywych kolorach. Żałowała, że życie nie może być takie proste jak te obrazy. Pokręciła głową. Savarayowie nigdy nie mieli szans na takie życie, nawet gdyby Henri nadal się ukrywał, a jej syn poślubił nieskomplikowaną kobietę. I tak czekałby ich chaos.

Po wystawie stosunki między Auguste'em i Colette uległy zmianie. Nie było łzawych scen ani przebaczenia, ale subtelne ocieplenie relacji i obustronne pogodzenie się z sytuacją.

Dla Auguste'a wiele znaczyło, że mógł przebywać w towarzystwie Colette, czuć ją u swego boku, jej dłoń odzianą w rękawiczkę na swojej. Miał wrażenie, że wciąż należy do niego.

Trzymał się blisko niej cały dzień, prowadząc ją przez tłum. Gdy zaszli do kawiarni, złożył w jej imieniu zamówienie, a ona spojrzała na niego z wdzięcznością, jakby jego opieka i ochrona były właśnie tym, czego potrzebowała.

Colette brakowało uwagi mężczyzny. Nie fizycznej – nie miała już tego typu pragnień – ale tęskniła za męskim towarzystwem, wsparciem.

Zatopili się więc w tym dyskretnym uczuciu, które różniło się od wszystkiego, co czuli dotychczas. Nie było walki, rzucania się z pasją na siebie w łóżku, tylko spacer po parku, niezobowiązująca rozmowa w salonie po kolacji, kokieterijne uśmiechy, jakby nieco onieśmieleni dopiero się poznawali.

Colette wciąż spała w swoim pokoju, żadne z nich nie wspominało o zmianie tego układu. Raz Auguste pocałował ją przed pójściem do łóżka. Pocałunek był głęboki, wyrażał tęsknotę, ale nie doprowadził do niczego więcej.

Pewnego ranka w salonie, gdy wczesne promienie słońca padały z ukosa na lśniącą drewnianą podłogę, Auguste wyjrzał zza gazety i zerknął na Colette.

– W ubiegłym tygodniu spotkałem pewnego Amerykanina, Roberta Cassatta.

– Tak? – Colette podniosła wzrok znad książki.

– To emerytowany makler i sprzedawca nieruchomości. Bardzo znaczący. Ma mieszkanie na l'avenue Trudaine – powiedział. W tej modnej części dzielnicy Pigalle mieszkały rodziny porządne i zamożne.

– Jak miło. – Colette wróciła do czytania, niezainteresowana nowymi znajomościami.

Auguste rozłożył z powrotem gazetę, skierował na nią wzrok, a po chwili dodał:

– Mają córkę. Słyszałem, że dobra z niej malarka. Jej ojciec powiedział mi, że namalowany przez nią obraz został pokazany podczas Wystawy.

Colette zamknęła książkę i położyła ją na kolanach.

– Czyli chodzi o Aimée i twoje wyrzuty sumienia?

– Tak się zastanawiałem... może już czas, by Aimée wróciła do domu – rzucił zza gazety.

– Masz na myśli: wróciła do domu i malowała?

Auguste przewrócił stronę i przemknął po niej wzrokiem.

– Zapewne tak.

– Auguste – powiedziała łagodnie Colette. – Odłóż gazetę.

Złożył gazetę na pół i umieścił na stole. Światło słoneczne padało na kolana Colette i jej gładkie, blade dłonie.

– Ta jego córka ma własną pracownię – powiedział Auguste. – Poza domem. Musi ją tylko sama utrzymywać.

Colette pokiwała głową.

– Cudowny pomysł.

– Właśnie tak pomyślałem.

– Napiszesz zatem do Aimée i poprosisz, by wróciła do domu?

Auguste potarł podbródek.

– Najwyższy czas, by to zrobić, nie sądzisz?

– Tak właśnie sędzę.



## Rozdział 30

Auguste rzeczywiście zamierzał napisać list, ale na początku lipca Colette zachorowała. Lekarz powiedział, że to tylko paskudne przeziębienie i powinna zostać w łóżku. Colette w gorączce była przekonana, że umiera. Bolały ją wszystkie kończyny, gardło przy przełykaniu, a głowa pękała. Raz nie zdążyła dojść do nocnika i trzeba było sprzątać podłogę, co odebrała jako strasznie upokarzające. Potem pojawił się natarczywy kaszel i częste krwawienia z nosa. Wzywano lekarza, który uparcie twierdził, że nie ma się czym martwić; gorączka spadnie, a objawy ustąpią.

Wszyscy zapomnieli o Aimée oprócz madame Savaray, która nie dostała żadnego listu z Anglii od trzech miesięcy. Sama napisała kilka, ale nie otrzymała odpowiedzi.

W ostatnim liście powiadomiła Aimée, że musi natychmiast wrócić do domu, ponieważ Colette umiera. Oczywiście sama ani przez chwilę w to nie wierzyła, ale napisała tak, by zmusić wnuczkę do powrotu, a choroba była wymówką dobrą jak każda inna.

Nie ulegało wątpliwości, że Colette jest poważnie chora, i w pełni to wykorzystywała, zabiegając o uwagę, jak to miała w zwyczaju, a zwłaszcza Auguste'a, który dwoił się i troił. Nie chciał jej zostawić samej. Krzyczał na lekarza. Nazywał go idiotą. Podkreślał, że nie robi wystarczająco dużo.

Lekarz, przyzwyczajony do histerycznych mężów, był dla niego łaskawy.

– Oczywiście – powiedział, zatraskując torbę i podnosząc kapelusz. Od jakiegoś czasu przychodził w zasadzie codziennie, by badać Colette. – Od wczoraj gorączka spadła, tak jak przewidywałem. Jako lekarz pracujący w tym zawodzie od trzydziestu pięciu lat stwierdzam, że pańska żona wyzdrowieje.

W tym momencie zaczerwieniona na twarzy Colette jęknęła, przysunęła się do krawędzi łóżka i zwymiotowała do dużej ceramicznej miednicy.

Auguste podbiegł i odsunął włosy z jej twarzy.

– Czy tak wygląda kobieta, która zdrowieje?

Stojący już w drzwiach lekarz powiedział:

– Te rzeczy wymagają czasu. – I wyszedł.

Czoło Colette było rozpalone, gdy Auguste przyłożył do niego dłoń, a ona spojrzała na męża dzikim wzrokiem.

– Muszę zobaczyć mojego syna! – zawołała. – Jeśli umieram, muszę go zobaczyć. Błagam. O nic innego nie proszę. Pozwól mi zobaczyć Jacques'a po raz ostatni. – W napadzie kaszlu oparła głowę o ramię Auguste'a. Poklepał ją po chudych, wątłych plecach, pod szlafrokiem wyczuł delikatny zarys kręgosłupa.

– Poślę po chłopca – obiecał, opierając ją o poduszkę, odgarniając włosy

z jej gorących, wilgotnych policzków.

Colette zaczęła płakać.

Auguste przycisnął dłoń do jej piersi.

– Przestań, kochanie, nie powinnaś płakać. Tylko sobie zaszkodzisz. Proszę, przestań. – Otarł łzy z jej policzków. – Poczujesz się lepiej – powiedział. – Całe to gadanie o umieraniu nie ma sensu. Nie pozwolę ci umrzeć. Niebawem będziesz zdrowa, tak powiedział lekarz.

– Nie mogę się powstrzymać – załkała Colette. – Muszę zobaczyć swojego syna.

– Wiem, kochanie, wiem. Poślę po chłopca. Ale nie mów więcej o śmierci. Słyszysz mnie?

Łkanie Colette zmieniło się teraz w kolejny, straszliwy atak kaszlu. Kiedy uspokoiła oddech, wyczerpana opadła na łóżko.

– Jest mi strasznie zimno – powiedziała.

Auguste nakrył Colette kołdrą, a potem usiadł obok niej. Podniosła głowę z poduszki i położyła ją na jego klatce piersiowej, mały okrągły guzik jego koszuli odbił się na jej policzku. Otoczył ją ramieniem, czując ciepło rozpalonego ciała.

Wysiadłszy na dworcu kolejowym, tym razem madame Savaray nie zdecydowała się pokonać dystansu pieszo. Dorożka zawiozła ją aż pod same drzwi małego domku w Thoméry.

Nieco skrępowana Leonie powitała ją uśmiechem i zaprowadziła do środka, przepaszając za bałagan, którego narobiły dzieci; na korytarzu leżały rozrzucone niczym okruchy kamienie, w środku salonu na wykończonym frędzlami dywanie stał zbudowany z kamieni domek.

Madame Savaray uniosła brwi, wyrażając tym niezadowolenie, co Leonie postanowiła zignorować. Pozwalała dzieciom robić to, co uznawała za stosowne. Była tu sama i nikt nie będzie jej mówił, jak ma wychowywać swoje dzieci.

Bez słowa patrzyła, jak madame Savaray taksuje krytycznym wzrokiem nieumeblowany pokój, jej zmrużone oczy wędrowały po wyblakłej kanapie, niskim stoliku i dwóch trzcinowych krzesłach, przy czym jedno miało małą dziurkę w siedzisku.

Ostrożnie obchodząc kamienną budowlę wzniesioną przez dzieci, usiadła na krześle najbliższym wygasłego paleniska i oparła łaskę o zakrzywiony podłokietnik.

Niespokojna Leonie stała w drzwiach, najpierw trzymając ręce luźno wzdłuż ciała, a potem krzyżując je na piersi.

– Mogę zaoferować filiżankę herbaty albo czekolady?

– Wolałabym koniak, jeśli masz, lub wino. – Madame Savaray wyjrzała przez otwarte okno, brązowe muślinowe zasłony powiewały na wietrze. Dochodził do niej zapach suchej pszenicy i cichy szum rzeki.

– Za chwilę wrócę – powiedziała Leonie i udała się korytarzem do kuchni.

Właśnie była w sypialni, rozkładając wciąż jeszcze sztywne i ciepłe od słońca prześcieradło, kiedy usłyszała ciężkie stąpanie końskich kopyt i stukot kół powozu. Rzuciła materiał na łóżko i zbiegła po schodach, przekonana, że to Henri.

Widząc kuśtykającą po kamiennej ścieżce madame Savaray, bardzo się rozczarowała. Wcześniej nie chciała się przyznać przed sobą, jak bardzo tęskni za Henrim, jak boli ją, że do niej nie napisał, jak się lęka, że może nie wrócić. Nie pomagało, że obiecał się z nią ożenić. Obiecał to wiele razy w ciągu ostatnich lat. „Tak będzie najlepiej dla dzieci”, mawiał. Wyjazd do Anglii był również „dla dzieci”. Miał zamiar odzyskać swoje prawowite nazwisko, aby przekazać je dzieciom. Niczego nie robił dla niej.

Leonie ustawiła kieliszki na tacy. Gdy oparła się o blat, smużka mąki pojawiła się na jej ubraniu. Pochyliła głowę i nagle poczuła ogarniający ją strach. Przez ostatnie lata usilnie próbowała nie wyobrazać sobie dnia, kiedy Savarayowie przyjadą po Jeanne, ale bała się tej chwili.

Zabrała tacę do salonu, postawiła ją na stole i podała gościowi kieliszek. Nie wzięła swojego, ale usiadła naprzeciwko, szykując się do walki z całych sił, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Madame Savaray dostrzegła, że Leonie nie czuje się komfortowo, ale z jakichś powodów nie zrobiła nic, by jej ulżyć. Zapytała tylko o Henriego i dowiedziała się, co ją bardzo zszokowało, że przebywa w Anglii.

– Widział się z Aimée? – zapytała, nagle zdając sobie sprawę, skąd ten brak wieści od jej wnuczki. Oczywiście, że Henri był tego przyczyną. Zawsze Henri.

– Nie wiem. Nie pisał do mnie.

Madame Savaray zmierzyła ją oskarżycielskim wzrokiem.

– Po co tam pojechał?

– By odnaleźć ojca.

– Kiedy wyjechał?

– Prawie trzy miesiące temu.

Dokładnie wtedy Aimée przestała pisać. Madame Savaray uderzała paznokciem o kieliszek, w pokoju rozlegał się cichy brzdęk.

– Oczekujesz jego powrotu?

Twarz Leonie pociemniała.

– Oczywiście, że oczekuję jego powrotu.

– Dlaczego więc nie pisze do ciebie?

– Madame – Leonie przesunęła się na skraj kanapy. „Siedząc tak, wygląda jak spłoszony ptak”, pomyślała starsza pani. – Czemu pani przyszła? Z pewnością nie ma to nic wspólnego z wizytą Henriego w Anglii.

Madame Savaray odwróciła głowę w lewo i spojrzała na nie najlepiej wykonany obraz przedstawiający Jacques'a, na którego kolanach siedziała mała Jeanne.

– Nie powinnaś siedzieć na krawędzi. To nie wypada. Sprawiasz wrażenie wzburzonej. Siądź porządnie albo wstań.

– Jestem wzburzona – odrzekła Leonie, a madame Savaray pomyślała, jak bardzo podziwia tę rozsądną, prostolinijną kobietę.

– Gdzie są dzieci?

– Na dworze.

– Biegają same i nikt ich nie pilnuje?

Madame Savaray nie chciała być surowa dla Leonie; była po prostu spięta i walczyła z przygnębieniem, które zawładnęło nią w chwili, gdy weszła do tego domu.

Odstawiła kieliszek. Nawet się z niego nie napiła.

– Przyjechałam prosić cię o wielką przysługę. Oczywiście możesz odmówić.

Łzy pojawiły się w oczach Leonie, położyła rękę na piersi, kręcąc głową z zakłopotaniem.

– Przepraszam.

– Co myślałaś? Że przyjechałam tutaj, aby odebrać ci te niesforne dzieci? – Madame Savaray strzepnęła spódnicę, jakby dzieci wspinały się na jej kolana, a ona chciała je odpędzić. – Kamienie w salonie – wymamrotała.

Prawdę mówiąc, widząc ten bałagan, którego narobiły dzieci, przypomniała sobie, jaką radość może przynieść zabawa zwykłymi kamieniami, i opanowała ją ta sama tęsknota, którą czuła, gdy przyglądała się dzieciom skaczącym ze schodów kościoła. Zapragnęła poczuć znowu, czym jest rozkoszna młodość, chociaż na chwilę.

– Colette jest poważnie chora – podjęła. – Jest przekonana, że stoi nad grobem, a jej ostatnia prośba jest jasna: chce zobaczyć Jacques'a. W mojej opinii to nie ma sensu, ale tak się przedstawia sytuacja.

Leonie w milczeniu wycierała łzy, które spływały jej po policzkach.

Po chwili zapytała:

– Czy Colette można ufać?

– Nie umiem powiedzieć.

Leonie pokręciła głową.

– Według mnie to zły pomysł.

Madame Savaray chwyciła laskę i jej końcówką uderzyła o podłogę.

– Auguste, wysyłając mnie tu, nie wierzył, że mi się powiedzie. Obiecałam mu, że nie będę nalegać ani się wyklócać. Poza tym lekarz mówił, że Colette odzyska zdrowie. Byłabym zdziwiona, gdyby taka błahostka jak gorączka ją zabiła. Nie jestem przekonana, czy nie wywołała choroby, by dostarczyć sobie trochę emocji.

– Ale możliwe, że umrze?

– Wszyscy umrzemy; kwestia tylko kiedy.

Niepokojąca myśl zaświtała w głowie Leonie.

– Gdybym się zgodziła, co byśmy zrobili? Co powiemy Jacques'owi?

– On jest dzieckiem. Powiedz mu, co tylko chcesz. Powiedz mu, że daleki krewny chce go zobaczyć. Dla dziecka to nie ma znaczenia. – Madame Savaray mówiła gardłowym głosem, w którym dało się wyczuć kpinę.

– Czy Savarayowie wiedzą o Jeanne?

– Nie.

– Co, jeśli Jacques wspomni o swojej siostrze?

– Pomyślą, że jest twoją córką. Nie mają żadnego powodu, by myśleć inaczej.

– Chce go pani dzisiaj zabrać?

– Wrócimy jutro rano pierwszym pociągiem.

Leonie wyjrzała przez okno. Nie widziała dzieci. Prawdopodobnie poszły nad rzekę. Jeanne nigdy nie spędziła nocy bez swojego brata. Będzie niespokojna.

– W porządku. – Leonie była niechętna, a jednak przekonana, że Bóg jej nie wybaczy, jeśli odmówi spełnienia prośby umierającej kobiety pragnącej zobaczyć swojego jedyne go syna. A jeśli nie Bóg, to Leonie sama sobie nie wybaczy. – Musi mi pani obiecać, że będzie dbać o Jacques'a i pozostanie w pokoju przez cały czas, gdy będzie z Colette.

Trzymając mocno laskę, madame Savaray podniosła się z trudem z krzesła.

– Nic mu nie będzie – odparła. Potem dodała zimnym autorytarnym tonem: – Nie oszukuj się, że jesteś jego matką. Jacques dowie się prawdy pewnego dnia, czy tego chcesz, czy nie. Dzieci zawsze poznają prawdę.

Leonie wstała rozłoszczona tym, co usłyszała.

– Dzisiaj się nie dowie.

– Oczywiście, że nie. Nie musisz się tak niepokoić. Powiedziałam to tylko dla twojego dobra. Pewne rzeczy sprawiają ból, to wszystko. Głównie prawda, która w końcu wychodzi na jaw, mimo że tego nie chcemy. Ja tylko radzę ci przygotować się na to wcześniej, żebyś mogła to jakoś przetrwać.

Leonie od dłuższego czasu odrzucała tę myśl. Nie mogła mierzyć się z nią teraz, kiedy miała pożegnać syna.

– Zawołam dzieci – powiedziała. Potem spojrzała surowo na madame Savaray – Ufam pani.

Madame Savaray skinęła głową.

– Powinnaś – odrzekła, ale obie wiedziały, że w tej sytuacji niewiele zależy od niej.

## Rozdział 31

Nieogolony, blady i wychudzony Auguste siedział w kawiarni, gapiąc się w talerz. Odkąd Colette zachorowała, prawie nie spał i nie jadł.

Gmerał łyżką w podanym na obiad gulaszu, rozsuwając kawałki ryb i porów. Jacques pewnie już dotarł do domu. Colette już się pewnie z nim widziała. Pewnie zjadł już obiad, a może poszedł już spać.

Auguste podniósł głowę. Oczy go bolały, gdy wpatrywał się w stojące na stołach lampy olejowe świecące jasno jak pochodnie. Żółte kafle na ścianach połyskiwały w ich świetle, gdy przywołał posługaczkę, by zabrała jedzenie i przyniosła kolejną szklaneczkę absyntu.

Wychodził kompletnie pijany. Usłyszał bicie zegara, gdy zbliżał się do domu, ale nie liczył ilości uderzeń. Zapomniał też nakręcić swój zegarek, więc nie miał pojęcia, która jest godzina. Oparł się o ścianę, oddychając ciężko. Skoro nikt się nie pojawił, cisnął swój kapelusz na podłogę i po omacku wdrapał się po schodach.

Otworzył drzwi do dawnej sypialni Aimée i wszedł po cichu, potykając się o nocny stolik. Jakiś przedmiot z lekkim hukiem spadł z niego na dywanik. Jacques się poruszył.

Szeroka smuga księżycowego światła padała na łóżko. Zazwyczaj zasłony były zasłonięte, ale nie teraz. „Pewnie dlatego, że Jacques boi się ciemności”, pomyślał Auguste, siadając na skraju łóżka.

Delikatnie dotknął dłoni chłopca, zdając sobie sprawę, że tylko tyle może dostać: widok miękkich włosów rozsypanych na poduszce, rozchylonych ust, ręki nad głową, drgających powiek, pod którymi pojawiały się senne marzenia.

Samotność, która doskwierała Auguste'owi w ciągu ostatnich czterech lat, uderzyła go ze zdwojoną siłą. Pragnął wziąć Jacques'a w ramiona i przytulić do siebie. Nie chciał cofnąć czasu, ale nie widział też wyjścia z obecnej sytuacji. Tak wiele stracił. Mógłby winić Henriego, ale to nie była jego wina. Gdy stracił pierwsze dziecko, serce mu krwawiło, z czasem rana się pogłębiała. Henri był jedynie rysą, to utrata Jacques'a rozdarła mu je na strzępy.

Może nie jest za późno, by odzyskać syna? Może powrót chłopca sprawi, że on, Auguste, pozbiera się jakoś. Zaoferuje Henriemu pieniądze. Spłaci go. Co wybierze borykający się z biedą artysta? Problematyczne dziecko czy pieniądze? Chłopiec musi być ciężarem. Ulży mu, gdy się go pozbędzie. Auguste wstał. Odzyskując chłopca, Colette znów odnajdzie sens w życiu. Staralaby się bardziej. Zostałaby przy życiu.

Właśnie wtedy oczy Jacques'a się otworzyły. Auguste odskoczył od łóżka, potykając się, dotarł do drzwi i wybiegł z pokoju. Po powrocie do swojej sypialni

zatrzasnął drzwi i rzucił się na posłanie. Złapał się kurczowo za głowę, w której mu łomotało, i zapadł w pijacki sen.

Dochodziła dziesiąta, gdy wstał, sztywny i obolały, z obślinionym policzkiem, nadal w ubraniu i w butach. Jacques i madame Savaray wracali już pociągiem do Thoméry.

Przebrał się, obmył twarz zimną wodą, przeczesał mokrą dłonią włosy, które przesiąkły dymem z cygara. „Co za szalony dureń ze mnie”.

Wszedł do pokoju Colette, przepelnionego kwaśnym zapachem choroby. Zasłony były zaciągnięte, by poranne słońce nie wpadało do pokoju. Ale kiedy spojrzął na żonę, zobaczył, że siedzi z plecami przyciśniętymi do rzeźbionego zagłówka. Jej wyszczotkowane włosy zgrabnie opadały na ramiona osłonięte białym szlafrokiem. Twarz nie była już pokryta plamami, ale odzyskała jednolity kolor, oczy wydawały się jasne i wyraźne.

– Mój drogi. – Uśmiechnęła się, wyciągając w jego kierunku wiotką dłoń spod pomiętej pościeli.

Cienki promień słońca przebił się przez szparę w zasłonie. Wyglądało to, jakby złote berło leżało na drewnianych deskach. Auguste podszedł i wziął żonę za rękę, poczuł chude i delikatne palce.

– Widziałam Jacques’a – powiedziała, jej głos brzmiał lekko i naturalnie, już nie tak histerycznie jak przez kilka ostatnich tygodni. – Widziałam naszego chłopca. Jest taki piękny. Mówił do mnie. Był bardzo uprzejmy. – Uśmiechnęła się, była dumna, jak każda *maman* by była w tej sytuacji.

Auguste upadł na kolana przy brzegu łóżka. Powiedziała „nasz chłopiec”. Nie miało znaczenia, że to nieprawda. Wydawało mu się, że może w końcu jej wybaczyć.

– Tak – rzekł. – Też go widziałem.

– Cieszę się – powiedziała. – Cieszę się, że znalazłeś w sobie siłę, by go zobaczyć. – Przyciągnęła dłoń Auguste’a do ust i złożyła na niej pocałunek.

## Rozdział 32

Zanim Aimée wysiadła z pociągu, słońce zdążyło się już schować za budynkami. Ciężka mgła unosiła się nad miastem, a nim powóz zatrzymał się przed frontowymi drzwiami domu na rue l'Ampère, zrobiło się już całkiem ciemno. W żadnym oknie się nie świeciło, gdy zmierzała do podjazdu dla powozów na tyłach domu. Nie uprzedziła listownie o swoim przybyciu, miała więc nadzieję, że podkuchenna albo Marie, której sypialnia wychodziła na podwórze, nie będą jeszcze spać.

Ostatni list od babci przeleżał na poczcie ponad miesiąc, zanim go otrzymała wraz z wcześniejszymi, jednym z majową datą stempla, a drugi z czerwcową. Widocznie lady Arrington nie zleciła, by przysyłać wszelką korespondencję do Brighton, gdzie spędziły lato.

Babcia pisała o chorobie Colette, ale potem nie wysłała już żadnego listu, co musiało oznaczać, że stan zdrowia *maman* uległ poprawie i nie było potrzeby, by Aimée wracała. Jednak kiedy przeczytała pozostałe listy, poczuła ogromną tęsknotę za domem. Tak naprawdę nie była to tęsknota za rodziną, murami, w których niegdyś żyła czy znajomymi ulicami Paryża; pragnęła po prostu powrócić do życia, które znała.

Aimée szła po omacku, torując sobie drogę ręką, gdy nagle dotknęła czyjegoś ramienia.

– Wielki Boże! – krzyknęła Aimée. Dziewczyna, na którą wpadła, zrobiła krok do przodu.

– Bardzo przepraszam – wymamrotała.

– To była moja wina – powiedziała Aimée. – Nic ci nie jest?

– Nie, mademoiselle.

– Pracujesz tutaj?

– Tak – odpowiedziała dziewczyna.

– Bądź tak uprzejma i wpuść mnie do środka. Jestem mademoiselle Savaray.

Dziewczyna przyglądała się Aimée przez chwilę.

– Oczywiście, mademoiselle.

Weszły tylnymi drzwiami. Dziewczyna wzięła świecę ze stołu i poprowadziła Aimée korytarzem, następnie schodami na górę do salonu.

– Czy mam kogoś obudzić? – zapytała służąca, przybliżając świecę do knota lampy.

– Nie, dziękuję – powiedziała Aimée. – Byłabym wdzięczna, gdybyś rano posłała kogoś na dworzec po moje kufry.

– Oczywiście, mademoiselle. – Dziewczyna się ukloniła.

– To wszystko.



Służąca opuściła pokój, jej pospieszne kroki odbiły się echem. Aimée uświadomiła sobie, że nie zapytała o zdrowie *maman*, i wyszła za nią, ale dziewczyny już nie było.

Po prawej stronie dojrzała schody. Wyciągnęła rękę i sięgnęła poręczy, której niegdyś trzymał się Jacques, gdy zeskakiwał ze stopni. Aimée była pewna, że mały w końcu z nich spadnie, tak się jednak nie stało. Zawsze był szybki i pewny siebie.

Wróciła do salonu, zastanawiając się, jak teraz wygląda Jacques, ile urósł. Usiadła na kanapie, pocierając czoło jedną ręką, próbując wymazać wszelkie myśli o Jeanne, zanim zadomowią się na dobre w jej głowie. Nie chciała jej sobie wyobrazić. Nie mogła. Nawet nie знаła koloru włosów córki, nie wiedziała, czy są kręcone, czy proste. Nie wiedziała, czy jest drobnym, delikatnym dzieckiem, czy pulchnym i okrągłym. Nie, nie będzie o niej myśleć. To bezsensowne. I bez względu na wszystko, przysięgła sobie, nie pojedzie do Thoméry.

Aimée czuła się w tym domu dobrze i za tym uczuciem tęskniła. Próbowwała chłonąć wszystko wokół – rzeczy, które wcześniej były codziennością, jak stęchły dywan czy poręcze kanapy pokryte wypłowiałym już niebieskim materiałem. Dziwne, że od czasu jej wyjazdu wszystko pozostało na swoim miejscu; nawet kanapa przetrwała upływ czasu, poza tym że odrobinę wyblakła.

Aimée zamknęła oczy i położyła głowę na poduszce, gładząc dłonią obity aksamitem fotel. Zrozumiała, że jej wspomnienia dzielą się teraz na te sprzed narodzin Jeanne i te po jej narodzinach. Dom należał do tych pierwszych, co przynosiło zaskakujące pocieszenie.

W domu panowała śmiertelna wręcz cisza, gdy madame Savaray powoli pokonała schody i weszła do salonu. Nie mogła zasnąć, wstała zatem po książkę, którą zostawiła na stoliku.

Aimée – w ciemnej rozkloszowanej sukni, z przechyloną głową, otwartymi ustami – przestraszyła starszą panią. Przez ułamek sekundy sądziła, że jej wnuczka nie żyje i oto ma przed sobą jej ducha, dopiero gdy dostrzegła ruch jej dłoni, uspokoiła się.

– Aimée – szepnęła. Płomień świecy migotał, od jej szczupłej, pomarszczonej twarzy odbijały się iskierki światła. Aimée otworzyła oczy.

– Babciu – powiedziała, wstając pospiesznie.

Przyglądały się sobie, a Aimée wydawało się, że minęły całe dekady.

Ledwie babcię poznała. Pokryte siwizną włosy zaczesła do góry przy samych skroniach i zaplotła w gruby warkocz, który opadał na plecy. Jej obfita pierś stała się bezkształtna, policzki zapadnięte, pasek szlafroka związała mocno wokół zbyt wąskiej talii. W prawej dłoni trzymała laskę, na której się opierała, tak jak robił to papa, kiedy zranił się w stopę podczas wojny. Poruszała się niepewnie, z niechęcią, jakby potrzeba podpierania się była porażką, słabością, do której nie

chcieli się przyznać.

Łzy napłynęły do oczu madame Savaray, zamrugła, by je powstrzymać.

Postawiwszy świecę na stoliku, pokuśtykała do Aimée i chwyciła ją za rękę.

– Wyglądasz żałośnie – powiedziała, nieprzerwanie poklepując rękę swojej wnuczki. – Po prostu żałośnie. Czy odesłanie cię było ogromnym błędem? Codziennie się nad tym zastanawiałam.

Aimée ścisnęło w gardle. Minęło dużo czasu, odkąd ktoś jej dotknął.

– Oczywiście, że nie. Dlaczego miałybyś zaprzętać sobie tym głowę? Pisałam ci, że wszystko w porządku.

– Nie wierzyłam w ani jedno słowo.

Słyszając te proste, szczerze słowa, Aimée poczuła, że coś w niej pęka, staje się bezbronna jak dziecko.

– Masz rację. – Roześmiała się ostro, niepewnie. – Byłam nieszczęśliwa.

Madame Savaray opadła na kanapę, trzymając laskę przed sobą, i dotykała rączki z kości słoniowej, jakby ugniatała glinianą kulę. Aimée usiadła obok niej. Babcia pachniała czymś starym, kwaśnym i stęchłym, jej oddech drażnił nozdrza.

– Moja droga – powiedziała madame Savaray, patrząc przed siebie – nie da się delikatnie przekazać ci tej wiadomości. Twoja *maman* umarła.

W pokoju nagle zrobiło się duszno. Aimée pocierała dłońią nadgarstek, czując wyraźnie swoje kości. Spojrzała w stronę drzwi, spodziewając się, że za chwilę stanie w nich jej *maman*, zaprzeczając temu, co powiedziała babcia. Colette była zbyt fascynująca, by umrzeć, niezniszczalna, silniejsza niż natura.

– Dlaczego do mnie nie napisałaś?

– Nie mogłam ci tego przekazać listownie. – Madame Savaray wyciągnęła chusteczkę z kieszeni. – Nie wierzyłam, że umiera. Byłam przekonana, że to wymyśliła, żeby zobaczyć Jacques’a.

Aimée poczuła ukłucie w klatce piersiowej.

– Jacques tu był?

– Tak.

– Papa się zgodził?

– Zgodziłby się na wszystko. Colette zachowywała się poprawnie przy chłopcu, zadawała podchwytliwe pytania, co lubi, czego nie. Jacques był bardzo uprzejmy. Tylko kiedy wyciągnęła do niego rękę, zawahał się, biedaczek. – Madame Savaray spojrzała w ciemny kąt pokoju, przypominając sobie bladą twarz Jacques’a. – Na początku wydawał się przestraszony, ale nagle coś się zmieniło, jakby ją rozpoznał. Podszedł, ujął jej rękę i trzymał ją, dopóki nie zasnęła. Następnego dnia wydawało się, że twoja *maman* wyzdrowiała. Nawet twój papa był przekonany, że doszła do siebie. Ale kilka dni później gorączka wróciła. Zmarła dość szybko. Lekarz orzekł, że to była grypa.

Aimée podeszła do drzwi. Miała wrażenie, że mgła wkradła się do środka

i próbuje ją udusić.

– Nie dam rady – powiedziała nagle i ukryła twarz w dłoniach.

Podnosząc się z kanapy, madame Savaray odrzuciła laskę i zebrała się w sobie, by pomimo doskwierającego bólu podejść do wnuczki.

Aimée wzdrygnęła się, gdy babcia położyła drżącą dłoń na jej nagiej skórze tuż poniżej szyi, dotyk był czuły, ale bolesny.

– Nie jest łatwo wrócić do domu – powiedziała staruszka. – Wszystko wydaje się inne, ale w dużej mierze jest takie samo. Z czasem się oswoisz. Dla twojego papy twój powrót jest najważniejszy. Pozostałaś mu tylko ty.

– Jestem mu najmniej potrzebna – powiedziała Aimée, a ręka babci zsunęła się z jej szyi.

– Nonsens. Wyposażył na nowo twoją pracownię – powiedziała madame Savaray, jakby to miało wszystko wynagrodzić.

– Dlaczego do mnie nie napisał?

– Twój papa nie ma w zwyczaju przeproszać. I nigdy się nie myli.

W tym momencie poczuła przenikliwy ból w kolanie i ugięła nogę. „Jestem żałosna”, pomyślała, upadając na podłogę. „Bezużyteczna”.

Aimée uklękła obok niej.

– Babciu! Nic ci nie jest? Mam kogoś wezwać?

Madame Savaray rozłożyła się na podłodze jak dziecko, rozprostowała nogi, odsłaniając grube i bezkształtne łydki przypominające bloki białego marmuru i opuchnięte kostki ze zrolowanymi pończochami. Spojrzała na zbolałą twarz wnuczki i wybuchła tak głośnym śmiechem, aż łzy napłynęły jej do oczu. Zaskoczona Aimée również zaczęła się histerycznie śmiać i opadła na podłogę obok babci. Absurd je pokonał.

– Istna farsa – powiedziała madame Savaray, ocierając łzy z policzków. – Pomóż mi wstać, zanim poczuję się całkowicie upokorzona.

Aimée wstała, chwyciła babcię za ramiona i pomogła jej się podnieść. Madame Savaray czuła się słaba i stara, ale szczęśliwa.

– Chodź – powiedziała, przestając się śmiać. – Czas spać. Twój papa będzie miał niespodziankę o poranku.

Aimée ujęła babcię pod rękę i razem wyszły z pokoju, wdzięczne, że mają w sobie oparcie.

## Rozdział 33

Następnego ranka Aimée weszła do sypialni papy. Zasłony były rozsunięte, a okna otwarte na roścież. Mgła opadła, był ciepły, pogodny dzień. Z ulicy dobiegał gwar.

Papa siedział na skraju łóżka, kompletnie ubrany. Miał na sobie czarny sztywny krawat, oliwkowy żakiet zapinany na guziki, błyszczące, zapinane na klamrę buty. To krzepiące, że po śmierci żony nie siedział sam w ciemnym pokoju, oplakując jej stratę, jak wyobrażała to sobie Aimée. Bała się, że posunął się w latach jak babcia, ale wyglądał tak, jak go zapamiętała. Może był trochę szczuplejszy, ale wciąż miał szerokie ramiona, ciemne włosy, szeroką, gładką brodę i wyraźnie zarysowany podbródek.

Wstał powoli, niezaskoczony jej widokiem.

– Kiedy przyjechałaś? – zapytał.

– W nocy.

– Przykro mi, że cię nie powitałem.

– Nie wiedziałeś, że przyjadę.

– Mogłaś mnie obudzić.

– Nie było potrzeby.

Auguste pokiwał głową, chowając ręce w kieszeniach spodni.

„Oczywiście, że nie było”. Odwracając od niej wzrok, powiedział:

– Obawiam się, że spóźniłem się na śniadanie. Nowa pokojówka była na tyle dobra, by przynieść mi kawy. – Wskazał na tacę. – Przyniosła nawet dwie filiżanki. Musiała zapomnieć, że teraz jestem sam. Napijesz się ze mną? Mogę poprosić, by podali czekoladę, jeśli chcesz, albo herbatę? – Speszony, uśmiechnął się do Aimée. Nigdy wcześniej nie obchodziło go, co lubi pić. – Chyba niestety nie wiem, co wolisz.

– Kawa wystarczy – odparła Aimée. – Dziękuję.

Podeszła do najbliższego krzesła i usiadła. Auguste trzęsącą się ręką nalał córce kawy. Stawiana na spodeczku filiżanka brzęknęła, odrobina napoju wylała się, gdy go podawał.

Aimée trzymała filiżankę na kolanach, bogaty, ziemisty zapach mieszał się z wonią dymu cygarowego. To był ulubiony zestaw do herbaty jej *maman* – porcelana kostna ze złożonym brzegiem – używany tylko podczas przyjęć. Aimée zastanawiała się, czy *maman* pozwoliła, by korzystano z niej na co dzień, czy po prostu nowa pokojówka nie wiedziała, że nie należy tego robić.

Papa usiadł naprzeciwko niej, nie biorąc swojej filiżanki. Wszystko się diametralnie zmieniło; oboje od razu to wyczuli. Być może oznaczało to, że mogą zacząć od nowa; kusząca perspektywa, chociaż trochę przerażająca.

Aimée napiła się odrobinę kawy. Papa nie zapytał, czy życzy sobie śmietanki, czy cukru, kawa była mocna i gorzka. W przeszłości *maman* nigdy nie zostawiała córki z ojcem samej. Bez niej Aimée nie wiedziała, jak zacząć.

Auguste wiercił się niespokojnie na krześle, odchrząknął, ale również nic nie powiedział.

Po śmierci Colette nie wychodził z łóżka przez tydzień. Wpatrywał się w ściany sypialni, aż powtarzalny wzór psów i jeleni pojawiał się również w jego snach. Pragnął snu, który przynosi chwilowy spokój. Budził się jednak w środku nocy, spanikowany, ogarnięty strachem, którego przyczyny nie mógł umiejscowić, dopóki w głowie nie pojawiało się wspomnienie o stracie Colette, powalając go szybko i mocno, na nowo przysparzając nieznośnego bólu.

Podczas jednej z takich nocy Auguste bardzo wyraźnie uświadomił sobie, jakie popełnił błędy.

Następnego dnia był w stanie wstać z łóżka, w domu panował spokój, ale spokój w jego wnętrzu był jeszcze bardziej odczuwalny, jakby minęła wielka burza, jedna z tych, które niszczą serce, ale pozostawiają promyk nadziei.

Gdy przyglądał się Aimée, która siedziała sztywno na krześle, wolno popijając kawę, czuł, że popełnione przez niego błędy pozostawiły w niej ślad, co napawało go przeraźliwym smutkiem.

– Jak ci się wiodło u lady Arrington? – zapytał.

– Marnie.

Auguste uśmiechnął się, bezpośredniość jego córki nadal go zaskakiwała.

– Rozumiem.

– Nie ma sensu utrzymywać, że było inaczej. Babcia wszystko wkrótce ci opowie. Ma swoje sposoby, by wyciągnąć ze mnie całą prawdę.

– Nie tylko z ciebie, chociaż nigdy się do tego nie przyzna. Uważa się za kogoś, kto trzyma się z dala od spraw innych ludzi.

– Tak, tak właśnie uważa – roześmiała się Aimée.

– Ach. – Auguste uderzył ręką o kolano i wstał. – Mam coś dla ciebie. – Podszedł do biurka pod oknem, pogrzebał w górnej szufladzie i wyciągnął z niej gazetę, niezbyt obszerny tygodnik. Wręczył go Aimée.

– Co to jest? – Przeczytała tytuł: „L’Impressionniste”.

– To ci artyści, o których kiedyś wspominałaś, Niezależni; teraz nazywają siebie impresjonistami. Wybraliśmy się z twoją mamą na jedną z ich wystaw kilka lat temu.

– Naprawdę? – Aimée spojrzała na drobny druk. – Czytałam o tym w londyńskim „Miesięcznym Przeglądzie Sztuki”. Co o tym myślisz? Czy Wystawa była tak bulwersująca i niesamowita jak Salon Odrzuconych w siedemdziesiątym czwartym?

– Zatrważająca. Wszyscy ci pragnący zmian rewolucjoniści... Ostatnim

razem, gdy ludzie chcieli wzniecić powstanie i zmieniać rzeczywistość kształtowaną przez setki lat, skończyło się to wojną i rozlewem krwi. I ostatecznie bardzo niewiele się zmieniło.

Aimée spojrzała na ojca, z jego twarzy można było wyczytać wszystko. Nigdy wcześniej nie mówił, że się czegoś boi.

– Nie miałem zamiaru iść na Wystawę – ciągnął. – Dlaczego miałbym chcieć oglądać obrazy przedstawiające praczki czy pociągi pokryte sadzą? To był pomysł twojej mamy. Myślałem, że spodobały się jej prace tych artystów, ale kiedy ją o to zapytałem, powiedziała: „Nie, ani trochę. Są śmieszni”.

Aimée niemal słyszała głos *maman* pełen rozbawionego zniecierpliwienia, jakby czekała, aż reszta świata zda sobie sprawę z tego, co już dawno wie.

– „Miałam nadzieję znaleźć wśród nich pracę Aimée”, tak dokładne brzmiały jej słowa.

Aimée wiedziała, że temat jest drażliwy, zaschło jej w gardle. Auguste postukał palcem o gazetę, skórki starannie przyciętych paznokci miały kształt półksiężyca.

– Podkreśliłem kilka fragmentów. – Spojrzał na gazetę i przesunął palcem wzdłuż cienkiej czarnej linii, którą narysował piórem. – Piszą tu tak: „Gdzie można znaleźć więcej wspaniałości, więcej prawdy i więcej poezji niż w tych pięknych pejzażach?”. Dziennikarz ma nawet czelność porównać obrazy do prozy Wiktora Hugo. „Ta sama godność, siła, powaga”. – Auguste uniósł pięść w powietrze, a potem uderzył nią w oparcie krzesła. – W końcu Wiktor Hugo jest człowiekiem, którego należy czcić. Nie twierdzę, że rozumiem impresjonistów lepiej, niż kiedy się spotkałem z ich twórczością po raz pierwszy, ale dziennikarz wysuwa dobre argumenty popierające ich działalność.

Nie miało znaczenia, czy jej papa cokolwiek z tego pojmuje. On i *maman* podjęli wysiłek, by cokolwiek zrozumieć. Aimée poczuła się doceniona, pragnęła tego przez całe życie.

– Byłabyś tak uprzejma i odczytała artykuł na głos? – Auguste położył skrzyżowane dłonie na kolanach i usadowił się wygodnie. – Chciałbym to usłyszeć jeszcze raz.

Aimée musiała chwilę mobilizować odwagę, by spełnić życzenie papy, ale jemu się nie spieszyło. Czuła jego wzrok na sobie, dostrzegła skinienia głowy, ale przede wszystkim to, w jaki sposób jej słuchał: w skupieniu i z zainteresowaniem.

## Rozdział 34

Mimo że w pobliżu torów buchało gorącem, Henri czekał, aż pociąg znajdzie się poza zasięgiem jego wzroku, aż ostatni przeszywający gwizd lokomotywy ucichnie. Dopiero wtedy chwycił swoją walizkę i udał się pylistą drogą w kierunku domku.

Słońce stało wysoko na niebie, padające na skórę Henriego promienie wywoływały uczucie mrowienia, na czole pojawiły się krople potu. Rękawami płaszcza zaczepiał o ciernie jeżyn, które rosły wzdłuż drogi. Jakby natura mu o sobie przypominała. Uśmiechnął się na tę myśl. Londyn był okropny, wszędzie hałas i brud. Gospoda cuchnęła gorzej w lecie i od tygodni nie mógł się porządnie wyspać.

Szum rzeki odebrał jak błogosławieństwo. Zapach schnącej na słońcu pszenicy, której złote kłosa kłaniały się i falowały na wietrze, i winorośle z soczystymi, ciemnymi owocami pnące się po ścianach były niczym czekające na niego upominki.

Jeanne zobaczyła go pierwsza. Kuciała właśnie w trawie ze spódnicą podciągniętą po kolana. Z zaangażowaniem szturchała chrząszcza, który leżąc na plecach, wyglądał na martwego.

– Papa! – krzyknęła. Leonie i Jacques, którzy obrywali właśnie fasolę w ogrodzie, odwrócili się na jej wołanie.

Jacques puścił się biegiem. Laertes wy dostał się spod chroniącego go przed słońcem krzaka i zaczął głośno szczekać. Dzieci i pies rzuciły się na Henriego, który nie mogąc utrzymać równowagi, ukląkł na środku drogi. Jeanne zaczęła go obcałowywać, a Jacques, w końcu prawie siedmioletni chłopiec, objął ojca za szyję i ukrył twarz w jego piersi.

Z uśmiechem na twarzy Henri podniósł się z ziemi. Dzieci trzymały się kurczowo jego nóg. Leonie stała pod wiśnią, otrzepując dłonie. Cienkie kosmyki włosów spadały na jej twarz. Ciężkie od owoców gałęzie zwisały nisko, filtrując światło słoneczne, które padało na czubek jej głowy. Rękawy podwinęła, jej ramiona i dekolt miały barwę kwiatowego rózu. Henri zapomniał, jaka jest piękna.

Podszedł do niej, położył ręce na krągłych biodrach i pocałował. Opierała się, zaciskając usta, ale kiedy Henri położył dłoń na jej krzyżu i przyciągnął do siebie, jej ciało się poddało.

Leonie dojrzała go z daleka, uczucie ulgi prawie odebrało jej mowę. Chciała biec do domu, by się wyszykować, ale gniew zatrzymał ją na miejscu.

Gdy się odsunął, zobaczył, że płacze.

– Myślałam, że nie wrócisz – powiedziała, kładąc delikatnie dłoń na jego piersi. Objął ją ramionami.

– Nonsens – odrzekł, całując ją w czubek głowy.

Siedzieli do późna. Dzieci nie chciały iść do łóżka, a kiedy wreszcie zasnęły, Leonie i Henri z trudem zdążyli dotrzeć do swojego pokoju, zanim ich ubrania opadły na podłogę.

Henri jak desperat złapał za okrągłe pośladki Leonie, wchodząc w nią, jej ciało było ustępliwe i wyrozumiałe. Uniosła się, obejmując go ciasno nogami, jego kości biodrowe wbijały się w jej uda.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, jej piersi przylegały mocno do jego klatki piersiowej, twardy koniuszek jej języka dotykał jego podniebienia. Henri próbował zwolnić, ale nie był w stanie, zadrżał, wydał z siebie jęk i opadł na nią bezwładnie.

– Wybacz mi – powiedział, kładąc się obok, rozpalony i bez tchu, trzymając jedną dłoń na wilgotnym brzuchu Leonie, a drugą na jej piersi.

– Należało się tego spodziewać. – Wplotła palce w delikatne włosy na jego klatce piersiowej, które w okolicy pępka i krocza stanowiły tylko wąskie pasmo. – Jesteś teraz w domu – powiedziała. – Będziesz miał dużo czasu, by wszystko nadrobić. – W jej głosie nie było jednak słyhać pewności. Chciała, żeby on to powiedział, albo przynajmniej potwierdził jej słowa.

Henri uśmiechnął się tylko, robił się senny, zamknął więc oczy. Powietrze było spokojne i wilgotne, szum rzeki i dźwięki wydawane przez żaby i świerszcze działały kojąco.

Gdy zaczął oddychać ciężiej, Leonie chrząknęła, wysunęła się spod jego ramienia i usiadła, przykrywając nogi prześcieradłem, jej ciężkie piersi zwiślały swobodnie.

– Niech ci się nie wydaje, że dam ci teraz spokój.

Henri zamrugał i spojrział na nią. Chłodne światło księżycy oświetlało pokój. Nagie piersi Leonie i blask jej skóry przypomniały mu czasy, gdy dla niego pozowała, a potem szli od razu do łóżka.

– Jesteś piękna – powiedział.

Leonie roześmiała się i uszczypnęła go w ramię.

– Szukasz wymówek. Co to za absurdalny pocałunek na oczach dzieci? A to?  
– Wskazała ręką nad łóżko.

Henri uśmiechnął się.

– Przepraszam – powiedział, podnosząc się i siadając obok niej.

– Przyjmuję przeprosiny. – Leonie skinęła wielkodusznie głową. – Ale to nie usprawiedliwia faktu, że nie zaszczyciłeś mnie ani jednym listem, co oznacza, że wiele rzeczy musisz wyjaśnić. Chcę usłyszeć szczegółową relację z twojej podróży.

– Teraz?

– Teraz.

Leonie zrobiła sobie miejsce i położyła głowę na jego kolanach. Henri przykrył jej nogi prześcieradłem, palcem wodził wokół talii i wzdłuż boku,



w końcu zacisnął dłoń na jej ramieniu.

Opowiedział wszystko chętnie, ale jak się spodziewała, bez emocji, tylko suche fakty. Mówił o śmierci ojca, Abbington Hall, pieniądzach i prawnikach. Ani razu nie wspominał o Aimée, ale tego Leonie też się spodziewała.

– Nie musimy opuszczać Francji. – Henri gładził Leonie po włosach. – Możemy sprzedać Abbington Hall. Kupić coś swojego tutaj.

Leonie milczała. Spodziewała się, że będzie musiała walczyć z jego krewnymi, rodzicami, może rodzeństwem, ale nie sądziła, że problemem będzie spadek. Henri nigdy nie wspominał, że pochodzi z bogatej rodziny.

Przewróciła się na plecy i ugięła nogi w kolanach, jej głowa nadal spoczywała na krągłych i twardych udach Henriego.

– Na pewno nie chcę opuścić Francji – powiedziała. – Ale nie chcę też opuścić tego domu. Odpowiada nam, a dzieci są tu szczęśliwe. Chociaż to ekscytujące, że mamy tyle pieniędzy, prawda? – Wyciągnęła rękę i dotknęła policzka Henriego. – Mogłabym zamówić jedwab, o którym marzyła Jeanne. A co według ciebie chciałby dostać Jacques? Może nową wędkę? Ty mógłbyś mi kupić w końcu należyty pierścionek zaręczynowy – powiedziała, czekając na odpowiedź. Henri tylko się uśmiechnął. – Co ważniejsze – dodała – w końcu możemy przestać przyjmować pieniądze od Auguste’a.

Henri pokiwał głową, ale zrobiło mu się przykro. Nie potrafił powiedzieć Leonie, że traktował te comiesięczne raty jak mały przejaw przebaczenia ze strony Auguste’a, oznakę, że nadal zależy mu na nim i Jacques’u.

– Henri. – Głos Leonie spoważniał.

– Tak?

– Muszę ci coś powiedzieć.

Uklękła przed nim, przykładając dłoń do jego piersi, i powiedziała mu o Colette.

## Rozdział 35

Powrót do domu okazał się trudniejszy, niż Aimée się spodziewała. Wszystko wydawało się znajome, a jednocześnie zupełnie obce.

W pierwszy dzień po powrocie udała się do sypialni *maman*. Słońce już się obudziło i usadowiło wygodnie na niebie. Aimée przechadzała się po jasnym pokoju. Przeszła obok starannie posłanego łóżka, na którym ułożono czyste poduszki i równo poskładaną pościel, i stanęła przed toaletką. Spojrzała na kryształowe flakony perfum ustawione w rzędzie pod lustrem.

Szczególną uwagę zwróciła na buteleczkę ze złotymi liśćmi zatopionymi w szkłe. Podniosła korek i przesunęła go do nosa. To nie był zapach *maman* z jej dzieciństwa; ten był nowszy, jej *maman* nosiła go w dniu, gdy się z nią żegnała.

Przejechała palcami po szklanej szkatułce z biżuterią i po wieczku pudzera z pudrem do policzków, na którym namalowano bukiet róż. Ze srebrnej szczotki wyciągnęła ciemny włos, gruby jak nić, i obwiązując go wokół palca, podeszła do szafy. Uchyliła jej drzwi.

Spodziewała się znaleźć wiele wspaniałych sukien, wisały jednak tylko dwie: jedna wyraziście niebieska, a druga różowa, drapowana, w paski z motywem kwiatowym. Obie zsunięto na bok, aby zrobić miejsce dla ułożonych jeden na drugim kawałków materiału. Aimée podniosła kawałek białego muślinu. Materiał nie był obszyty, a wyhaftowane żółte róże strzępiły się na krawędziach. Kwiaty otaczały wielkiego, czarnego ptaka z jasnoczerwonym dziobem. Aimée położyła muślin u swoich stóp. Wyciągnawszy wszystkie kawałki materiału z szafy, rozwinęła je, pokrywając nimi całą podłogę. Jej oczom ukazały się pięknie wyhaftowane kwiaty, ważki i egzotyczne parotie. To wszystko było dziełem *maman*.

Kłęcząc, rozwinęła ostatni kawałek tkaniny na swoich kolanach. Ptak rozpostarł barwne skrzydła i spoglądał na nią świdrującym wzrokiem.

Pragnienia jej *maman*, jej gniew i żar, potrzeba i tęsknota, były w każdym ściegu, w każdym kolorze, wspaniałym i wyrazistym. Aimée miała wrażenie, że od trzepotu setek skrzydeł powietrze w pokoju drgało i że stąd wspaniała i wolna, wyruszyła w drogę.

Tydzień później Aimée stała nad grobem Colette ubrana w suknię żałobną, welon zakrywał jej oczy. Patrząc na niedawno rozkopaną ziemię, czuła niepokój. To niemądre, ale spodziewała się uporządkowanego skrawka trawy.

Chciała szybko odjechać, ale zmusiła się, by zostać dłużej. Położyła dłoń na płycie nagrobkowej i zmówiła krótką modlitwę. Obok znajdował się malutki grób Léona. Od dłuższego czasu o nim nie myślała. Ledwo pamiętała dzień, kiedy go pochowali. Przypomniła sobie, że płakała, bo nie mogła położyć się obok niego

i trzymać go za rękę. Pochyliwszy się, przejechała palcami po źdźbłach trawy rosnących na jego grobie. W końcu trawa się rozrośnie. Groby jej *maman* i Léona połączą się, tak jak połączyły się groby Léona i jego brata. Z biegiem czasu, pomyślała Aimée, jej *maman* zadomowi się tu, jak jej dzieci.

Podmuch wiatru rozrzucił liście po ziemi, Aimée pochyliła głowę. Te dzieci nie były już same. Miały swoją mamę, która wreszcie odzyskała swoich synów.

Aimée uklękła, wyrwała kępę trawy i rozrzuciła zielone źdźbła na czarnej sukni. Już nie płakała, ale przez chwilę uwierzyła, że łzy, które wylała pod osłoną welonu, były przeznaczone dla jej matki. Tak naprawdę myślała tylko o swojej córce. Ostatnim razem, gdy Aimée przechadzała się ulicami Paryża, Jeanne była tylko tajemnicą rosnącą w jej łonie. Bardzo się wtedy bała. A jednak pomimo niepewności i strachu miała nadzieję. Wtedy jeszcze nie wszystko zostało przesądzone. Teraz już niczego nie można zmienić. Zestarzeje się z papą, a potem zostanie sama. Nawet po śmierci nie będzie mogła połączyć się z córką. Nigdy się nie poznają. Ich groby nigdy się nie połączą.

## Rozdział 36

Dotarłszy na rue de Passy, gdzie niegdyś mieszkał z rodziną Savarayów, Henri zdał sobie sprawę ze swojej głupiej pomyłki. Wyprowadzili się stąd po wojnie, a jednak to właśnie tutaj go przywiodło.

Słońce świeciło łagodnie, dzień był chłodnawy. Henri stał z rękami w kieszeniach, myśląc o chwili, gdy pierwszy raz zobaczył Aimée, chudą dziewczynę z determinacją w oczach, która stojąc w drzwiach salonu, spoglądała na niego, jednocześnie uklepując sukienkę, jakby chciała zmusić fałdy do uległości. To właśnie w tym domu pierwszy raz Auguste poklepał go po głowie i właśnie tutaj poczuł żal, że nie jest jego prawdziwym papą. To tutaj Colette tak starannie otulała go w łóżku przed snem i całowała w czoło, wypełniając jego wnętrze upragnioną matczyną miłością.

Henri obrócił się plecami do budynku, zdając sobie sprawę, że widzi go po raz ostatni.

Wsiadł do powozu i pojechał na rue l'Ampère, gdzie od razu powinien był się udać. Tego dnia, kiedy wyznał wszystko Auguste'owi, był zbyt przerażony i onieśmielony, by przeprosić go ze szczerego serca. Był mu to winny.

W drzwiach powitała go Marie. Henri ucieszył się, widząc burzę jej rudych włosów, przyprószonych teraz siwizną. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, na jej twarzy pojawił się uśmiech. Zawsze lubiła Henriego.

W salonie wyciągnęła cytrynowy cukierek z kieszeni fartucha.

– To dla Jacques'a – szepnęła. – Usiądź tutaj. Niebawem wrócę.

Henri uśmiechnął się, podziękował jej i wsunął cukierek do kieszeni.

Było bardzo cicho, a on czekał zdenerwowany.

Najpierw usłyszał kroki, lekkie i szybkie, a kiedy wyłoniła się z za rogu, nie mógł wyjść ze zdumienia. Miał nadzieję, że Aimée zaszyła się bezpiecznie u lady Arrington, tymczasem ona była tu, na wyciągnięcie jego ręki. Nie zniknęła. Po prostu wróciła do domu.

Okno było otwarte, podmuch wiatru sprawił, że loki opadły jej na czoło. Siląc się na obojętność, przegarnęła je, by wróciły na swoje miejsce. Obecność Henriego nadal po tak długim czasie do głębi ją poruszała.

To był powód, dla którego nie chciała ponownie się z nim spotkać w Anglii. Podczas pierwszego roku pobytu w tym kraju – rozdarła wewnątrz, z miękkim i obwisłym po porodzie brzuchem – umieściła starannie wszystkie wspomnienia w zakamarkach swojego umysłu i przykryła je żalem. Gdy Henri pojawił się u lady Arrington, pełen współczucia i skruchy, coś w niej drgnęło, jakby wracała do życia, a ona nie chciała wrócić do życia bez Jeanne.

– Przepraszam. Papy nie ma w domu. – Okrążyła kanapę i usiadła.

Henri usiadł naprzeciwko niej, na jego twarzy nadal malował się wstrząs. Wciąż była szczupła jak ostatnim razem, gdy ją widział, ale wyglądała zdrowo, skóra dekoltu i szyi nabrała koloru.

– Przeszedłem złożyć kondolencje – powiedział.

„No tak”, pomyślała Aimée. Przyjechał tu z powodu *maman*.

– To bardzo miło z twojej strony. – Kąciki jest ust prawie się uniosły, niemal się uśmiechnęła.

– Chyba lepiej, że Auguste’a nie ma w domu. Nie jestem pewien, czy chciałby mnie przyjąć.

– Wierzę, że uznałby ten gest za życzliwy, mimo wszystko. Przekażę mu twoje wyrazy współczucia. Z pewnością nie było łatwo ci tu przyjść.

– Nie, ale uważałem, że to konieczne.

Czułość w oczach Henriego wywołała znajomy ból. Odwróciła głowę.

– Napijesz się czegoś?

– Dziękuję uprzejmie, ale nie. Nie planowałem zostawać.

Na stoliku obok kanapy leżał naporstek Colette, który tego ranka pokojówka znalazła między poduszkami. Aimée spojrzała na małą złotą kopułę z drobnymi wgłębieniami, ozdobioną u nasady kwiatami. Wygląda na to, że *maman* odłożyła go i wyszła z pokoju, mając zamiar lada chwila po niego wrócić.

– Nie mam najlepszego nastroju – zaśmiała się Aimée. – Smutno mi, ale cieszę się, że cię widzę.

Henri wstał. Pragnął, by chociaż na chwilę, w to krótkie popołudnie, wszystko było między nimi w porządku.

– Mademoiselle Savaray – wyciągnął do niej rękę – byłoby mi niezmiernie miło, gdybyś poszła ze mną na spacer. To dobry dzień na przechadzkę.

Aimée położyła splecione dłonie na kolanach.

– To nie najlepszy pomysł.

Henri zbliżył się do niej, rozłożył jej ręce i ujął jedną dłoń.

– Błagam cię. Pójdź ze mną na spacer. Pokaż mi wszystko, kolory i światło. Powiedz mi, jak kiedyś, że jestem głupcem, że nie dostrzegam tego, co ty.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Henri trzymał ją za rękę i czekał, patrząc, jak na jej twarzy maluje się odmowa, potem niechęć, aż w końcu zgoda.

– No dobrze – powiedziała.

Udali się do Ogrodów Tuileries, gdzie szli obok siebie w milczeniu. Wybiła piąta, światło było urzekające. Ale Aimée nie zwróciła mu na to uwagi. Nie mówili ani o łagodnych powiewach, ani o wielkich kasztanowcach, które szumiały na wietrze niczym rwąca woda. Nie wspominali, że rozwiana suknia Aimée uderza o nogi Henriego, a on się nie odsunął.

Ich spacer w parku o zmierzchu, przejmujące piękno tej chwili, świadomość,

że on czegoś od niej chce, jej gniew, że pragnie za późno – to wszystko wywołało spodziewany ból. Te same pogmatwane emocje czuła tamtego dnia nad rzeką w Thoméry, gdy usiłował ją pocałować. Wtedy pragnienia Henriego wydawały się formą przeprosin. Dziś wydawały się potrzebą wynagrodzenia za wszystko, co utracili. Czy nie dostrzegął, że nie nadrobią już przeszłości, że nigdy nie będzie żadnego pojednania czy zrozumienia? Wraz ze śmiercią matki Aimée w pełni zdała sobie z tego sprawę. Można jednocześnie kogoś nienawidzić i kochać, żałować, że go nie ma i cieszyć się, że odszedł.

– Jedyne, czego pragnę – powiedział nagle Henri – to wiedzieć, że jesteś szczęśliwa. – Zatrzymał się i spojrzał na nią. – Czy jesteś chociaż odrobinę szczęśliwa?

Stali na małym mostku. Aimée odwróciła się i spojrzała na wodę. To była zwykła spływająca po kamieniach strużka, ani trochę nie przypominała rwącej rzeki w Thoméry.

– Nie – powiedziała. – Ale nie jestem też nieszczęśliwa. Myślę, że kiedyś poczuję coś na kształt zadowolenia. – Najbardziej pragnęła zapytać o Jeanne, ale nie miała odwagi. Była pewna, że gdy wymówi jej imię, rozpadnie się na kawałki.

Henri położył dłonie na jej ramionach.

– Przykro mi – powiedział delikatnie, a następnie przybliżył usta do jej ucha, poczuła jego delikatny oddech na policzku. Myślała, że przykro mu z powodu Jeanne, ale on dodał: – Przykro mi... i przepraszam, że cię zostawiłem.

Odwróciła się i spojrzała na niego, ale nie z wyrazem wdzięczności i przebaczenia, lecz z miażdżącym wyrazem nieprzezwyciężonego bólu, i wtedy właśnie Henri zdał sobie sprawę, co musi zrobić. Wiedział to już w Anglii, ale aż do tej chwili nie był w stanie stawić temu czoła.

Złapał Aimée za rękę i pociągnął ją w stronę kępy głógów. Butami zgniatał jaskrawoczerwone owoce, które spadły na ziemię. Objął Aimée, a ona się nie opierała. Zatopiła się w ciepłe jego ciało, wsunęła swoje dłonie w jego i pozwoliła się pocałować. Wszystko, czego nie mogli powiedzieć, przekazali w tym pocałunku. To był wyraz podziękowania, upamiętnienia, przeprosin, a wreszcie odejścia i pożegnania.

„Henri mnie kocha”, pomyślała Aimée. To była po prostu bezużyteczna miłość. Miłość, która nigdy nie była w stanie znaleźć ujścia.

– Dziękuję – szepnęła.

Potem odwróciła się i odeszła, nie wiedząc jeszcze, że to ostatnie słowo, jakie wypowiedziała do Henriego, i że okaże się najwłaściwsze.

## Rozdział 37

Leonie walczyła zaciekle, płakała i błagała, ale w końcu musiała ustąpić. Nie miała wyjścia.

– Nie dzisiaj – prosiła. – Daj mi jeszcze jeden dzień.

Henri zgodził się, trzymając ją w ramionach, obiecując, że wszystko będzie dobrze, ale w głębi serca czuł druzgocący żal.

Przewidział, że tak to się skończy, będąc jeszcze w Anglii.

Następnego dnia nie robili nic wyjątkowego. Leonie pozwoliła Jeanne po raz pierwszy zetrzeć czekoladę do garnka stojącego na gorącym piecu. Podczas śniadania pozwoliła jej również rozsmarować dodatkową warstwę dżemu wiśniowego na bułce, a potem przekopać cały ogródek. Obserwowała ją, wieszając prześcieradła na sznurze. Robiła to każdej soboty, nieraz besztając Jeanne za pobrudzenie sukienki.

Henri cały dzień trzymał się blisko Leonie. Ujmował jej dłoń, ilekroć znalazła się w jego pobliżu, poklepywał po ramieniu, obejmował w talii. Był to wyraz rozpacz, ale przynosił ukojenie.

Urządzili piknik nad rzeką w cieniu wielkiego dębu. Henri i Leonie obserwowali Jacques'a i Jeanne, ślizgających się po błotnistym brzegu i wrzucających się nawzajem do wody.

Poprzedniego wieczoru Leonie upiekła na deser ciasto z jeżynami i kremem. Następnie, pomimo narzekań Jacques'a, wykapała dzieci, co zwykle zdarzało się tylko w niedzielne poranki. Pozwoliła im na wszystko, nawet na dokładki, i Jacques nie mógł zrozumieć, czemu się tak zachowuje.

– Co się dzieje, *maman*? – zapytał przed snem.

Podciągając kołdrę pod jego brodę i całując go w czubek głowy, powiedziała: „Nic, mój drogi” – zastanawiając się, jakie kłamstwo wymyślić na jutrzejszy poranek, zdając sobie jednocześnie sprawę, że Jacques i tak nigdy nie zrozumie. Jedyne, na co miała nadzieję, to że jej wybaczy, ale przypuszczała, że to zbyt wygórowane żądanie.

Leonie podeszła do łóżka Jeanne, pogładziła czoło córeczki i zaśpiewała jej kołysankę. Przypomniła sobie dziewczynkę, gdy była jeszcze wierzgającym bobasem, którego trudno było uśpić. Pomyślała o chwili, gdy Jeanne po raz pierwszy powiedziała, że ją kocha, i o tych wszystkich chwilach, w których to powtarzała, tak ochoczo i z taką niewinnością okazując miłość.

Dopiero kiedy Jeanne i Jacques spokojnie zasnęli, Leonie pozwoliła sobie na płacz. Wzięła córkę w objęcia i kołysząc się w przód i w tył, nuciła jej do ucha. Jeanne miała trzy lata, czyli tyle ile Jacques, kiedy się u nich pojawił. Był zbyt mały, by pamiętać swoje poprzednie życie. Jeanne też o nim zapomni. Mimo że

Leonie pragnęła, by ją zapamiętała, myśl, że kiedyś Jeanne przestanie za nią tęsknić, że ten ból zostanie jej oszczędzony, przynosiła jej ulgę.

Henri musiał odciągnąć Leonie od małej, rozebrać ją jak dziecko i położyć do łóżka. Pogładził ją po włosach, tak jak ona pogładziła wcześniej Jeanne, i trzymał w ramionach, aż zasnęła.

Przyglądając się swoim dzieciom, zaczął mieć wątpliwości. Wtulili się w siebie. Jeanne położyła głowę na piersi Jacques'a, on otoczył ją ramieniem. „Chronił ją nawet podczas snu”, pomyślał Henri, zabierając Jeanne z łóżka.

Gdy szedł nocą, dziewczynka spała, opierając się na jego ramieniu. Suche liście głośno szeleściły pod jego stopami, przestraszył się, że dziecko się zbudzi. Jej małe ciało zwisało jednak bezwładnie, jedną ręką uderzała delikatnie o plecy Henriego. Dokuczało im zimno, cieszył się więc, że włożył małej płaszcz. Z butami już mu się nie powiodło, nie potrafił wsunąć ich na małe stópki, a potem ich jeszcze zawiązać, więc po prostu wrzucił je do walizki, a odziane w pończochy stopy schował do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

W pociągu Henri rozmieścił bagaże i pudełko z kapeluszem, który Jeanne otrzymała od Jacques'a na urodziny. Śpiąca wcześniej na jego ramieniu dziewczynka leżała teraz na jego kolanach, jej nogi na siedzeniu obok. Przeczesał jej włosy ręką i ze ściśniętym sercem obserwował przez okno uciekający świat.

Gdy pociąg się zatrzymał, Jeanne usiadła, w jej szeroko otwartych oczach widać było zaskoczenie.

– Gdzie jesteśmy, papo? – zapytała, ale Henri kazał jej zamilknąć, zapewniając, że wszystko jest w porządku.

Wyniósł ją z pociągu, przekonany, że przez łomot i piski w pełni się wybudziła ze snu, ale gdy szedł ulicami oświetlonymi lampami gazowymi, jej głowa opadła na jego ramię. Znowu zasnęła.

Minęła godzina dziesiąta, kiedy Henri przybył do domu Savarayów. Marie otworzyła drzwi, zaniepokojona godziną jego przybycia, a jeszcze bardziej widokiem dziecka.

– Proszę wejść, monsieur. To maleństwo się zaziębi – powiedziała.

– Poczekam tu. – Henri otoczył głowę Jeanne ręką. – Byłbym wdzięczny, gdybyś przyprowadziła Auguste'a, natychmiast.

Auguste powinien być w łóżku, a stał właśnie w progu w szlafroku i kapciach, przyglądając się gościowi, który oświetlony lampą gazową rzucał długi, mroczny cień.

Zaskoczył go widok Henriego z dzieckiem na rękach.

– Wejdz do środka. Mocno wieje – powiedział Auguste, otulając się szlafrokiem.

Henri zsunął Jeanne z ramienia i trzymał przy piersi, zwiniętą w kłębek.

– To jest dziecko Aimée, twoja wnuczka, Jeanne Savaray.



Wiatr rozwiał włosy Auguste'a, poczuł przejmujący chłód.

– Jest twoja? – zapytał zdumiony.

– Nie – odrzekł Henri. – Monsieur Maneta, ale on o niej nie wie.

Jak to możliwe? Auguste próbował oszacować wiek dziecka, gotów zdjąć z siebie wszelką odpowiedzialność, kiedy nagle wszystko pojał; Aimée naga w pracowni Édouarda, wizyta jego matki w fabryce, naleganie na wyjazd wnuczki. Złapał się za głowę. To dlatego pojechała do Anglii. Jaki był niemądry, że niczego nie podejrzewał.

– Ty wzięłaś to dziecko? – spytał, w jego głosie nie było słyhać oskarżenia, ale szacunek. – Wychowałaś ją?

– Tak.

Zarówno Henriemu, stojącemu na progu tego domu z Jeanne, jak i Auguste'owi, który niegdyś stał na progu domu Henriego z Jakiem, nie umknęła ironia tej chwili. Ani zbieg okoliczności, że każdy z nich wychował dziecko, które formalnie nie było jego dzieckiem. Patrzyli na siebie, jakby chcieli powiedzieć: „Tak, wiem, jakie to bolesne, jak intymna i krucha może być relacja człowieka z dzieckiem, i jak niewielki ostatecznie mamy wpływ na sytuację”.

Henri podał śpiącą dziewczynkę Augustowi, była taka leciutka...

Lekkość, której doznał Henri, gdy ją oddał, sprawiła, że poczuł się zdezorientowany, ale zarazem dziwnie odciążony, oczyszczony ze wstydu.

Owinął się szczelniej płaszczem.

– Byłem w Anglii. Mój ojciec umarł. – Wiatr się uspokajał, drzewa ostatni raz zaszeleściły, potem nastąpiła cisza. – To straszne, co powiem, ale cieszę się, że nie musiałem się z nim spotykać.

Auguste zrobił krok w stronę Henriego, dziecko trzymał między nimi.

– Muszę ci coś wyznać. – Zbliżył się do chłopaka. – Kilka lat po tym, gdy do nas przyjechałeś, miałeś może jakieś dwanaście lat, twój ojciec napisał do mnie i poprosił, bym cię odesłał do domu.

Henri wyczuł zapach dymu cygarowego w oddechu Auguste'a. Pamiętał, jak pewnej nocy, gdy był jeszcze chłopcem, który już dawno powinien spać, wszedł do jadalni Savarayów i zobaczył Auguste'a siedzącego samotnie przy stole, trzymającego kieliszek czerwonego wina w jednej ręce i cygaro w drugiej. Zamiast go zbesztać, Auguste powiedział: „Przysuń krzesło, mój chłopcze, i dotrzyмай mi towarzystwa”.

Henri ujął dłoń Jeanne i pozwolił jej zacisnąć paluszki wokół jego palca. To był bardzo silny uścisk.

– Czemu nie posłałeś mnie do domu? – Henri znał odpowiedź, ale chciał usłyszeć ją od Auguste'a.

– Po prostu nie mogłem pozwolić ci odejść.

Henri poczuł łyzy na policzkach, zakłopotany spuścił wzrok, uwalniając palec

z uchwytu Jeanne. Popatrzył na cień rzucany przez jego nogi, dwa ciemne kształty na płaskim kamieniu, przedzielone na pół w miejscu, gdzie stał Auguste w kapciach ze spiczastymi noskami, uniesionymi ku górze niczym dzioby kajaków. Spod szlafroka wystawały jego gołe kostki. Henri zastanawiał się, czy powinien czuć ulgę lub wdzięczność, wiedząc, że jego ojciec chciał go odzyskać, ale ogarnął go tylko głęboki smutek. To nie miało teraz znaczenia. Nie miał ojca wtedy, a teraz nie miał człowieka, którego niegdyś nazywał papą.

– Pewnie i tak bym nie wrócił – powiedział.

– Może nie. Ale nigdy nie pozwoliłem ci zdecydować.

– Wróciłem do Anglii, bo zapamiętałem twoje słowa z tej nocy, gdy przyprowadziłeś Jacques'a. Że trzeba nadać mu prawowite nazwisko, że musi mieć swoje miejsce w świecie.

– Zatem jest teraz Aubreyem.

– Obaj jesteście.

– To dobrze – powiedział Auguste, ale tak naprawdę odczuł dotkliwą stratę. Nie ma syna, który nosiłby jego nazwisko.

Jeanne się poruszyła, Auguste na nią spojrział. Oto nowe życie. Początek. Po jej wadze mógł stwierdzić, że to krzepkie dziecko, tak jak niegdyś Aimée. Poczł przyływ radości.

Przez kilka minut mężczyźni stali w milczeniu. Zastanawiali się, czy uścisnąć sobie dłonie, ale żaden z nich tego nie zrobił.

Aimée spała, gdy jej papa wszedł do sypialni. Nie obudziła się, kiedy podniósł kołdrę i położył przy niej dziecko.

Pieczołowicie je otulił, aby żadna z nich nie zmarła. Przez kilka minut stał i przyglądał się, jak śpią. Jeanne z rozrzuconą na poduszce burzą ciemnych loków bardzo przypominała Aimée, ale Auguste zobaczył w niej również Colette, zwłaszcza w tych zamkniętych powiekach kształtem przypominających migdał. Wyobrażał sobie, że kiedy mała otworzy oczy, dostrzeże w nich złote plamki.

Gdy zamknął drzwi, Aimée przekręciła się na bok. Nie obudziła się do końca, zatrzymała się raczej w swoim sennym marzeniu. Usłyszała oddech Jeanne, poczuła ciepło jej małego ciała, miała wrażenie, że śni o najbardziej naturalnej rzeczy na świecie – że jej córka jest przy niej.

Jeanne wierciła się i pochlipywała, więc Aimée przyciągnęła ją do swojego miękkiego brzucha. Głęboko w środku obie czuły, że się znają, pamiętały te dwa tygodnie, które ze sobą spędziły.

Niebo było jeszcze szare, w kolorze oczu Aimée, gdy dziewczyna się ocknęła. Płakała po cichu, nie chcąc obudzić dziecka, ale przede wszystkim nie chcąc wybudzić siebie z tego snu.

Aimée przechadzała się mostem prowadzącym na Wyspę Świętego Ludwika, a potem wąską uliczką biegnącą wzdłuż Sekwany. W pozbawionych okiennic

oknach starych domów odbijała się połyskliwa woda. Wielkie załadowane workami i beczkami barki wolno płynęły po rzece. Jakiś człowiek stał na łodzi z praniem i krzyczał, inny z brzegu mu odpowiadał. Na wąskim nabrzeżu ktoś skakał i wymachiwał rękami. Zza pleców dobiegały ją odgłosy kłótni, przed sobą widziała śmiejące się dzieci.

Wrzesień był zawsze jej ulubionym miesiącem. Upał zelżał i zrobiło się odrobinę chłodniej, ale zima jeszcze o sobie nie przypominała, ludzie nadal mieli czas, by wszystko pozalać.

Aimée myślała o Édouardzie Manecie. Rok temu słyszała, że podjął próbę namalowania pary. Podobno udało mu się opóźnić odjazdy pociągów z dworca w Saint-Lazare, kazać napełnić wszystkie kotły węglem, tak że po uruchomieniu silników powietrze zrobiło się gęste od pary. Słyszając tę historię, Aimée pomyślała: „Jaki on arogancki, jaki pretensjonalny”. Édouard zawsze dostawał, co chciał. Zatrzymywał pociągi dla własnej wygody, nie zważając na ludzi, którzy musieli przecież gdzieś dotrzeć. Ale teraz, gdy czuła znajomy smród dochodzący z nad rzeki i chłodne świeże powietrze na swojej twarzy, dawne uczucia wróciły. Aimée uznała, że jego zachowanie było jedynie przejawem pomysłowości i sprytu, ale też pewności siebie.

Spojrzała na wodę, wąskie łodzie dobijały do brzegu, kobiety i dzieci stały po kostki w piasku, rozładowując kosze.

Przez wiele lat Aimée widziała tylko to, co Édouard jej odebrał. Teraz, myśląc o czasie spędzonym w Anglii, gdy godzinami malowała bez opamiętania, wykańczając się przy tym, ale i zaznając ekscytacji, była w stanie dostrzec, że Édouard dał jej dokładnie to, czego potrzebowała, by mogła tworzyć przepełniona wolnością. Pokochała swoje z pozoru ciepłe jednowymiarowe obrazy. „Maluj tylko to, co czujesz w środku”, mawiał Édouard. Tak robiła. Przez te ostatnie lata robiła tylko to.

Po powrocie do domu udała się do swojej pracowni. Ostatni raz była tam, gdy papa pociął nożem jej obraz. W środku unosił się zapach stęchlizny, tynku i starych książek.

Przez otwarte drzwi słyszała rozmowę Jeanne z madame Savaray, która leżała na łóżku w pokoju obok. Jeanne nie zapłakała ani razu, odkąd tu przybyła, za to nie zamykała jej się buzia. Z powagą i przejęciem opowiadała o swoim domu, polach, rzece i ogrodzie, o *maman* i papie. Tylko raz wspomniała o swoim bracie.

– Czeka na mnie – powiedziała, kiwając głową. – On zawsze na mnie czeka, nawet kiedy idę powoli.

Łagodny głos Jeanne płynął korytarzem i oczami wyobraźni Aimée widziała grymas na twarzy babci i jej próby ukrycia uśmiechu zadowolenia.

Aimée podeszła do czystego płótna ustawionego na sztaludze na środku pokoju. Opierając dłonie na biodrach tak samo, jak robiła to jej babcia,

zastanawiała się, czym zappełnić pustą przestrzeń.

Pamiętała artykuł Mallarmégo opublikowany w londyńskim „Miesięcznym Przeglądzie Sztuki”, w którym zachwalał Maneta, nazywając go prekursorem „nowego kierunku w malarstwie”, tego „impresjonizmu”. W artykule napisano, że współczesny malarz powinien ze swobodą, bez ograniczeń, umieć oddać naturę na obrazie.

Aimée zabrała swoje przenośne pudełko z farbami i sztalugę i ruszyła w kierunku Wyspy Świętego Ludwika. Ustawiła sztalugę na środku mostu, z którego widziała gładkie kamienne budynki górujące nad wodą po jego obu stronach. Édouard nauczył ją, jak malować zmieniające się światło, uchwycić chwilę, i pozwolić jej odejść, i zawsze pamiętać, że nic nie jest ani stałe, ani niepodważalne.

Ułożyła kapelusz pod takim kątem, by słońce nie świeciło jej w oczy, wzięła kawałek węgla i spojrzała na białe dachy odbijające się brunatnej wodzie wartkiej rzeki.

Zrozumiała teraz, że słowa Édouarda nie dotyczyły tylko malarstwa. „Szukaj prawdy”, powiedział. „I umiłuj ją, kiedy ją już odnajdziesz”.

## ANGLIA 1878

### *Epilog*

Szaro tu i dużo pada. Nie przeszkadza mi to. Pasuje do tego, co czuję w środku, poza tym lubię, jak krople deszczu spadają mi na głowę.

Wolę być na dworze niż w domu, ale tak było wcześniej, więc przynajmniej to się nie zmieniło. Zastanawiam się, czy ja się zmieniłem. Przez większość czasu nie czuję się tak, jak kiedyś, ale potem coś mnie rozprasza, gdy patrzę na drzewa lub oglądam ptaki, i przez chwilę czuję się jak dawniej. Czuję się tak jak wtedy, gdy stałem nad brzegiem Sekwany, patrzyłem na drzewa i oglądałem ptaki.

Dzisiaj rano znalazłem w dolnej szufladzie mojego kredensu myszy. Sześć małych różowych myszek.

Nie powiem o nich nikomu, bo ktoś je wyrzuci. Wszystko musi być czyste, to bardzo ważne, a dom jest tak duży, więc potrzeba dużo ludzi, żeby był czysty. Każdy może zabrać moje myszy.

Będę musiał być bardzo ostrożny, siedzieć cicho i ich pilnować. Przyniosłem dla mamy myszek trochę owsa i buchnąłem sera z kuchni. Kuchnia jest daleko od mojej sypialni i musiałem schować jedzenie w kieszeni, bo kucharz jest niemiły.

Szkoda, że kuchnia jest tak daleko. Kiedy zapytałem, dlaczego nie mogliśmy jeść w kuchni, jak kiedyś, *maman* powiedziała: „To nie jest Francja. Tak się tutaj jada. Będziemy musieli się przyzwyczaić, że wszystko jest daleko”.

O prawie każdej rzeczy mówi, że to nie jest Francja.

Najgorzej jest w nocy, kiedy robi się ciemno. Nie jestem przyzwyczajony, że śpię sam, i boję się. Chcę, żeby *maman* i papa spali w pokoju obok, jak dawniej. Ale są też daleko. Przynajmniej mam myszy.

Małe myszki nie są już różowe. Mają szare futerko i jedzą mi z ręki. Włożyłem moją pończochę do szuflady, żeby mogły do niej wchodzić, bo robi się zimno.

*Maman* będzie zła, gdy się dowie, że brakuje jednej pończochy. Będę wiedział, że jest zła, bo przygryza wtedy dolną wargę i między jej brwiami pojawia się linia, ale mnie nie ukarze. W ogóle już tego nie robi.

Dlatego wiem, że dużo rzeczy uszłoby mi na sucho, ale nie chcę, by *maman* była nieszczęśliwa, więc staram się być grzeczny, chociaż zniszczyłem całkiem dobrą jeszcze pończochę.

*Maman* nie wściekła się z powodu pończochy. Uśmiechnęła się, gdy pokazałem jej myszy, pończochę i porwane kawałki papieru. Obiecała, że to będzie nasza tajemnica. Powiedziała: „Masz całkowitą rację odnośnie do porządków; zdecydowanie za dużo dzieje się w tym domu. Powiedziałabym, że przyda nam się kilka myszy. Będą przypominać nam o domu, prawda?”.

Wtedy poczułem, jak bardzo kocham *maman*. A potem zrobiło mi się smutno, bo pomyślałem, że Jeanne też spodobałyby się myszy, i powiedzielibyśmy jej z *maman*, by też nikomu o nich nie mówiła, i Jeanne by podniosła mały paluszek do ust i zamknęła oczy, jakby zamykała tajemnicę w sobie.

Za każdym razem, gdy jestem smutny, udaję, że Jeanne jest ze mną.

Gdy *maman* wychodzi, mówię Jeanne, że nie może podnosić myszy, bo jest za mała, i mogłaby je zgnieść. Potem pokazuję jej, jak położyć owies na otwartej dłoni, żeby myszy mogły się wspinać i skubać go. Potem mówię jej, żeby się nie ruszała.

Udaję, że Jeanne jest ze mną, robi dokładnie to, co jej mówię, i się nie rusza, i dlatego w pokoju jest cicho. Ale cicho jest naprawdę u mnie w środku, bo jej tutaj nie ma, i dlatego chce mi się płakać. Nie płaczę, bo mam już siedem lat i jestem za duży, żeby płakać, ale czuję w środku, że płaczę, chociaż nie lecą mi łzy.

Papa ciągle stara się, żebyśmy *maman* i ja byli szczęśliwi. Mówi nam o wszystkim, co robił w Abbington Hall, jak był mały, pokazuje nam miejsca, które pamięta. Ale mówi to głośnym, wesołym głosem, a ja wiem, że on udaje, bo papa nie jest głośny ani wesoły.

Widzę, że jest tak smutny jak ja, i wiem, że on po prostu wymyśla te historie, bo słyszałem, gdy mówił *maman*, że gdy był chłopcem, nienawidził tego miejsca. *Maman* powiedziała mu, że musi mieć nowe wspomnienia. Ale później usłyszałem, jak płacze, kiedy myślała, że nikogo nie było w pobliżu.

Chyba wszyscy udajemy przed sobą, że nie jesteśmy smutni.

Moje myszy zniknęły. Nie martwię się. Jest wiosna i będzie im ciepło na dworze.

Czuję się bez nich strasznie samotny, ale mam nadzieję. Mam nadzieję, bo *maman* roześmiała się dzisiaj i papa później ją pocałował.

Urodziny Jeanne są za cztery dni.

Pamiętam, jak kiedyś zbieraliśmy pomarańczowe kwiaty suchodrzewu i zgniataliśmy je palcami.

Pamiętam, jak kiedyś wyciągnęliśmy małe drzewka z ziemi i strzelaliśmy z nich jak z katapulty. Pamiętam, jak Jeanne chichotała i przyłożyła dłoń do ust, a potem odsunęła ją i położyła na moich.

Tylko wspomnienia mi po niej zostały.

I przestałem udawać, że z nią rozmawiam, bo nie wiem, jak ona teraz wygląda, nie wiem, jak mówi.

Teraz ma cztery lata i na pewno się zmieniła przez ten rok. Chcę wiedzieć, jak wygląda teraz, a nie tylko jak miała trzy lata. W dniu jej urodzin mam zamiar zebrać dla niej kwiaty i postawić na stole. Mam zamiar kupić kapelusz z niebieską wstążką i powiesić go na oparciu krzesła. Poproszę *maman* o kandyzowane fiołki, choć nie jestem pewien, czy fiołki rosną w Burford, tak jak Thoméry.

Jestem pewien, że *maman* się przez to popłacze. Powiem jej, że wszystko będzie w porządku, ale to bardzo ważne, żeby robić tak co roku.

To ważne, ponieważ pewnego dnia odnajdę swoją małą siostrzyczkę.

To będzie trudne, ponieważ dorosnie, i ja dorosnę, i nie będę wiedzieć, jak wygląda, ani ona nie będzie wiedzieć, jak wyglądam, nawet jeśli będziemy sobie wyobrażać, jak wyglądamy.

Ale kiedy mnie zobaczy, a ja ją, to nie będzie miało znaczenia.

Nasze serca się rozpoznają.

Tego jestem pewny.

## Podziękowania

To sama radość i moc podziękować wszystkim tym, których wsparcie, wskazówki, przyjaźń i miłość ułatwiły mi tę podróż.

Wielką wdzięczność i uznanie kieruję do Heide Lange, Rachael Dillon Fried i pracowników Sanford J. Greenburger Associates Inc., którzy od razu uwierzyli w moją książkę i uznali, że ma szansę odnieść sukces. Dziękuję Stefanie Diaz, której szybko udało się sprzedać prawa do niej za granicą, a także znakomitej agentce, Stephanie Delman, za jej nieustające zachęty, zaangażowanie i entuzjazm. Ta książka nie powstałaby bez mojej redaktorki, Laury Chasen, jej drobiazgowych notatek i trafnych uwag, ale przede wszystkim bez wiary, którą we mnie pokładała. Podziękowania należą się również wspaniałej Alicii Clancy, nowej redaktorce, która wkroczyła w odpowiednim momencie i pozostała do samego końca. Dziękuję korektorom, Sarah i Chrisowi, ze Script Acuity Studio, redaktorce technicznej, Emily Walters, zespołowi marketingowemu, w skład którego wchodzi Brant Janeway, Angie Giammarino i Katie Bassel, oraz pracownikom St. Martin's Press, którzy przyczynili się do powstania tej książki.

Powieść nie powstałaby, gdyby nie zasobne źródła informacji. Książki, z których korzystałam, to *Prywatne życie impresjonistów* Sue Roe; *Growing Up with the Impressionists: The Diary of Julie Manet*; *Dziennik Marii Baszkircew*; *Brzuch Paryża* oraz *Dzieło Emila Zoli, Édouard Manet: Rebel in a Frock Coat* Beth Archer Brombert.

Dziękuję czytelnikom, którzy przebrnęli przez pierwsze wersje książki i wyrazili uprzejmie, ale uczciwie swoją opinie, a należą do nich Ariane Goodwin, Stephen Muzzy, Heather Fulton, Sarah Heinemann, Michelle King, Robert Burdick, Isaiah Weiss, Lilia Teal, Nicole Cusano i Bob Sekula.

Szczególnie serdecznie dziękuję mentorom, którzy na różnych etapach mojego życia zachęcali mnie do pisania: pierwszym nauczycielom, Michaelowi i Rebecce Muir-Harmony, którzy opublikowali moją pracę, gdy byłam dojrzałą już sześciolatką w Full Circle School's Rumbling Raisin Press, i doceniali moją gadatliwość oraz bujną wyobraźnię, oraz June Kuzmeskus, która w czasach liceum pozwoliła mi wyjść poza sztabowe schematy myślenia i tworzyć własne portfolio tekstów, oraz Roni Natov za inspirujące zajęcia w Brooklyn College i kierowanie moją pracą dyplomową, która stanowiła początek pierwszej powieści.

Nie znajduję odpowiednich słów, by podziękować mojej matce, która dokładnie czytała każdą wersję tej powieści. Wystarczy powiedzieć, że nie znalazłabym się w tym miejscu, gdyby nie jej skrupulatne, trafne uwagi, a także, oczywiście, miłość i matczyne wsparcie. Dzięki mojemu tacie, który popłakał się z radości na wieść, że moja książka zostanie opublikowana, który kocha książki



najbardziej ze wszystkich znanych mi osób i który najchętniej by oprawił ją w złoto i ustawił na swojej półce.

Dedykuję tę książkę: mojej siostrze, wybitnej artystce, która stanowi dla mnie inspirację. Zwykle „dziękuję” blado wypada, biorąc pod uwagę, ile jej zawdzięczam; moim synom, Silasowi i Rowanowi, którzy pozwolili pisać mamie w weekendy i wypełniają moje dni przygodą, a serce po brzegi miłością; i wreszcie Stephenowi, mojemu mężowi, za jego dozągoną miłość, cierpliwość, wiarę, że dotrzemy do tego miejsca, i za życie, w którym to wszystko było możliwe.

<sup>1</sup> Joseph Rose Lemercier, założyciel zakładu litograficznego, który powstał w Paryżu w 1827 roku (przyp. tłum.).

<sup>2</sup> Kamień litograficzny (przyp. tłum.).

